

PIOTR, SOWIŃSKI MECZ O ŻYCIE

#Łódź #kryminat #stan wojenny #milicja



PIOTR
SOWIŃSKI
MECZ O ŻYCIE

Redakcja: *Monika Ulatowska*

Projekt okładki: *Wojciech Miatkowski*

Skład: *Paweł Szewczyk*

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2018

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-412-3

KSIEŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński

90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14

tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 2519

infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2018

Wydanie 1

Konwersja do wersji elektronicznej

eLjot

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Epilog

Rozdział 1

Jesień 1982

- Dwie flaszki chyba starczą? - pan Mietek z miejsca dał do zrozumienia, że nie przewiduje karnych.

Henryk Kapustka patrzył na pogrążającą się w listopadowej pomroce Dąbrowę. Zresztą z dziewiątego piętra jego wieżowca widać było dobrze nie tylko Dąbrowę, ale i pobliskie Chojny oraz Widzew. Na horyzoncie majaczyły bloki Retkini. Na samym końcu widnokregu rysowały się we mgle blokowiska Teofilowa. Wszystko otulała listopadowa ślągwa, łaskawie skrywając nieznośną szarość miasta Tuwima. Chyba złośliwa Klio spowodowała, że autor Kwiatów polskich urodził się nie gdzie indziej, tylko właśnie w tym betonowo-ceglastym molochu. Moloch ów przytłaczał brzydotą, przygniatał beznadzieją podłej egzystencji i zniewalał monotonością szarych dni nawet wtedy, gdy teoretycznie świeciło słońce. Z nozdrzy Molocha buchały kłęby fabrycznych wyziewów, przesycone smrodem palonych śmieci. Z ust Molocha dobywał się chrapliwy odgłos tysięcy tanich butów, które dzień w dzień uderzały o stary bruk, względnie - o zawsze krzywo położone płyty chodnikowe. Stukot obcasów mieszał się z lamentem przekleństw, litaniami wściekłości, bełkotem próśb o lepsze jutro, okrzykami radości z powodu zakupionej kaszanki.

Henryk drgnął. Jego wzrok padł na wybijające się z morza szarugi cztery maszty. Na masztach iskrzyły się

diamantowe główce, za chwilę miał rozpocząć się mecz.

- Chyba starczą, zresztą przy reglamentacji wódki to i tak nieźle - zaśmiał się.

- Ano, nieźle. Dwa jeden na wyjeździe. Wystarczy huknąć im bramusię i niech spadają do Wiednia. Ale my im walniemy dwie. Dlatego i dwie flaszunie przyniosłem. - Pan Miecio wyraźnie się nakręcał.

- Ja bym się tak nie napalał - z inżynierskim spokojem rzekł Henryk. - Bez Smolarka, bez Tłokińskiego wcale nie musi być łatwo.

- Byleby tylko Andrzejkowi nic się nie stało. - Do rozmowy włączyła się Irenka. - Tak się boję, tyle ostatnio się mówi o tych ekscesach kibiców.

- Duży już jest, ma trzynaście lat. Musi sobie radzić - uspokoił żonę Henryk.

Tymczasem do pokoju przybyli inni sąsiedzi Kapustków. Pani Wiesława przyniosła salceson nazywany „cwaniaczkiem”, pan Cezary błysnął puszczką mielonki z pewexu. Na tle tych rarytasów wkład pani Genowefy wyglądał nader skromnie. Piernik z marchwi - za to z prawdziwym cukrem.

Rozpoczął się mecz. Andrzej Zydorowicz pewnie by się ucieszył, gdyby usłyszał radość, która nastąpiła w łódzkich domach na wieść, że mecz relacjonuje właśnie on, a nie żaden komentator z Warszawy. Pan Miecio nalał do kieliszków. Na stole oczkami tłuszczu wesoło świecił „cwaniaczek”. Jednak jego zaloty były daremne. Wyjęta z kolorowej puszkii dewizowa mielonka pana Cezarego zbywała nachalnego absztyfikanta. Piernik z marchwi nawet nie śmiał stawać w szranki. Jego marzeniem było,

by ktokolwiek go przegryzł. Zresztą jego zmartwychwstanie było cudem na miarę zmartwychwstania Pańskiego. Przecież od czasów, kiedy Łódź nazywała się Lizmannstadt, nikt go nie jadł. Jednak teraz - w wigilię czterdziestolecia władzy ludowej w Polsce - następował jego wielki powrót.

- No żesz kurwa mać - skomentował pierwszą połowę porucznik Kostecki.

Do przerwy Widzew prowadził z Rapidem Wiedeń trzy do jednego. Niby nie było źle. Taki wynik dawał awans. Jednak Kostecki miał złe przeczucia. Przez pierwsze pół godziny Widzew miażdżył rywala. Na bramkę wiedeńczyków przypuszczała ataki widzewska husaria. Dwa razy Paweł Woźniak, a potem Rozborski trafili do siatki. I kiedy czwarta bramka wisiała w powietrzu, sędzia Soerensen podyktował karnego dla spadkobierców sławy Rudolfa Hidena. Stadion zawył, gdyż wszyscy widzieli, że Grębosz trafił w piłkę, a nie w nogę rywala. Jednak sędzia widział lepiej i Antonin Panenka w swoim stylu pokonał Młynarczyka. Od tej pory Widzew przygasł. A Rapid coraz śmieiej przymierzał się do zadania kolejnego ciosu.

Zirytowany Kostecki sięgnął po kolejnego sporta. Przez chwilę mocował się z zapalniczką. Wreszcie zapalił. Zaciągnąwszy się z animuszem, poczuł przyjemne odprężenie. Przez chwilę obserwował czerwone ogniki na zwieńczeniu papierosa. „Chyba tylko w tym żalonym państwie ktoś mógł nadać fajkom nazwę »Sport«” - pomyślał z rozbawieniem. „Ciekawe, kiedy wódce dadzą nazwę »Czuły kochanek« albo jabolowi - »Zemsta teściowej«. Na salceson, zamiast »cwaniaczek«, można by mówić: »W Oświęcimiu tego nie mieli«. Na pomarańcze

zaś - »Towarzysz Che«". Zaśmiał się sam do siebie. Przecież pomarańczy nawet na Kubie pewnie już nie ma. Ale ten „Czuły kochanek”? Na tylnej etykiecie mógłby być napis: „Wzmacnia pożądanie, osłabia wykonanie”. Zaciągnął się ponownie. Z nabożną czcią wymacał w kieszeni małą piersiówkę, którą dostał od majora Błochina z Kijowa. „Ciekawe, czy to jakiś krewny Olega?” - pomyślał. Piersiówkę miał na wypadek porażki. Tak w razie czego.

Gdy papieros dogasł, na murawę stadionu przy alei Unii wybiegli piłkarze obu drużyn. Kiedy dziesięć minut potem Austriacy strzelili drugiego gola, Tadeusz po raz kolejny wymacał prezent od majora Błochina. Zacisnęła na srebrzystym metalu palce i wraz z tysiącem kibiców ryknął z całej siły.

Gromkie „ertees!” przetoczyło się przez stadion. Tłum zawirował. Włóczkowe szaliki stworzyły czerwono-biało-czerwony kobierzec. Stadion przypominał kocioł czarownic, w którym raz po raz wybuchały czarcie mikstury. Niesiony dopingiem Widzew powoli podnosił się z kolan. Widzewska maszyna na powrót wchodziła na najwyższe obroty. Poszczególne elementy zaczęły się zazębiać. Turbiny napędzały ustrojstwo, pompy tłoczyły powietrze. Młot dźwigał się do uderzenia. Polski Manchester ruszył z impetem. W sześćdziesiątej trzeciej minucie młot uderzył. Surlit po raz kolejny wypróbował wytrzymałość siatki. Osiem minut później dziewiętnastoletni Wraga przyjął piłkę na środku boiska i pognął jak szalony w stronę Feurera. Niczym profesor wepchnął piłkę do pustej bramki. Stadionem wstrząsnął szal radości. Pięć dwa!!! Tadeusz rzucił się w objęcia przypadkowych widzów. Stadionowi

chorążowie dźwignęli klubowe sztandary. Czerwień i biel przykryły betonową konstrukcją. Czerwono-biało-czerwony dywan przetoczył się przez trybunę. Fiesty nie zmaćcił nawet samobójczy gol Grębosza. Widzew wygrał pięć do trzech i w marcu miał zagrać w ćwierćfinale Pucharu Europy.

Uradowany Tadeusz zapomniał o piersiówce. Zamiast wypić haust wódki, poszedł na trening judo. Z alei Unii do Hali Gwardii miał blisko. Rozpierała go energia. Wskoczywszy do swojego poloneza, uruchomił silnik i ruszył, mijając po drodze wysłużone syreny, sponiewierane warszawy oraz ryczące niczym rakiety SS-20 zaporozńce. Jadąc, przegryzł kanapkę z serkiem Widszewskim. Po piętnastu minutach jazdy zatrzymał wóz przed klubem Gwardia.

Przed wejściem stało dwóch przedstawicieli łódzkiego lumpenproletariatu.

- Dobry wieczór, panie poruczniku - zagaił jeden z nich.

- Kłaniam się władzy ludowej - uniżenie wycedził drugi.

Kafel i Posejdon byli stałymi rezydentami rewiru między Mickiewicza, Piotrkowską, Kościuszki a Zieloną. Byli w wieku porucznika, jednak ich twarze wyglądały niczym zeschnięte pieczywo. Głębokie bruzdy wryte na facjatach przypominały o hektolitrach wody i jaboli, które dzień po dniu spłukiwały spleen z gardeł obu dżentelmenów. Za dnia koczowali przed pewexem. Niepisana umowa z cinkciarzami gwarantowała im dostęp do resztek wódki i piwa w zamian za amnezję podczas rutynowych pytań milicjantów. Zresztą przeszło pół roku temu milicja cinkciarzami przestała się interesować. Zawsze o godzinie dwunastej zajmowali się rezerwowaniem kolejki po wódkę.

Sami oczywiście nie kupowali, ale wdzięczni szczęśliwcy za każdym razem odwzajemniali się tak zwanym dziabem. Czyli solidnym łykiem pociągniętym z butelek skrywających przeźroczystry sposób na przetrwanie epoki realnego socjalizmu. Wieczory spędzali na różne sposoby. Czasem ktoś oddawał im portfel z biletami Narodowego Banku Polskiego. Czasami wystawiali w rozmaitych miejscach, licząc na uśmiech fortuny.

- Czołem, panowie - wesoło zawołał Kostecki.

- Oj tam, od razu „panowie” - zachnął się Kafel. - Panowie to za sanacji byli, tera to my są obywatele.

- Marceli Nowotko wystarczy? - Tadeusz zadał pytanie retoryczne.

- O, królu złoty - zapiszczał Posejdon. - Od razu widać, że pan porucznik z krwi i kości dziecko proletariatu. Wystarczy, wystarczy.

Uśmiechnięty Kostecki rzucił im monetę dwudziestozłotową. Obaj koryfeusze wiodącej klasy społecznej rzucili się na zdobycz. W drzwiach do klubu dobiegł go zduszony okrzyk dziękczynny. Sam nie wiedział, czy brzmiał: „Bóg zapłać”, czy też „Chuj ci na imię, cwelu”.

- Galancie, galancie - skwitował wynik meczu pan Miccio. - Pięć bramek! A my tylko litra mieli.

- Heniu! A może napijemy się tego piwa z Niemiec? - zawołała Irenka.

Heniowi pociemniało w oczach. Prawdziwe piwo z RFN. Złocisty napój prosto z Hanoweru. Prezent od córki Marty i zięcia Karla. Miało być na szczególną okazję. Na spotkanie z kolegami z politechniki. Już słyszał te ciamkania, siorbania, mlaskania. W imaginacji widział dziekana, jak

zanurza usta w prawdziwym piwie, a potem ociera wąsy z puszystej piany. Oczami wyobraźni widział, jak rektor z namaszczeniem otwiera puszkę. Po czym wlewa złoty płyn do potężnego kufla z herbem Hanoweru 96. Rozkoszował się tymi obrazami. Upajał odgłosami zachwyty nad jego życiową zaradnością. Wszak te wszystkie odgłosy i obrazy miały odsunąć w cień gęganie gęsi, muczenie krów, chrumkanie prosiąt taplających się na rubieżach Srocka. Miały sankcjonować jego życiowy sukces. Potwierdzać awans ze srockich pól i pastwisk do M3 na Dąbrowie. A teraz? Piwo z Zachodu dla Miecia i Czarka? Z bólem serca przyniósł z balkonu karton z dziesięcioma puszkami.

Po dziewięćdziesięciu minutach treningu Tadeusz czuł wszystkie mięśnie. Endorfiny wydzielone podczas meczu zostały wzmocnione kolejną transzą. Pod prysznicem namaścił ciało mydłem marki Studenckie. Co prawda mydło to nie mydliło się wcale, ale przez to na dłużej starczało. Zresztą Tadeusz wcale o tym nie myślał. Pijąc piwo Łódzkie, też nie oczekiwał, że się będzie pieniść. Cieszył się, że jest. Lekki jak piórko wsiadł do poldka i ruszył z werwą. Na retkińskiej ulicy, której patronował Salvador Allende, był za piętnaście dziesiąta wieczorem.

Retkińskie blokowisko sprawiało wrażenie wymarłej pustyni. Listopadowy wiatr przeciskał się przez przerwy między blokami i wył przeraźliwie. Z rzadka działające latarnie dawały słaby blask. Te, na których kibice ŁKS wyładowywali frustrację z powodów sukcesów Widzewa, wyglądały jak umarłe kikuty drzew w Górach Izerskich. Pozbawione żarówek dobrze komponowały się

z krajobrazem miasta i cmentarną ciszą blokowisk. Było coś makabrycznego w tej ciszy, jak gdyby mieszkańcy osiedla mieli wstać z rana z przekonaniem o życiowej niemocy. Upačkani w tłamszącej karmie niemożności zmiany przeznaczenia. Owinięte pledami kobiety będą rano cierpliwie ustawiać się w kolejce po porcję kaszanki lub salcesonu. Godzinami będą jęczeć nad swoim losem. Pomstować na swoich mężów, braci, ojców. Pogodzone z losem niewolnic będą błagać o kawał chabaniny, by zadośćuczynić potrzebom podstawowej komórki społecznej. Następnie przez osiem godzin będą siedzieć lub stać przy maszynach. W ich głowach hałas maszynerii będzie wybijał rytm niewolniczego losu. W dusznych, zapyłonych halach fabrycznych będą wdychać brud. Popędzane przez majstrów będą wyrabiać normy, wypełniać założenia planu, budować socjalizm, umacniać Polskę nad Odrą i Nysą Łużycką, stać na straży sojuszu ze Związkiem Radzieckim, torować drogę siłom postępu. Wichrzycielom i bumelantom będą mówić stanowcze „nie”. Tamując krew spływającą między nogami kawałkiem bawełny, będą dawać odpór rewanżystom i rewizjonistom. W połowie drogi między skrobanką a poronieniem będą przekuwać na czyn ideały marksizmu i leninizmu. Potem, stojąc na straży pokoju, będą gotować zalewajkę, by synowie byli gotowi oddać życie za ideały wielkiego października. By ich córki szły w ich ślady, nosząc z pokorą brzemię tradycji. Wieczorem będą rozkładać nogi przed swoimi mężami, rzadziej kochankami. Będą wdychać pot z niemytych ciał i z rzadka pranych skarpetek. Czuć sapanie z ust nieskażonych pastą do zębów. Udawać, by jak najszybciej

móc namoczyć pranie, wyprasować ubrania dla dziecka, podgotować obiad, zrobić kanapki, zacerować dziury, podpisać uwagi w dzienniczku, przyszyć tarczę do szkolnego stroju, modlić się, by choroba nie zwała z nóg, sprawdzić, czy ekspedientki nie oszukały przy wycinaniu kuponów w kartkach na mięso i inne produkty. Może zdążą zerknąć w lustro i zobaczą w nim twarze swych matek i babek. A rano spojrzą z wyrzutem na swoich mężów.

Mężowie pierwsze, co zrobią, to założą na rękę zegarki z siedmioma melodyjkami i czterema guziczkami. Zegarki kupione za równowartość jednej trzeciej pensji. Kupione na bazarze, na targowisku. Kupione, by z pogardą patrzeć na tych, którzy takich zegarków jeszcze nie mają albo noszą zegarki z trzema tylko guziczkami, bez melodyjek. Dla tych, którzy mają zegarki bez żadnego guziczka, nie warto nawet wysilać się, by nimi gardzić. Są pariasami. Te ich doxy są równie gówniane, co ruskie czasometry. Oni po prostu nie istnieją. Po założeniu zegarków mężowie ruszą do pracy, do roboty, do tyrki, do szwalń, budów, zakładów przemysłu takiego i siakiego, do spółdzielni, magazynów, ośrodków napraw. W pracy będą jeść kanapki z salcesonem, kaszanką, pasztetową. Ci biedniejsi zamiast pasztetowej będą jeść kanapki z plackami ziemniaczanymi, ale twierdzić, że to schabowe. W pracy będą myśleć, jak wynieść młotek, transformator, piłę do metalu, wiertarkę. Wynieść i sprzedać. A potem kupić zegarek z siedmioma melodyjkami albo pornosa z Reichu. Przed południem będą gorączkowo myśleć, kto kupi wódkę. Jak wykupią przydział z kartek, będą ustalać, gdzie jest meta. Na mecie wódkę można kupić od ósmej albo i siódmej. Można już rano

poczuć się panem swojego życia. Potem po fajrancie pędem biegną do kiosku po „Express Ilustrowany”. Po „Express” stoi się w kolejkach, bywa, że i stuosobowych. Po „Głos Robotniczy” nikt nie stoi, rano kolejek nie ma. Dlaczego tak się dzieje? Czym „Express” różni się od „Głosu”? A któż to wie? Pewnie niczym, ale stoją. Raz w tygodniu stoją po „Razem”. Na końcowej stronie „Razem” jest zdjęcie gołej panienki. Raz gołej panny zabrakło. Wtedy, gdy zdechł Breżniew. Kacap pierdolony. Jakiś aparatczyk chciał uczcić pamięć wodza światowego proletariatu i odebrał proletariatowi znad Wisły, Odry, Sanu i Bugu gołą niewiastę. Jak pan feudalny zdecydował, przy jakiej okazji jego pańszczyźniani chłopci będą oglądać gołe cycki. Przed wojną fabrykanci zmuszali synów pańszczyźnianych chłopów, by ci płakali na pogrzebach swoich pryncypałów. Za Kongresówki carscy siepacze ustawiali wielkie szubienice, by byli pańszczyźniani chłopci drżeli przed majestatem dwugłowego orła. Lata płyną, czasy się zmieniają, pańszczyźnianym chłopom wymyśla się nowe nazwy, a oni trwają. Po dawnemu wymigują się od pracy. Nienawidzą karbowych, ekonomów. Nienawidzą swoich panów, ale widzą, że to dzięki nim mają na chleb z salcesonem. W niedzielę idą odwiedzić plebana. Nie wierzą, ale idą. Nie rozumieją, ale czują. Palą Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Rzucają na tacę swoje niedojedzone salcesony. Stoją w przedsionkach i spoglądają na swoje zegarki z melodyjkami. Podczas podniesienia dziwnie kucają. Gdy dzień jest ładny, w trakcie kazania idą na fajkę. Ich kobiety chwalą łąki umajone, a oni kucają. Po co przychodzą? A któż to wie? Ich dziadowie spod

Zduńskiej Woli też kucali. A w dni ładne siedzieli na murku wokół kościoła. I też rzucali na tacę niedojedzone salcesony. Podczas pasterki wchodzili do środka. W żyłach pulsowała okowita. Ich wnukowie okowity nie piją. Tylko żytnią i wyborową, ale podczas pasterki też wchodzą do środka. Niepewnie, ale wchodzą. Podczas majowych komunii wchodzą rzadko. Z reguły jest już ciepło. Toteż stoją w miejscu, gdzie w ich rodzinnych wioskach znajduje się murek wokół kościoła. Wiosna, panie sierżancie.

Nagle Tadeusz usłyszał jakieś zdławione okrzyki. Dochodziły z kępy krzaków rosnących blisko przystanku. Instynktownie ruszył naprzód. Gdy wpadł w zarośla, zobaczył kobietę przyciskaną do ziemi przez dwóch drabów. Walka trwała krótko. Pierwszy - ze złamaną ręką - czmychnął w popłochu, drugi dał drapaką zaraz po spektakularnym wykręceniu ręki pierwszego. Na mokrej ziemi leżała niedoszła ofiara. Tadeusz podszedł bliżej i podał rękę kobiecie. Ta cała dygotała z zimna i strachu. Porucznik z uwagą przyjrzał się jej smukłej, dwudziestoparoletniej figurze. Mokre, ubłocone kędziory opadały na ładną, bladą z trwogi twarz. W robionym na drutach swetrze tkwił opornik. Tadeusz zdjął kurtkę i okrył nią kobietę. Podziękowała ruchem gałek ocznych.

- Odwiozę panią do domu - powiedział.

W odpowiedzi wybuchnęła płaczem.

Piwo z Niemiec rozpląnęło się w ustach biesiadników w mgnieniu oka. Pan Miecio i pan Czarek skonstatowali, że wypite piwo zmotywowało ich co najwyżej do częstszego odwiedzania toalety. Na stan odurzenia alkoholowego nijak

nie wpłynęło. Zrozpaczony pan Miecio zaproponował salomonowe rozwiązanie.

- Heniu, a może skoczyć do Gryglaszewskiej? Ona ma różne nalewki. Co to jej ojciec nieboszczyk robił jeszcze za Gierka. No, to znaczy przed kartkami.

Henio nie zdążył odpowiedzieć, bo do mikroskopijnego przedpokoju wszedł Andrzej. Trzynastoletni syn Henryka i Ireny.

- Jezus Maria! Tak się martwiłam! - zawołała Irenka.

W odpowiedzi Andrzej z dumą rozpostarł szalik Widzewa i ochryłym głosem zawołał:

- Zwycięstwo!

Nie padł jednak martwy - jak posłaniec spod Maratonu - tylko łakomie spojrzał na resztki mielonki.

- Już ci, synku, robię kanapki - powiedziała Irenka.

- Wreszcie jesteś - odezwał się Henio. - Zanim zjesz, to skocz do Gryglaszewskiej po butelkę nalewki. Powiedz, że ja proszę.

Andrzej ruszył rażno ku drzwiom sąsiadki.

- No, to tera godnie uczcimy awans do ćwierćfinału! - z radością zawołał pan Miecio.

Nie zdążył jednak zapalić, gdy do pokoju wpadł jak bomba Andrzej.

- Gryglaszewska chyba nie żyje! - krzyknął.

Wieczorem Kafel i Posejdon zasiedli w swej dusznej izdebce. Oprócz starego wyra pamiętającego czasy cara Mikołaja, w pomieszczeniu właściwie nic nie było.

- Ile to się człowiek musiał psiarni nakurwić, by te parę groszy zdobyć! - z abominacją do własnej słabości

powiedział Kafel.

Posejdon nie był w nastroju do filozoficznych uniesień. Z kieszeni wyjął za to flakonik z aknosanem. Z zakamarków barłogu wyciągnął kawałek waty. Dobrze, że ją miał, bo tego dnia w aptece waty nie było. Nie było jej także wczoraj i nie będzie jutro. Z namaszczeniem rozdzielił watkę na dwie części i nasączył tamponik aknosanem.

- Chuj w dupę milicji - zachrypiał Posejdon.

- Byle nie mój - odpowiedział Kafel z godnością.

Obaj synowie robotniczego miasta zanurzyli tampony w odbytach. Po chwili świat stał się kolorowy.

Rozdział 2

Do mieszkania Gryglaszewskiej porucznik Kostecki przybył chwilę po północy. Na miejscu trwały prace milicyjnych techników. Denatka była już po pobieżnych badaniach lekarskich.

- Zgon nastąpił najprawdopodobniej na skutek urazu głowy - wycedził na powitanie doktor Andrzejewski.

- Narzędzie o tępych krawędziach? - zapytał Kostecki.

Obaj panowie podali sobie prawice.

- Nie. Raczej nie. Na ten moment nie mogę powiedzieć dokładnie.

- To co w takim razie?

Kostecki rozglądał się po niewielkim mieszkaniu. Gryglaszewska leżała tyłem do drzwi wejściowych.

- Nie wiem jeszcze. Wygląda to na śmierć w wyniku uderzenia lub kopnięcia. Więcej powiem po sekcji zwłok.

- Kopnięcia?

W mieszkaniu panował pewien rozgardiasz. Na tle bałaganów będących wynikiem rabunków ten jawił się jako umiarkowany. O bajzlach w melinach, gdzie Kostecki bywał z reguły jako oficer zajmujący się zabójstwami, nawet nie było co myśleć. Tam nieporządek był stanem normalnym. Rozbryzgany mózg na ścianie konkubiny lub konkubenta stanowił nieraz ciekawy dodatek artystyczny. Siekiera w takich wypadkach bywała z kolei przypadkowym, acz nieszablonowym instrumentem ekspresji co bardziej

krewkich łodzian. Takie sprawy Kostecki lubił najbardziej, bo wykrycie sprawcy zajmowało niewiele czasu. Szybkie zidentyfikowanie winnego miało też ten plus, że kontakty z prokuratorem Jasiną były krótkotrwałe i nader formalne. Damiana Jasinę Kostecki darzył nieskrywaną niechęcią. Ten przybysz z Białostoczczyzny, z pochodzenia Białorusin, z miejsca wzbudził jego odrazę. Ambitny parweniuz po trupach wychodził ze swojego matecznika. W podstawówce był dyżurnym aktorem podczas obchodów rocznicy Rewolucji Październikowej. Dzień Ludowego Wojska Polskiego czcił tworzeniem okolicznościowych gazetek. Pierwszego maja szedł w szpicie pochodu w Krynkach. Dziewiątego maja składał kwiaty pod pomnikiem Armii Czerwonej. Jako prymus dostał się do liceum w Białymstoku. Tam wzbudził zdziwienie, organizując obchody rocznicy powołania do życia Polskiego Rewolucyjnego Komitetu, który miał instalować struktury władzy radzieckiej w Republice Polskiej. Wydarzenie to skonfundowało nawet czynniki decyzyjne władz wojewódzkich i miejskich. Nic dziwnego, że Jasina skończył liceum z rocznym opóźnieniem, gdyż przez kilka miesięcy kurował się z lekcji polskości, której udzieliło mu paru kolegów ze szkoły. Tajemnicą poliszynela było, że koledzy mieli ojców służących pod rozkazami Wilka, a nawet Łupaszki. Śledztwo jednak umorzono. Jasina dokończył edukację w Warszawie, gdzie podjął życiową decyzję o wyborze prokuratorskiej drogi. Od kilku lat mieszkał w Łodzi, co Kostecki uznawał za dowód na istnienie życiowego pecha. Świadomość, że tym razem współpraca z prokuratorem będzie dłuższa, nie dodawała porucznikowi

powodów do zadowolenia.

Przyjrzał się zamordowanej. Na oko miała pięćdziesiąt lat. Była skromnie ubrana. Na palcu widniała cieniutka obrączka. Mieszkanie też wyglądało skromnie, by nie rzec: ubogo. Na jednej ścianie wisiał krucyfiks. Na pozostałych znajdowały się obrazki Matki Boskiej oraz Jana Pawła II. Motyw rabunkowy? Kostecki intuicyjnie czuł, że nie jest to dobry trop. Chociaż nie można tego od razu wykluczyć. Na biurku obok książki Jana Dobraczyńskiego, Listy Nikodema, stała w ramce fotografia młodej dziewczyny. Podobieństwo do matki było wyraźne. Otworzył szufladę, gdzie było więcej zdjęć matki i córki. Porucznik zwrócił uwagę na kopertę ze znaczkiem z Kanady. Obok listu leżało kilka banknotów z wizerunkiem Waryńskiego i dwa ze szlachetnym obliczem naczelnika Kościuszki. W kuchni w garnku leżały resztki ziemniaków. Na kuchennej półce dumnie stały flaszki z jakimiś miksturami. Na każdej butelce była przyklejona kartka z podaną datą i rodzajem wkładu owocowego w nalewce. Daty kończyły się na 1980 roku. W kuchni znajdował się kolejny obrazek Matki Boskiej. W drewnie wyryta była twarz Czarnej Madonny, a pod nią daty 1382-1982. Na stosie gazet dominowały: „Zorza” oraz „Za i Przeciw”. Denatka sprawiała wrażenie głęboko wierzącej, ale i lojalnej względem socjalistycznej ojczyzny. Inaczej zamiast „Zorzy” leżałyby stare numery „Tygodnika Powszechnego”. Po dziełach Dobraczyńskiego pozostałoby tylko wspomnienie. Zaś Matka Boska widniałaby na tle czerwonego napisu „Solidarność”, „Wujek 81” lub „Lubin pomścimy”.

- Mam coś! - Wąsaty sierżant Jurga zwrócił się w stronę

porucznika.

W ręku miał kopertę z dziesięcioma dolarami. „To chyba jedyny majątek Gryglaszewskiej” – pomyślał porucznik. Raczej nie tej koperty szukał sprawca. Jeżeli w ogóle czegoś szukał.

Mimo środka nocy nikt z sąsiadów zmarłej nie spał. Najbardziej zaaferowany był trzynastoletni Andrzej. KostECKI szybko zorientował się, że wizyta u Gryglaszewskiej była spowodowana potrzebą pożyczania nalewki. Andrzej żywo relacjonował:

- Jak wszedłem, to pani Barbara leżała w przedpokoju. Myślałem, że zemdląca albo osłabła.

Sąsiedzi byli przekonani, że horyzontalna pozycja Gryglaszewskiej była spowodowana kłopotami ze zdrowiem. Dlatego też najpierw wezwano pogotowie. To lekarz pogotowia zawiadomił milicję.

Najbardziej skonfundowany był Henryk. Wstyd mu było, że wysłał nieletniego syna do sąsiadki po alkohol. Miał nadzieję, że ani dziekan, ani rektor o tym przykrym incydencie się nie dowiedzą. Tymczasem KostECKI na gorąco wypytywał o zamordowaną.

- To była dobra kobieta – mówiła Irenka z przejęciem. - Cicha, spokojna. Do rany przyłoż. Sama mieszkała, odkąd jej córka Justyna wyjechała za granicę. Moja córka też mieszka za Zachodzie, w RFN.

- A ten alkohol? – dopytywał sierżant Jurga.

- Że niby na handel? – Irenka się przeraziła. - Nie, skądże. Jej ojciec nieboszczyk lubił robić nalewki. Ale to tylko tak dla rodziny, sąsiadów. To porządna kobieta była.

- Skarżyła się, że ktoś ją nagabuje, zaczepia? – zapytał

Kostecki.

- Nie. Nic nie mówiła. To była taka dobra kobieta - odparła Irenka przez łzy.

Powierzchowne pytania nie uchyliły ani rąbka tajemnicy. Cicha, spokojna, niebogata kobieta. Samotna. Pochowała rodziców. Jedyna córka tuż przed stanem wojennym wyjechała na Zachód. Tak Barbarę Gryglaszewską widzieli sąsiedzi.

Nad ranem śmiertelnie zmęczony Kostecki dotarł do swojego mieszkania. Jak zawsze w takich sytuacjach nie mógł zasnąć. Sięgnął po prezent od majora Błochina i wypił duszkiem. Spał niespokojnie.

Następnego dnia, za kwadrans piętnasta, w gabinecie kapitana Zdzisława Banasika zebrał się zespół prowadzący śledztwo. Oprócz Kosteckiego byli tam starszy sierżant Jurga oraz podporucznik Stefan Pająk. Kapitan z uwagą przyjrzał się podwładnym. Zdecydowanie bardziej był społecznikiem niż milicjantem. Gdyby komunistom zależało na poparciu społeczeństwa, tacy ludzie jak Banasik piastowaliby najważniejsze urzędy w państwie. Jednak wcale im nie zależało. Dlatego Banasik był tylko kapitanem mimo wzorowej służby, niezłomnej lojalności i wysokich - dla swoich podwładnych zdecydowanie za wysokich - walorów moralnych. Jego pasją była walka z nałogami, osobliwie z alkoholizmem. Był działaczem społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego. Każdego dnia po pracy meldował się na alei Schillera 4, gdzie mieścił się Oddział Wojewódzki. Kilka lat temu dał się poznać jako inicjator masowego oddawania krwi przez pracowników MSW. Akcja ta zakończyła się skandalem, aczkolwiek szybko utajnionym.

Ponad trzy czwarte przyszych honorowych krwiodawców nie było w stanie wypełnić zaszczytnego posłannictwa, gdyż nie spełniało wymogu kilkudniowej abstynencji. Dla Banasika był to z jednej strony cios, ale również bodziec do dalszej walki o trzeźwość obywateli. Tematem żartów ze strony innych funkcjonariuszy były opowieści o tym, jak Banasik publicznie darł kartki na alkohol, nie dając sobie wytłumaczyć, że może wymienić je na inne.

Wobec swoich współpracowników kapitan był wymagający i krytyczny. Osobliwie dla podporucznika Pająka, który nie dość, że za kołnierz nie wylewał, to jeszcze nie ustatkował się rodzinie i cały czas żył w różnych konkubinatach. Właściwie Pająk dawno miał odejść z zespołu, ale czynniki decyzyjne mocno naciskały Banasika, by został. Podporucznik był bowiem utalentowany literacko i jako jedyny łodzianin pisywał do sztandarowego pisma MSW - „W Służbie Narodu”. Innym problemem Pająka była jego niechęć do sportu, którą Banasik, jako zawzięty biegacz, tolerował z trudem. Nieco lepiej wyglądała sytuacja Jurgi. Co prawda starszy sierżant był równie sceptycznie nastawiony do wysiłku fizycznego, jednak w oczach przełożonego zyskiwał uznanie jako wzorowy ojciec dwóch córek - Heleny i Gabrysi. Jurga gorliwie wypełniał swoje zadania, gdyż panicznie bał się gniewu szefa, gdyby wyszła na jaw jego ściśle antypaństwowa działalność. Otóż Jurga nijak nie potrafił nasycić się przydziałem kartkowym mięsa. Jego marzeniem było prowadzić porządną knajpę z dobrym garmazem. Ogromny żal pomieszany z zazdrością odczuwał zawsze wtedy, gdy widział zagraniczne kryminały, w których policjanci zajadali się hamburgerami i hot dogami.

Oczywiście nikt nie zajadał się tymi specjałami w enerdowskim serialu Telefon 110, dlatego Jurga nigdy tych filmów nie oglądał. By spełnić chociaż namiastkę marzeń, sierżant regularnie kursował na wieś i tam, drogą absolutnie uwłaczającą godności milicjanta, kupował różnej maści luksusowe specjały. Nabywanie kiełbas, pasztetowych, boczków i flaków obowiązkowo zespolone było z rytualnym pićm bimbrow. Dlatego też Jurga, panicznie bojąc się wpadki, kluczył i zmieniał trasy dojazdu do swoich dostawców. Na szczęście nie brakowało mu benzyny, gdyż część mięsa przekazywał znajomemu milicjantowi, który pracował przy przyjmowaniu transportu paliwa na potrzeby Komendy Wojewódzkiej. Najmniej Banasika obawiał się Kostecki, po prostu ignorował zaczepki szefa, który regularnie wytykał porucznikowi stan kawalerski mimo przekroczonej trzydziestki.

Tym razem kapitan nie tracił czasu na osobiste wycieczki, tylko od razu przeszedł do meritum.

- Jakie mamy wstępne ustalenia? - zaczął odprawę.

- Barbara Gryglaszewska, rozwiedziona, lat czterdzieści siedem, cicha, spokojna, skromnie żyjąca bibliotekarka. Wszystko wskazuje na to, że niespecjalnie bogata. Rok temu jej córka wyemigrowała, to znaczy nielegalnie pozostała na Zachodzie. Obecnie jest w Kanadzie. Rodzice nie żyją. Matka zmarła w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym na raka, ojciec w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym - na wylew. Były mąż to birbant i hulaka. Zostawił rodzinę, jak córka miała rok. Jakiś filmowiec, od zdjęć czy też montażu. Nie utrzymywał relacji z denatką i córką. Brak poszlak odnośnie do wrogów albo ponurych

tajemnic. Brak związków z tak zwaną opozycją, czyli elementami antypaństwowymi. Wierząca. Niewielkie grono znajomych. Właściwie po śmierci rodziców swoje kontakty towarzyskie, bynajmniej niezależne, ograniczała do najbliższych sąsiadów – nader treściwie zdał relację Kostecki.

- Ten konował coś już ustalił? - Banasik nie lubił doktora Andrzejewskiego.

- Wstępne ustalenie to takie, że zginęła w wyniku kopnięcia - rzekł Kostecki.

- Kopnięcia?

- Na czole i twarzy denatki znaleziono resztki ziemi i pasty do butów. Andrzejewski twierdzi, że zginęła od pierwszego potężnego ciosu. Jutrzejsza sekcja zwłok ma to potwierdzić.

- Dziwne, nawet bardzo. - Banasik był wyraźnie zafrasowany.

- Dziwne jest też to - ciągnął Kostecki - że denatka leżała tyłem do drzwi wejściowych. Morderca dostał się do środka dzięki profesjonalnemu sprzętowi. Nasi specjaliści orzekli, że wytrychy tego rodzaju są u nas bardzo rzadkie. Stosują je zaś powszechnie bandyci z krajów kapitalistycznych. Znaczący to tyle, że Gryglaszewska raczej nie znała przestępcy lub znała go słabo, względnie nie życzyła sobie utrzymywać z nim kontaktów.

- Bardzo dziwne. - Kapitan był zaintrygowany. - Tego byłego męża sprawdziliście?

- Facet ma żelazne alibi, kręci zdjęcia czy też je montuje na północ od Suwałk.

- Hm. - Banasik podrapał się po łysiejącej czaszce. -

To znaczy, że nie mamy właściwie żadnego punktu zaczepienia.

Do rozmowy wtrącił się Pająk:

- Sąsiedzi nic nie słyszeli. Oglądali mecz. Pora działania sprawcy pewnie nie była przypadkowa. Duża część ludzi oglądała wtedy to spotkanie. Niektórzy nawet pili alkohol.

Ostatniemu zdaniu Pająk chciał nadać charakter dezawuujący, jednak niespecjalnie mu to się udało.

- Denatka miała w torbie książeczkę do nabożeństwa. Najprawdopodobniej szła do kościoła na wieczorne nabożeństwo. To był jej stały rytuał. Chyba czegoś zapomniała i zawróciła do mieszkania. To zaskoczyło bandytów, którzy najwyraźniej musieli wcześniej zrobić dobre rozpoznanie terenu. Mówię w liczbie mnogiej, bo technicy ustalili, że sprawców było co najmniej dwóch - dopowiedział Jurga.

- Zdumiewające. Profesjonalni przestępcy, którzy na dodatek perfekcyjnie posługują się sztukami walki, włamują się do pobożnej bibliotekarki. - Kapitan nie mógł się nadziwić. - Obawiam się panowie, że czeka nas trudne śledztwo.

Rozdział 3

Niedzielny obiad u wujostwa Kingi był dla Kosteckiego uczną podwójną. Po pierwsze, jadł makaron Barilla. Nazwa tej firmy widniała na czerwonych trykotach AS Roma. Od mundialu w Hiszpanii Kostecki, jak i połowa świata, zwariował na punkcie piłkarzy z Brazylii. W klubie nad Tybrem grał długonogi Falcao i nic dziwnego, że koszulki klubu grającego na Stadio Olimpico Kostecki kojarzył w najmniejszych drobiazgach. Makaron był w kolorze zielonym, co całkowicie zaskoczyło porucznika. Do owego zielonego makaronu dodany był kotlet z sera popularnie nazywanego „regankiem”. Kiedy na deser podano pomarańcze z prawdziwą czekoladą, Tadeusz zrozumiał, że wbrew zdaniu Jerzego Urbana opozycja ma się dobrze i zbiera siły na zadanie ostatecznego ciosu. Że będzie to cios zwycięski dla sił antysocjalistycznych, nie miał żadnych wątpliwości. Jeżeli by na szali położyć obiad u wujostwa przeciwko wiktowi z milicyjnej stołówki, to wynik byłby przesądzony. Pałaszował aż miło, zastanawiając się, jaką obrać strategię. To, że niewiasta, którą uratował z rąk oprychów w środowu wieczór, niespecjalnie utożsamiała się z wizją PZPR, zauważył od razu. W klapie płaszcza miała zamontowany opornik. Teraz jednak przekonał się, że znalazł się w prawdziwej jaskini solidarnościowej ekstremy. Na słomkowej macie były przyczepione znaczki Solidarności i inne antyrządowe precjoza. Szczególną uwagę zwrócił

na kawałek papieru toaletowego, na którym jakiś znakomity rysownik umieścił wierną podobiznę generała Jaruzelskiego. Był to niezbity dowód, że imperialistyczne siły ze wzmożonym zapalem przystępowały do podważania politycznego ładu nad Odrą i Nysą Łużycką. Żaden normalny Polak - partyjny czy bezpartyjny, wierzący czy niewierzący, gruby czy chudy - nie zaryzykowałby utraty tak strategicznego produktu, jakim był papier toaletowy. Był to widomy znak, że poza darami pod postacią czekolady, leków, podpasek, żółtego sera, salami i gumy do żucia sojusz światowego kapitalizmu wytaczał armatę największego kalibru - papier do podcierania dupy. Drugim dowodem na chęć zbrojnego obalenia władzy ludowej był gipsowy odlew twarzy Jerzego Urbana. By nadać rzecznikowi rządu marsowy wygląd, autor pomalował swoje dzieło na kolor różowy.

Kinga była niebywale piękną kobietą. Smukła sylwetka i kasztanowe włosy czyniły ją podobną do Fridy z ABBY. Jej niezwykle wdzięk Tadeusz zauważył już podczas akcji ratunkowej, jednak z uwagi na okoliczności nie mógł nasycić oczu całą gamą odcieni piękna. Kinga lśniła urodą dwudziestokilkuletniej kobiety. Naturalnie, acz delikatnie kręcone kasztanowe włosy ładnie konweniowały z robionym na drutach swetrem. Jeżeli się nie mylił, na kremowym tle widniała podobizna Mozarta. Zgrabne nogi opinały jeansy Wranglera. Kostecki z każdym kęsem makaronu Barilla przekonywał się, że przyływ odwagi w środowy wieczór był ze wszech miar działaniem *par excellence* pożądanym. Był tylko pewien problem. Kostecki był z MO.

- Gdzie pan pracuje, panie Tadeuszu? - zagadnął

w przerwie między makaronem a pomarańczami wuj Kingi, pan Mieczysław.

Kostecki postanowił iść na całość.

- Remontuję silniki w maszynach przedzalnianych.

- A w jakich zakładach? - dyskretnie wypytywał wuj.

- W różnych, bo ja z Gdańska jestem. W Łodzi tylko czasowo.

- Z Gdańska? - Kinga aż podskoczyła na krześle.

- Tak... - Dopiero teraz Tadeusz skonstatował, że bezpieczniej było wskazać na przykład na Koszalin.

- Jak nastroje w kolebce Solidarności? Był pan na mszy u świętej Brygidy?

Tadeusz po chwili konfuzji łapał wiatr w żagle.

- Służyłem księdzu Jankowskiemu jako lektor i ministrant.

- Wielki człowiek. - Pani Jadwiga, ciotka Kingi, wzniosła ręce ku niebu.

- Zaiste, bohater - dorzucił Mieczysław.

- I co? Jaki on jest? - dopytywała Kinga.

- Niezłomny. Tacy jak on nigdy się nie poddadzą.

- Amen - rzekła Jadwiga z najgłębszą powagą.

Po kilku kieliszkach pysznej aroniowej nalewki Tadeusz gotowy był wcielić się nie tylko w ministranta czy lektora, ale wręcz w agenta Bonda, który przybył uwolnić Wałęsę i stanąć wraz nim na czele powstania. Z każdym kieliszkiem czuł się lepiej w nowej roli.

Po kawie, niestety zbożowej, wujostwo z namaszczeniem orzekli, że idą do kościoła. Tadeusz i Kinga zostali we dwoje. Porucznik czuł się jak w raju. Miał wrażenie, że zna ją sto

lat. Była mądrą i ciekawą świata osobą. Natychmiast znaleźli wspólny język. Stachura, Cohen, Andrzejewski, Miłosz. Wajda, Pasolini. Tadeusz błogosławił wszystkie chwile spędzone nad książkami. Jakoś żadna z dotychczas poznanych pań nie gustowała w podobnych tematach. Problemy związane z meblościankami albo z talonem na radziecki telewizor Rubin szybko go nudziły. Za to nie nudziły chwile spędzone w Hotelu Centrum, ale te akurat traktował, nomen omen, wybitnie instrumentalnie.

Z chwil rozkoszy wyrwało Tadeusza głośnie chrząknięcie Mieczysława. Dopiero teraz porucznik zauważył, że zbliża się dziesiąta. I pora na wyjście jest wielce sposobna, by nie rzec, że ostateczna.

- Może jutro spotkamy się u Jezuitów? - na odchodnym zawołała Kinga.

- A o której?

- Jak to, nie wiesz? No pewnie, przecież ty z Gdańska jesteś. O dziesiątej. Ulica Sienkiewicza.

- To do dziesiątej!

Tadeusz był tak szczęśliwy, że nie dbając o to, że ma już trzydzieści dwa lata, zjechał po poręczy z trzeciego piętra bloku na Żubardziu.

Następnego dnia Tadeusz wraz z tłumem ludzi włą się do kościoła. Mimo że był urodzonym łodzianinem, nigdy w tym miejscu nie był. Zresztą, jak skonstatował, właściwie chyba nigdy nie był w żadnym kościele. Nerwowo rozglądał się wokół. Bał się, że nie będzie wiedział, kiedy uklęknąć, a kiedy wstać. Na szczęście wczuł się w reakcje tłumu i działał instynktownie. Tylko raz wpadł w popłoch, kiedy przed czytaniem ewangelii wierni wykonywali jakieś dziwne

ruchy na wysokości czoła, ust i serca. Na szczęście nikt nie zwracał na niego uwagi. Przez pierwszą część mszy Kostecki wyraźnie się nudził. Zastanawiał się, ilu esbeków jest w nawach i czy któryś go przypadkiem nie rozpozna. Zawsze mógł powiedzieć, że do jaskini antypaństwowych ekstremistów przybył w sprawach śledztwa. Po ewangelii wierni ucichli. Wpatrywali się w ołtarz, przy którym stał niewysoki ksiądz. Ojciec Miecznikowski rozpoczął kazanie.

- Bardzo wiele osób zwracało się do mnie z zapytaniem, co się stało w zakładzie karnym w Kwidzynie w dniu czternastym sierpnia z naszymi internowanymi, jakie są fakty. W zakładzie karnym w dniu czternastym sierpnia stała się rzecz straszna: w wyniku akcji ZOMO, wezwanego przez władze więzienne dla uciszenia protestu internowanych, gdy wielu rodzinom internowanych odmówiono widzenia, kilkudziesięciu z nich zostało pobitych pałkami, skopanych. Niektórzy funkcjonariusze zachowywali się wobec bezbronnych w sposób bestialski, żądali od leżących na ziemi całowania butów, lżyli ich i w inny sposób deptali ich godność ludzką.

Przez nawy przeszedł szmer oburzenia.

- Mam obowiązek o tych faktach was powiadomić, zwłaszcza że kilku pobitych i znieważonych to nasi bracia i synowie - internowani z terenu naszej diecezji i ziemi łódzkiej.

Kostecki z uwagą nadśluchiwał, gdyż o podobnych wydarzeniach nic nie wiedział. Nic mu nie mówił też ojciec, który regularnie, acz nie bezkrytycznie, słuchał Głosu Ameryki. Tymczasem kaznodzieja kontynuował.

- Co może usprawiedliwić te metody - jaki cel? Mówi się

o politycznych zakusach pewnych kół społecznych, o zagrożeniu władzy. De facto gra tu rolę paniczny strach, bo oto naprzeciw ideologii, której oblicze się odsłoniło, i naprzeciw doktryny, która nie miała de facto godnej alternatywy, wyrósł ruch autentycznie humanistyczny i społeczny. Wspomniane wydarzenia w Kwidzynie miały miejsce czternastego sierpnia, w dniu męczeństwa błogosławionego Maksymiliana Kolbego. Przedziwna zbieżność! W Oświęcimiu naprzeciwko siebie stanęły umundurowana ideologia i bezbronna rzesza więźniów, którzy zostali wtrąceni do obozu tylko dlatego, że bronili podstawowych wartości ludzkich. Po drugiej stronie był jednak wróg ukształtowany na pogańskich tradycjach. Tutaj zaś – na miłość Boską! – są rodacy, synowie tej samej ziemi i narodu, wychowanego na tradycjach kultury humanistycznej i chrześcijańskiej!”.

Kostecki nie mógł pojąć, jak tacy ludzie jak Miecznikowski mogli w realiach stanu wojennego mówić publicznie takie rzeczy. Wniosek był oczywisty – ekipa rządowa, przynajmniej na razie, bała się podnieść rękę na Kościół.

Porucznik patrzył na księdza wraz z innymi i nie mógł wyjść ze zdziwienia. Niewielki kapłan grzmiał głosem pewnym, silnym i zdecydowanym. Kostecki miał wrażenie, że to wcielenie księdza Brzóska, inkarnacja Piotra Wawrzyniaka, siła księdza Stojałowskiego. Pewnie taką charyzmę mieli Staszic i Kołłątaj 3 maja 1791 roku. Od sklepień starego kościoła odbijały się strzały z kopalni Wujek, wrzaski rannych i konających w Lubinie, odgłosy katowanych w Barczewie. Brzmiał głos ludzi domagających

się godności. Zdawać by się mogło, że nic nie jest w stanie podważyć racji niskiego księdza.

Po kazaniu Kostecki pogrążył się w swoich myślach. Na moment się przebudził, gdy Kinga, patrząc mu w oczy, uściśnęła jego rękę na znak pokoju. Rozdanie eucharystii i ogłoszenia duszpasterskie minęły niczym chwila. Gdy padły słowa: „Idźcie w pokoju Chrystusa”, w kościele rozległ się huk. Spod chóru dochodziły dźwięki. Tysiące rąk formowały z palców znak wiktorii. Z tysięcy gardeł wyrwał się śpiew: „Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki...”. Kostecki poczuł, jak przechodzą mu ciarki. „Otaczał blaskiem potęgi i chwały”. Pieśń uderzała o stropy i z podwójną mocą rozchodziła się po zakamarkach kościoła. Pod ścianą siedzieli żuawi śmierci François de Rochebrune’a. Kostecki słyszał repetowanie belgijskich karabinków, w kruchcie ostrzyli oręż kosynierzy generała Heidenreicha, wokół konfesjonałów stali strzelcy Edmunda Taczanowskiego. Maria Piotrowiczowa w stanie brzemiennym wzywała do boju pod Dobrą. Zawsze miał bujną wyobraźnię, a w szkole oprócz wychowania fizycznego najbardziej lubił historię.

Z historycznych imaginacji wyrwał go powiew rzeńskiego powietrza. Niedziela siódmego listopada była słoneczna, lecz chłodna. Temperatura spadła poniżej zera. Zaraz po mszy na dziedzińcu kościoła zebrał się tłum. Na początku Kostecki myślał, że filigranowy ksiądz porwał wiernych do zamieszek, jednak rychło się okazało, że tłum samoistnie uformował się w grupki dyskusyjne i towarzyskie. Wiedziony przez Kingę Tadeusz stanął przed taką parosobową ekipą. W grupie prym wiódł niewysoki czterdziestokilkuletni pan

z bródką podobną do tej, którą ongiś uwodził Krupską sam towarzysz Lenin. Obok gestykującego jegomościa stał około dziesięcioletni syn w kurtce całej pokrytej czerwono-biało-czerwonymi agrafkami. Chłopak dyskretnie szarpał ojca za rękaw, jednak ten – pogrążony w walce z komuną – syna nie dostrzegął.

- Będziemy wieszac wszarzy! - grzmiał pan z bródką Lenina.

- Włodku! Uspokój się! - Próbowała mitygować męża brunetka z trwałą na głowie.

- To Włodek i Ela Gruchotowie - Kinga przedstawiła Tadekowi parę.

- Cześć, Kinga - zawołał stojący obok Gruchotów brodac.

- Mirek! - Kinga się ucieszyła.

Z zapalem zabrała się do przedstawiania Tadeusza znajomym. Kostecki słyszał, że wszyscy są wspaniali, cudowni, fantastyczni.

Wspomniany Mirek był na poły osobistym kierowcą ojca Stefana. Czego Włodek Gruchot mu trochę zazdrościł, nazywając Mirka „Złotową”. Wszyscy byli pod wrażeniem informacji, że Tadeusz jest z Gdańska.

- Mamy w Gdańsku przyjaciół, Cichoszów - powiedziała Ela Gruchot.

- Nie mylić z Cichoniami - zawołał wesoło trzydziestoletni szatyn.

- Ooo, Marian - ucieszyła się Kinga.

Kostecki wściekał się na siebie za własną głupotę. Nie mógł sobie darować, że wypalił z tym Gdańskiem. Że też nie mógł skłamać, że jest z Elbląga, Tczewa, Świecia, względnie

Słupska lub Kołobrzegu. Zaraz go zaczyną wypytywać o szczegóły związane z miastem nad Motławą. Długo nie musiał czekać. Ale nie zdawał sobie sprawy, że cios przyjdzie z najmniej oczekiwanej strony.

- Dobrze wam idzie w trzeciej lidze i w Pucharze Polski też niezgorzej. Jak się ten wasz bramkarz nazywa? - pytał jedenastoletni Piotruś Gruchot. - Już mi się przypomniało, Tadeusz Fajfer. Ale z Widzewem grał Woźniak. Chodzi wujek na Lechię?

Kosteckiego zatkało. Po pierwsze - nie spodziewał się, że zostanie nazwany wujkiem, po drugie - atak od strony piłkarskiej był tak niespodziewany, że plany awaryjne, które miał w zanadrzu, natychmiast spaliły na panewce. A raczej jeszcze w ładownicy. Zachował jednak zimną krew i postanowił podjąć grę.

- Nie tak dobry, jak wasz Młynarczyk - odpalił.

- Dzisiaj ma grać Bolesta - powiedział mały Gruchot z nutą niepokoju w głosie.

- No właśnie, przecież dzisiaj gramy, to znaczy Widzew gra z Cracovią.

W odpowiedzi porucznik usłyszał stare kibicowskie zawołanie, którego mianownikiem były słowa: Cracovia, pasy i kutasy. Piotruś wypowiedział je jednak tak cicho, że wychwyciło je tylko milicyjne ucho Kosteckiego.

- Piotrek, nie męcz wujka. - Pani Gruchot wtrąciła się do rozmowy.

- Ależ mnie jest bardzo miło. - Porucznik był rad, że rozmawiając z małym kibicem, może uniknąć pytań o Cichoszów lub Cichoniów.

Sytuacja była opanowana, bo za przedstawianie

Kosteckiego ochoczo wzięła się Kinga. Tadeusz nie dowierzał, że nie tylko był ministrantem w parafii Jankowskiego, ale jeszcze brał udział w strajku. Na szczęście Kinga darowała sobie resztę fantazji i nie umieściła jego stryja w bohaterskiej poczcie gdańskiej, zaś wujenki w sztutowskim obozie koncentracyjnym. Zagrożenie powoli się oddalało, gdyż ster rozmowy wziął w swoje ręce Włodzimierz Gruchot. Od anegdotek z czasów służby w wojsku Włodek gładko przeszedł do procesu „Ruchu”. Można było odnieść wrażenie, że to nie Niesiołowski z braćmi Czumami, ale właśnie Włodek stał na czele tej jawnie antykomunistycznej organizacji. Z detalami opisywał swoje perypetie z SB. Kostecki tylko czekał, aż usłyszy, że podczas próby aresztowania Włodek wyciągnął zza paska parabellum i położył trupem trzech esbeków. Trzech następnych zginęło w pościgu. Ranny Włodek już miał włożyć lufę parabelki w usta, by nie sypnąć kumpli, gdy nagle...

- Obrależ ziemniaki na obiad? - Ela, żona Włodka, brutalnie zakończyła pościg.

Tymczasem Piotruś wyraźnie chciał coś ojcu zakomunikować. Dyskretnie szarpał go za rękaw, chrząkał, pokazywał na zegarek. Ale Włodek kompletnie nie reagował.

- Jakiś problem? - Kostecki zapytał chłopca.

- Jest za piętnaście dwunasta, myślałem, że zdążę chociaż na drugą połowę, ale przecież jak zwykle najważniejsi są znajomi. Jak byli w Rzymie u papieża, to błagałem ich, by przywieźli mi „Guerin Sportivo”. Zamiast gazety z plakatem Altobellogo przywieźli pomarańcze, którymi i tak później poczęstowali znajomych. - Piotruś

zatonął wzrokiem po zebranych przed kościołem niczym bazyliżek. Zdawać by się mogło, że wyciągnie scyzoryk i będzie rozkrawał brzuchy znajomków rodziców.

- Panie Włodzimierzu! Mogę na chwilę? - zagaił Tadeusz, ale Włodek był tak zajęty opowiadaniem przygód z wojska, że kompletnie nic nie słyszał.

Tadeusz wyłuszczył sprawę Kindze i dopiero ona, z pomocą najpiękniejszego uśmiechu, jaki miała w repertuarze, skłoniła Włodka do przerywania monologu.

- Za chwilę zacznie się mecz, a pana syn, to znaczy twój syn, chciałby go obejrzeć. Ja zaś mam na Roosevelta sprawę do załatwienia, tam jest telewizor, potem Piotrusia odwiozę.

- KostECKI był spięty i mówił trochę chaotycznie.

- Tak, tato, błagam! - Piotruś pałał entuzjazmem.

- Nie zawracaj głowy. - Ela zgasła nadzieję syna tak, jak Paolo Rossi zdmuchnął świeczkę marzeń Brazylii o mistrzostwie.

W sukurs załamanej Piotrusiowi przyszła Kinga.

- Ależ Elu, to dla nas żaden kłopot.

KostECKIEMU bardzo spodobał się zwrot „dla nas”. Po kilkuminutowych pertraktacjach i zapewnieniach Ela wydała zgodę.

- No dobrze, ale po meczu zapraszam was na obiad.

KostECKI poczuł miły szmer w żołądku. Zapowiadał się drugi z kolei opozycyjny obiad.

Ulica Roosevelta, łącząca Piotrkowską z Sienkiewicza, zachowała wiele ze swojego naturalnego uroku. Jej piękno często doceniali filmowcy, kręcąc tam szereg scen do różnych filmów. Porucznik z Kingą wspinali się na trzecie piętro secesyjnej kamienicy.

- Przyjaciel mojego ojca często wyjeżdża do sanatorium. Przesiedział sześć lat w stalinowskim więzieniu. Daje mi klucze, bym podlewał kwiatki i doglądał mieszkania.

Porucznik poczuł radość, że tym razem nie okłamał Kingi.

- Musisz mnie mu przedstawić. - Dziewczyna była zachwycona.

Gdy weszli do mieszkania, Piotruś rzucił się do telewizora. Musiało minąć kilka minut, nim urządzenie się rozgrzało i ukazało srebrny obraz. Sędzia Klaus Kusmanek wyprowadzał piłkarzy na stadion Cracovii.

- To ja pójdę zadzwonić do wujostwa i dam im znać, że zjem obiad u Gruchotów - powiedziała Kinga.

Zeszła na dół, by poszukać czynnej budki telefonicznej, co mogło zająć sporo czasu. Tymczasem rozpoczął się mecz. O dziwo, bardziej aktywną stroną byli krakowianie.

- Znowu Bolesta na bramce. - Piotruś był wyraźnie niespokojny o wynik.

- Daj mu szansę. - Kostecki próbował bronić nowego bramkarza Widzewa.

Jakby w odpowiedzi Bolesta wspaniałą interwencją sparował piłkę na róg.

- Niczym Robinson w tysiąc dziewięćset drugim, gdy Southampton podejmowało Aston Villę.

- Kto? - Tadeusz nie był pewien, czy dobrze usłyszał jedenastolatka.

- Robinson. Najlepszy bramkarz świata do czasu Zamory.

Na boisku gospodarze wbili gola po ewidentnym spalonym.

- Ty, kurwa, jebany hanysie pierdolony. - Chłopiec był

wyraźnie zde gustowany postawą sędziego. - Że też cię, cioto, Ruskie nie wywiozły. Folksdojczu szmatławy.

Kostecki był szczerze zdumiony bogactwem asortymentu bluźnierczego chłopca - bądź co bądź syna inteligenckich rodziców. Chciał udzielić młodzieńcowi adhortacji, ale Piotruś nie dopuścił go do głosu.

- Ale w sumie to nieźle gra ta Cracovia. Lustgarten byłby dumny.

- Kto? - Porucznik zauważył, że po raz drugi użył tego słowa.

- Lustgarten. Założyciel Cracovii. Żyd. Nic dziwnego, że się kumają z ŁKS-em. Te same geny, hehe. Pierwszy przykład z brzegu wystarczy: Praizner, Muhl, Hauptfleisch. Kaszner, Hanke i Kaffanke. No i znany patriota, Maurycy Poznański. Sami Polacy. - Młody kibic zaśmiał się pod nosem.

Kostecki nie bardzo wiedział, o co chodzi.

- To skład ŁKS-u z tysiąc dziewięćset jedenastego roku - rzucił Piotruś z nutką dezaprobaty w głosie.

- Aha. - Porucznik był mocno zdziwiony, jak bardzo chłopiec zaznajomiony jest z tematem.

Pod koniec pierwszej połowy Tłokiński wyrównał. Jedenastolatek zaczął wykonywać coś w rodzaju tańca rytualnego Apaczów. Skakał po pokoju i wymachiwał wszystkimi kończynami.

- Piękny gol, podanie w uliczkę, jak Masopust w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku, kiedy pokonał Gilmara.

- Skąd to wiesz? Przecież nie było cię na świecie. - Tadeusz był po raz kolejny zaskoczony wiedzą chłopca.

- Czytałem.

W przerwie meczu Piotruś postanowił dobić porucznika swoją erudycją.

- Jak myślisz, wujku, który skład Widzewa w historii był najlepszy?

- Myślę, że ten z sezonu osiemdziesiąt na osiemdziesiąt jeden. Boniek, Smolarek, Pięta. Najpierw Manchester, potem Juventus. Na koniec mistrzostwo.

- A ja myślę, że ten z lat czterdziestych. Gdy za grę w piłkę można było dostać w czapę albo iść do obozu. Majewski, Wachnik, Glaba, Dymke, Stępień, Karbowski, Ossowski, Dudek, Piekłarz. Kotarski był prezesem, a punktem kontaktowym była parafia świętego Kazimierza.

Mina Kosteckiego wyrażała podziw pomieszany z zaskoczeniem. Gdy sponiewierany obelgami Klaus Kusmanek wprowadzał piłkarzy na drugą połowę, wróciła Kinga.

- Boże, najbliższą czynną budkę znalazłam dopiero na rogu Kościuszki i Zamenhofa. Oczywiście była kolejka.

Powrót Kingi utemperował Piotrusia, który decyzje sędziego komentował ledwie słyszalnym szeptem. Po ruchu warg można było wywnioskować, że sędzia z Katowic nie poprawił swoich notowań u małego historyka futbolu.

Tymczasem Kinga zaczęła z uwagą oglądać mieszkanie. Z zaciekawieniem podeszła do ołtarzyka, który okupywał jedną ze ścian rudomiodowej meblościanki z Jugosławii. Na biało-czerwonym kobiercu wisiał orzeł w koronie, Matka Boska Ostrobramska, reprodukcja zdjęcia Dmowskiego oraz różne fotografie. Na jednej widać było dwóch młodych ludzi w niemieckich panterkach.

- To mój ojciec z Eustachym. Walczyli razem w powstaniu.

- A twój ojciec też siedział? - zapytała Kinga.

- Siedział, ale krócej, tylko w czterdziestym piątym. Oni byli z różnych bajek politycznych. Ojciec walczył w GL WRN, a Eustachy był endekiem.

- Twój ojciec był komunistą? Walczył w GL? - W głosie Kingi dało się wyczuć strach i lekką odrazę.

- Skąd! Był socjalistą. WRN to inaczej Polska Partia Socjalistyczna. Podczas okupacji mieli taki kamuflaż. Wolność, Równość, Niepodległość.

Mimo wyjaśnień czuł, że nie uspokoił Kingi. Postanowił przemilczeć, że ojciec po pięćdziesiątym szóstym roku zapisał się do PZPR i jest w partii do dziś mimo szeregu wątpliwości co do sensu posiadania legitymacji. Nie mógł wiedzieć, że tkwienie ojca w partii było podyktowane głównie troską o jego milicyjną karierę.

- A to Eustachy przed wojną. - Kostecki wyczuł, że postać przyjaciela ojca zdecydowanie bardziej nadaje się na sztandar walki z komuną.

Na zdjęciu uśmiechał się chwacko wysmukły młodzian odziany w uniwersytecką czapkę. W ręku dzierżył białą laskę, którą, jak się często chwalił, „bił Żydów i komunę”. Poglądy Eustachego były, delikatnie mówiąc, inne od poglądów ojca. Tylko piekło wspólnych walk barykadowych powodowało, że obaj panowie się przyjaźnili. Trauma życia w PRL umocniła ich przyjaźń, chociaż z zachowaniem pełnej autonomii światopoglądowej.

- Przystojniak! - zawadiacko stwierdziła Kinga.

- Jak ja! - z fasonem odpowiedział Tadeusz.

Spojrzeni na siebie z czułością. Kostecki na chwilę zapomniał, że jest milicjantem.

Tymczasem syki i wymachiwanie pięściami przez Piotrusia były widowym znakiem, że Widzew stracił drugą bramkę. Młodzian bił głową o solidne dziewiętnastowieczne mury.

- Po wyjściu z więzienia Eustachy był wrakiem człowieka - opowiadał Kostecki. - Komuna zabrała jego rodzinie cały majątek. Zresztą z rodziny niewiele zostało. Ojciec pomógł, spłacając dług z powstania. I tak Eustachy został moim przybranym wujem.

O tym, że mieszkanie, podobnie jak pobyty w sanatorium, ojciec załatwiał Eustachemu, angażując się w działalność ZBOWiD-u, Tadeusz nie mówił. Sam Eustachy o tym nie wiedział. Względnie wiedzieć nie chciał.

- Jeeest! - Tym razem Piotruś podbiegł do telewizora i zaczął całować kudłatą głowę Surlita.

Kostecki rzucił okiem na powtórkę. Surlit w swoim stylu huknął z wolnego, niemal zrywając siatkę z bramki.

- Jak Martyna w trzydziestym czwartym, kiedy pokonał Planićkę. - Chłopiec znowu sięgnął do arsenału historycznych paraleli.

- Jaka Martyna? - Kinga była szczerze zdumiona.

- Henryk Martyna! - Piotruś pokładał się ze śmiechu. - Nazywany antałkiem. Obrońca reprezentacji. Słynął z potężnego kopa, jak Surlit teraz.

- Aha - wycedziła Kinga.

- To było podczas eliminacji do mundialu we Włoszech. Polska grała z Czechosłowacją. Pepiczki były silne. Przegraliśmy dwa do jednego, ale szanse na awans

mieliśmy. Tylko władze Polski nie pozwoliły na wyjazd kadry do Pragi na rewanż.

- Czemu? - Kinga się zainteresowała.

- Bo pepiki zabrały nam Zaolzie, Spisz, Orawę i Czadeckie. - Piotruś udawał, że nie tylko historia piłki nożnej była mu znana w stopniu znacznym.

- I dlatego nie było rewanżu? - Kinga dalej nie do końca pojmowała skomplikowane związki piłki z polityką.

- No i dobrze, jeszcze będą knedlikami rzygać. - Piotruś zaczął wygrażać synom Szwejka.

- Ale co do tego mają knedliki? - Kinga drażyła temat.

Mecz się skończył i Kostecki doszedł do wniosku, że to najlepszy moment na zakończenie jałowej rozmowy.

- Obiad! - zawołał. - O drugiej mieliśmy być.

Podróż z centrum na osiedle Kurak zajęło Kosteckiemu nie więcej niż kwadrans. Jego wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Na podniebieniu buzowały smaki różnych zachodnich specjałów. Co prawda potraw z darów u Gruchotów nie było, co nie znaczy, że porucznik był zde gustowany. Zupa, można powiedzieć, była standardowa. Pomidorowa z ryżem. Za to na drugie były schabowe. Nielimitowane. Kostecki pochłoniął trzy i wcale nie przeszkadzało mu, że Włodek mięso nabył pokątnie u rodziny Eli na radomszczańskiej wsi. Pałaszował równo, przegryzając bigosem, który aż puchł od kawałków kiełbasy. Jakość kiełbasy zdradzała jednoznacznie, że nie tknęły jej ręce oficjalnych ekspertów od jakości socjalistycznych mięsopodobnych produktów. Okazało się, że syrena oprócz licznych wad ma jednak pewne zalety. Najwyraźniej konstruktorzy pojazdu dla szarego człowieka przewidzieli,

że mogą nadejść czasy, gdy w siedzeniach auta trzeba będzie ukrywać różne towary. Czy przewidzieli, że będzie trzeba przemycać żarcie jak za okupacji? Nie wiadomo. Faktem jest jednak, że syrena 105 idealnie nadawała się do przewożenia nielegalnego towaru na linii wieś - miasto.

Po samym obiedzie do pianina usiadła starsza siostra Piotra - Joanna. Gruchotowie okazali się rodziną wielce umuzykalnioną. Repertuar był obfity. Pieśni patriotyczne przeplatały się z zabawnymi utworami o nijakiej treści. Były też piosenki całkowicie mu nieznane, które, jak się okazało, funkcjonowały tylko w środowisku ojca Miecznikowskiego. Czas płynął Kosteckiemu przyjemnie. Nim się spostrzegł, zrobił się wieczór.

- Dziękujemy za odwiedziny. Bardzo miło było cię poznać.

- Ela, żegnając się z Tadeuszem, wymownie patrzyła na Kingę.

Była już dziesiąta wieczór, gdy Kostecki odwoził Kingę do wujostwa. Kiedy wysiadała, uświadomił sobie, że właściwie zna ją dopiero od wczoraj. Musiał to sobie powtórzyć, bo fakt ów przedzierał się do jego świadomości z nadzwyczajnym trudem.

Rozdział 4

Następnego dnia Kostecki wstał z łóżka z mocnym postanowieniem zabrania Kingi do kina. Abominacją darzył każdą formę stania w kolejkach, toteż zdecydował się na poranny zakup „Głosu Robotniczego”, który był oficjalnym organem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w województwie łódzkim, po reformie administracyjnej Gierka – najmniejszym w PRL. Półmilionowy nakład zalegał w kioskach, znajdując koneserów tylko wśród najbardziej lojalnych obywateli. Porucznik szybko przekartkował ogromne szpalty gazety i dotarł do informatora z repertuarem kin. Na szczycie listy zawsze widniały te obiekty, którym władze nadały miano premierowych.

Bałyk – *Kapelusz*, film produkcji radzieckiej, Iwanowo – *Dziecko wojny*, film produkcji radzieckiej, Polonia – *Dziewczyna i Grand*, film produkcji radzieckiej, Włókniarz – *Jarosław Mądry*, film produkcji radzieckiej, Wolność – *Lenin w Paryżu*, film produkcji radzieckiej, Wisła – *Portret żony artysty*, film produkcji radzieckiej, Zachęta – *Ten szósty*, film produkcji radzieckiej.

– Ja pierdołę. – Porucznik w zwięzły sposób skomentował repertuar kin premierowych. Z nadzieją rzucił okiem na repertuar kin pierwszej i drugiej kategorii.

Studio – *Biały kruk*, film produkcji radzieckiej, DKM – *Kamo znany osobiście*, film produkcji radzieckiej, Młoda Gwardia – *Zbyt krótka noc*, film produkcji radzieckiej, Pokój

- *Spotkanie na Kasjopei*, film produkcji radzieckiej, Stoki - *Jak Iwanuszka szukał cudu*, film produkcji radzieckiej, Oka - *Gorący śnieg*, film produkcji radzieckiej, Świt - *Dramat na polowaniu*, film produkcji radzieckiej, Halka - *Szlacheckie gniazdo*, film produkcji radzieckiej, Pionier - *Czarmen, miłość, kindżał*, film produkcji radzieckiej, Polesie - *Przekupka i poeta*, film produkcji radzieckiej, Rekord - *Poranny obchód*, film produkcji radzieckiej.

Zrozpaczony Kostecki zerknął na repertuar w okolicznych miasteczkach. W Pabianicach w kinie Robotnik grano *Hipodrom*, film produkcji radzieckiej. Zaś w Leźnicy Wielkiej w kinie Błękit można było obejrzeć inne dzieło radzieckiej kinematografii: *Nikt nie rodzi się żołnierzem*. Najbardziej opozycyjnie nastawione było kino Ludowe w Ozorkowie, które oferowało *Deszczową panią* rodem z Niemiec Wschodnich, czyli Enerdówka, oraz film produkcji węgierskiej, *Stracone życie*.

- Kurwa mać, *Stracone życie*. - Kostecki rzucił gazetę ze wściekłością.

Na chwilę jeszcze wrócił do lektury „Głosu”. Redakcja zachęcała gorąco nie tylko do oglądania radzieckich filmów, ale na dodatek przygotowała specjalne kupony do głosowania na najlepszy z nich. Reklamowano szczególnie *Portret żony artysty* i film Gasparowa, *Ten szósty*.

- Już, kurwa, biegnę głosować - wymamrotał Tadeusz do samego siebie.

Tymczasem do pokoju socjalnego wszedł kapitan Banasik. Rzucił okiem na stół z leżącą gazetą i jego lico natychmiast się rozjaśniło.

- O, „Głos” dzisiejszy! Mój osiedlowy kiosk był zamknięty. Wziął do ręki gazetę i zaczął wertować potężne strony.

- Jest! - Był wyraźnie zadowolony. - Kupon do głosowania.

Kostecki spojrział ze zdziwieniem na dowódcę, który właśnie opowiadał ze swadą:

- Byłem wczoraj z synem na Tym szóstym Gasparowa. Świetny film. Rzecz się dzieje na początku lat dwudziestych, oddział radzieckiej milicji walczy z reakcyjnym gangiem. Świetna akcja, pościgi, wybitna gra aktorska i ta scena z napadem na pociąg. Niech się Amerykanie ze swoimi westernami chowają. Znakomite kino. W sobotę zaś z żoną byliśmy na *Portrecie żony artysty*. Też dobre, refleksyjne.

- To następnym razem musi pan iść na film *Jak Iwanuszka szukał cudu*. - Kostecki próbował nadać zdaniu powagę, przez co tylko zabrzmiało komiczniej.

- Tak, tak, oczywiście. - Banasik nie wyczuł żartu.

- A potem na *Jarosława Mądrego* - dorzucił Pająk. - Chociaż ja osobiście żadnego mądrego Jarosława nie znam.

- Tak też zrobię - odpowiedział kapitan z godnością. - Nie wszyscy swój wolny czas spędzają na gapieniu się, jak dwudziestu dwóch idiotów biega za piłką ku uciechu gawiedzi.

Banasik nie musiał podnosić oczu, by wszyscy wiedzieli, do kogo adresuje wypowiedź.

- Aha, podporuczniku Pająk, pułkownik was wzywa - rzucił Banasik w stronę podwładnego z szelmowskim uśmiechem. - Jak wrócisz, robimy zebranie.

W gabinecie pułkownika Walentego Moczковского, zwierzchnika całej łódzkiej milicji, papierosowym smrodem

przeżarte było absolutnie wszystko: wiśniowe zasłony, brązowe fotele, szarawy obrusik. Za biurkiem siedział potężnie zbudowany mężczyzna. Z jego ust i nozdrzy buchały kłęby dymu. Popielniczka była pełna petów po carmenach. Perfumowany dym z trudem kamuflował wydobywające się z porów skórnych wyziewy po wyborowej. Moczkowski patrzył na Pajaka przekrwionymi oczami.

- Powiedzcie mi, Pająk, jakim cudem wy jeszcze pracujecie w kryminale? W ogóle w MO?

Pająk nie wiedział, o co chodzi, ale instynktownie czuł, że zaraz rozpęta się piekło.

- Noo - zaczął podporucznik bez większego przekonania.

- Bo, kurwa, cię chronię! Jebany wierszokleto. - Moczkowski komunikował się ze światem w słowach prostych i skutecznych.

Sapiąc i dysząc, pułkownik sięgnął po maszynopis. Zaczął czytać.

- „Wczesną wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku Józef Kuraś wstąpił do nowotarskiej MO”. Poznajesz?

- Tak, to mój artykuł. Miał się ukazać w grudniowym numerze „W Służbie Narodu”.

- Ale się nie ukáže! Idioto. Dobrze, że Łabanow, mój drug, przesłał mi twoje wycpiny. Przecież cenzura by tego nie wyłapała. Przecież nikt nie będzie cenzurował tych, co stoją ponad cenzurą. Rozumiecie, Pająk?

- Nie rozumiem, panie pułkowniku!

- Bo jesteście idiotą, Pająk!

Moczkowski zrobił się purpurowy na twarzy, na której gościły już odcienie szkarłatu, amarantu, burgundu, cynobru

i karmazynu. W kolejce czekał kolor ceglasty oraz róż pompejański.

- Powiedzcie mi, Pająk, do kogo adresowane jest pismo „W Służbie Narodu”?

Pułkownik konstatawał, że swojemu podopiecznemu musi wszystko wyłożyć kawę na łąwę.

- Do wszystkich milicjantów - nieśmiało odezwał się Pająk.

- Brawo, do wszystkich milicjantów.

Moczkowski powoli się uspokajał. Do ust włożył kolejnego carmena.

- Wyobraźcie sobie na ten przykład sierżanta Ziółkiewicza spod Olsztyna.

Moczkowski swoją przygodę z aparatem bezpieczeństwa zaczynał na Warmii. Tam zaciekle tropił byłych żołnierzy Armii Krajowej, którzy próbowali żyć normalnie, z dala od polityki. Moczkowski był bardzo dumny, że wielu z nich wsadził do więzienia. Niektórzy mieli nawet wątpliwą przyjemność poznać osobiście metody śledcze absolwenta szkoły dla funkcjonariuszy UB w Legionowie. Ból w źle zrosniętych kościach, ubytki z jamie ustnej i problemy z nietrzymaniem moczu miały zapluty karłom reakcji po wsze czasy przypominać o ich dziejowej klęsce zadanej ręką triumfujących sił postępu. Innym sukcesem porucznika Moczkowskiego była walka z epigonami Werwolfu. Z tymi, którzy w godzinie próby zawiedli. W roku dwudziestym nie głosowali za Polską. Co prawda była to Polska „biała”, reakcyjna, wsteczna, klerykalna i katolicka, ale jednak Polska. Moczkowski z łezką w oku przywracał w pamięci chwile, gdy tych wszystkich Gorecków, Sniadetzkich,

Maslanków czy Kfiatkofskich egzaminował ze znajomości polszczyzny. Prawdę mówiąc, sam nigdy w życiu nie przeczytał żadnego utworu Mickiewicza, Słowackiego czy Sienkiewicza, ale uważał, że ma wystarczające kompetencje nie tylko do oceniania poprawności językowej, ale również do ustalania, kto Polakiem jest, a kto nie. Co prawda po ekscesach Armii Czerwonej zbyt wielu rdzennych Warmiaków nie zostało, lecz Moczkowski miał upodobanie w wyłuskiwaniu ich nawet z najmniejszych osad. Te miłe dla jego ubeckiej natury doświadczenia powodowały, że o Warmii i Olsztynie myślał zawsze z czułością.

- No więc ten sierżant spod Olszyna czyta regularnie „W Służbie Narodu”. Często to jego jedyna lektura, może poza „Gazetą Olsztyńską”. Czyta. I co wyczyta? Że najkrwawszy powojenny bandyta Polski, Józef Kuraś „Ogień”, był wcześniej milicjantem? Że wcześniej pomagał radzieckiej partyzantce? A z jedną z czekistek to miał nawet romans? Czy wy, kurwa, Pająk, ochujeliście?

Podporucznik spuścił oczy.

- Pytam was! Ochujeliście?

- Nie ochujałem, towarzyszu pułkowniku - powiedział szeptem.

- Chyba jednak ochujeliście. Inaczej byście nie pisali takich bzdur.

- Myślałem, że w ramach normalizacji...

- Wy, kurwa, nie jesteście od normalizacji, Pająk. Od normalizacji to jest Jaruzelski.

Pająk skurczył się jeszcze bardziej.

- Siadajcie i piszcie!

- Teraz?

- A, kurwa, kiedy?

Pająk usiadł przy maszynie do pisania. Moczkowski podrapał się po kroczu, a potem wyrzucił z siebie:

- Podhale to region od pradziejów związany z myślą postępową. Ale jednak i tutaj w patologicznej rodzinie złodziejów spod Nowego Targu przyszedł na świat potwór w ludzkim ciele, Józef Kuraś.

Po kilku godzinach „artykuł” był napisany. Moczkowski szukał weny, popijając żytnią. Pająk musiał zadowolić się kranową.

- No to teraz wicie, rozumiecie, Pająk, wy to ładnie wyprostujecie. Dopiszecie kilka ładnych zdań, umieścicie kilka mądrych słów i odeślecie Łabanowowi. Taki sierżant spod Olsztyna musi czuć, że jego służba ma sens. Musi widzieć świat jako czarno-biały. My tu w wielkim mieście mamy, wicie, rozumiecie, potężnych sojuszników. Partię i bratnie partie, PRON, ZSMP, ZHP, ZNP. Sami jesteśmy silni. A oni tam wśród tych bagien, lasów... Wy nawet nie wicie, Pająk, ile trzeba mieć hartu ducha, by w takich, za przeproszeniem, Kudypach nie posłać dziecka na religię. Jaki trzeba mieć kościec moralny, by w takim Pasymiu wziąć ślub cywilny. Jak trzeba być przekonanym do socjalizmu, by w takim Tolkmicku nie żreć mięsa z nielegalnego świniobicia i nie chlać bimbru. Tak, Pająk, wy tego nie wicie, ale możecie się przekonać na własne oczy. Oni tam na rubieżach naszej socjalistycznej ojczyzny muszą wiedzieć, że my tu w dużych ośrodkach miejskich ramie w ramie z nimi budujemy lepszą przyszłość.

Pijany pułkownik po raz kolejny sięgnął pamięcią do lat dumnych. Nazywała się Hilda Zelewska, chyba nie miała

nawet piętnastu lat, krzyczała...

- Co tak, kurwa, stoicie? Wypierdalać!

Pająk zasalutował i wyszedł z gabinetu dowódcy. Narada grupy dochodzeniowo-operacyjnej odbyła się bez niego. Banasik znał swoje miejsce w szeregu i nie śmiał otwarcie sprzeciwić się pułkownikowi. Roztrzęsiony Pająk wiedział jedno: musiał się napić.

Szedł ulicami Łodzi jak zombie. Na pozór bez celu. Jednak nawyki były tak silne, że prowadziły podporucznika pewnie niczym troskliwa matka podtrzymująca ukochane dziecko. Po kwadransie podporucznik Pająk zameldował się przed bufetem w Kaskadzie.

- Dwie lufy - rzucił krótko.

Kelnerka Agata spojrzała na niego z bezbrzeżnym zdziwieniem.

- Stefan, co ty...

Kelnerka Agata, podobnie jak wiele innych kelnerek, pielęgniarek czy sekretarek, znała Stefana zupełnie nieźle. Może nawet lepiej niż nieźle...

- Dzisiaj suchy poniedziałek - jęknęła jak kiedyś.

Pająk nieco bardziej obecnym wzrokiem rozejrzył się po sali. Cała Kaskada zazwyczaj pełna była gości, teraz jednak świeciła pustkami. Oprócz niego, Agatki i szatniarza nikogo nie było. W mózgu upadłej gwiazdy „W Służbie Narodu” powoli zaczęło się wszystko składać w koszmarną, ale koherentną całość. Uświadomił sobie, że jest poniedziałek i w całej Łodzi nie dostanie nawet kropli alkoholu. Kartek na wódkę od dawna nie miał, mimo że był dopiero początek listopada. Szanse, że ktoś z bywalców lokalu zaprosi go do domu na kielonka, były żadne. Suche

poniedziałki skutkowały tym, że klientela lokalu w poniedziałek robiła sobie wolne. Po kurwach ostał się jeno zapach peweksowskich perfum. Po ich alfonsach - woń wody toaletowej Brutal. Po cinkciarzach zaś opary dezodorantu Old Spice wymieszane z odorem starych skarpetek. Oprócz tych grup zawodowych częstymi gośćmi w lokalu byli piłkarze obu łódzkich klubów. Z tą wszelako różnicą, że Widzewiaczy zaglądali do Kaskady po wygranych, a zawodnicy ŁKS - po przegranych meczach.

- Agatko... - Pająk zrobił jedną ze swych klasycznych min.

- Stefuś ... Nie dam rady. Ciągłe kontrole... Dziś był nawet jakiś esbek i powiedział, że absolutnie nikomu.

Pająk był tak sfrustrowany, że nie powiedział Agatce nawet słowa na pożegnanie. Po wyjściu na ulicę Narutowicza podporucznik dał upust swoim nerwom.

- Ty chuju jebany - zawołał pod adresem prezydenta Łodzi Józefa Niewiadomskiego.

Szedł, bluźniąc i wymachując pięściami. Zapatrzony w swoje nieszczęście nie dostrzegł dwóch ludzi, którzy przyjaźnie machali do niego rękami.

- Panie poruczniku! - Kafel nie wdawał się w żadne zabawy z przedrostkiem „pod-”.

Obaj przedstawiciele łódzkiego świata żulerki bardzo lubili Pajaka. W przeciwieństwie do Kosteckiego nigdy nie rzucał Nowotki. Zawsze był to banknot. W najgorszym przypadku ten zielony z wizerunkiem Świerczewskiego. Zdarzało się, że do czapki trafiał nawet Waryński. Gdy zaś łaskami obdarzyła podporucznika któraś z cór Koryntu, do kieszeni obu panów wędrowała podobizna Tadeusza

Kościuszki. Nic tedy dziwnego, że nasz dzielny literat w milicyjnym mundurze mógł liczyć na pomoc komilitonów.

- Co to za mina, panie poruczniku? Szewski poniedziałek? - tym razem przymilnym tonem zaintonował Posejdon.

Pająk z grubsza wyłuszczył swój problem, nie omieszkując wyzwać prezydenta miasta, któremu polski Manchester zawdzięczał koszmar przeżywania na trzeźwo uroków realnego socjalizmu.

Obaj dżentelmeni w charakterystyczny dla siebie sposób okazywali milicjantowi empatię.

- Harcerzyk w dupę kopany - dźwięcznie odezwał się Kafel.

- Świętszy od papieża - zawtórował Posejdon.

- Sam pewnie w domu z Jaruzelskim chleje. - Kafel wkroczył na grząski grunt polityczny.

- Albo i z Glempem. - Pająk bardzo nie lubił księży. Z wyjątkiem tych, którzy po cywilnemu odwiedzali Kaskadę czy Hotel Centrum.

Przez chwilę malkontenci trwali w milczeniu. Jednak bardzo szybko witalność i chęć życia zwyciężyła.

- Nie macie...? - Pająk nie musiał kończyć, gdyż na to pytanie jego interlokutorzy mieli gotową odpowiedź.

- Mamy, ale na Helskiej. - Kafel o ułamek sekundy wyprzedził kompana.

- U Fuńka zawsze jest. - Tym razem Posejdon był szybszy.

Po kilku minutach cała trójka czekała na autobus. Czekanie to dłużyło się niemiłosiernie. Wraz z nimi

na przystanku kłębił się tłum przedstawicieli klasy robotniczej, inteligencji pracującej, a nawet chłopów i chłoporobotników. Ci ostatni jechali na dworzec Żabieniec, skąd mieli się udać w stronę Kutna, Łęczycy czy Zgierza. Wszyscy mełli w ustach przekleństwa. Szczęśliwcy dzierżyli w dłoniach „Express Ilustrowany”. Ich bure kapoty zbijały się w jednolitą bryłę, która idealnie komponowała się z szarością miasta. Kamienice, których piękno przykrywał brud niezmywany od czasów cara Mikołaja, a nawet Aleksandra II, pochylały się nad burą ciżbą. Emanowały podłością życia, którą były wypełnione po sufit. Żegnały się z roboczą masą smrodem podwórek, fetorem wychodków, kloaką bram, które – pilnowane przez armię bumelantów – zamieniały się w twierdze życiowej beznadziei.

Wreszcie przyjechał autobus. Sprawiał wrażenie zatłoczonego, ale wymarżniętej gromadzie oczekujących zdał się niemalże pusty. Gdy drzwi się uchyliły, nastąpił szturm. Bura ciżba ruszyła do natarcia. Atakujący starli się z wysiadającymi. W ruch poszły łokcie i pięści. Torowano sobie drogę kopniakami. Walczące strony przekleństwami dodawały sobie animuszu. Plwociny flugów spływały na siwe głowy matek obu armii. W zgiełku walki nikt nie zważał na rannych, którzy doczołgiwali się do brudnych przystanków. Pająk raczej nie przywykł do tego typu komunikacji i miał pewien problem, jednak mógł liczyć na pomoc kamratów. Obaj jego towarzysze łomotali rywali, prac naprzód niczym Kiemlicze u boku Kmicica. Na lewo i prawo sypali sójkami, kuksańcami i zwyczajnymi ciosami na odlew. Po zacieklej walce znaleźli się w środku.

Czerwony ikarus ruszył, chociaż poddany ekstremalnym

obciążeniom. Lewa strona pojazdu niemal szurała po ziemi. Pająk, wciśnięty między tłuszczy, czuł na sobie oddechy, w których woń przetrawionej kaszanki mieszała się z ostrym zapachem cebuli. Przez buroszare kubraki przechodził zapach ciał od dawna nieskalanych mydłem. Spod czapek i beretów wystawały tłuste kosmyki włosów, które nachalnie wciskały się Pająkowi do nosa. Czuł, że zaraz zemdleje. Hojnie opłacane przez MSW wierszówki we „W Służbie Narodu” powodowały, że milicjant literat nie był świadom, jak wygląda życie w proletariackiej ojczyźnie. Do domu zawsze podwoził go albo Kostecki, albo Jurga. Często korzystał z taksówek lub nocnych autobusów, które z reguły nie były specjalnie obciążone robociarską masą. Poza tym podporucznik często był uśmierzony substancją ratunkową i na pewne niuanse po prostu nie zwracał uwagi. Dziś jednak wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. Marzył o odrobinie przezroczystego płynu, który ukoiłby jego skołatane nerwy. Musiał jednak uzbroić się w cierpliwość. Autobus jechał i jechał. Na każdym przystanku toczyły się zażarte walki. Pasażerów do czerwoności doprowadzały sytuacje, gdy ktoś z głębi autobusu przedzierał się do wyjścia. Pająk ze skruczą przyznawał w duchu, że nie doceniał możliwości tłumy w tworzeniu ad hoc neologizmów na bazie najpiękniejszych polskich słów: chuj, kurwa i spierdalaj. Szczególnie to ostatnie słowo było wyjątkowo elastyczne i wprawnie operujący językiem ojczystym dumny syn Reja i Kochanowskiego mógł wyrazić nim absolutnie wszystko: miłość, nienawiść, cierpienie, szczęście, gorycz, radość, euforię. Pająk ze zdziwieniem odkrył, że to popularne skądinąd słowo może go jeszcze zaskoczyć

jakimś niespodziewanym użyciem. Obok niego rozmawiało dwóch chłoporobotników spod Łęczycy.

- Ty się, Ziutek, kurwa, nie bój z tymi pierdolonymi drzwiami - mówił grubszy z wąsami.

- A jak mnie, kurwa, ktoś podpierdoli, żem te drzwi zapierdolił? - Chudy bez wąsów był bardziej strachliwy.

- To mu się wpierdoli. - Wąsaty zachowywał spokój.

- Kobita mnie opierdoli, jak niebiescy przyjdą. - Chuderlak wyraźnie był na bakier z wymiarem sprawiedliwości.

- To, kurwa, spierdolisz z domu. Ty to, kurwa, nie umiesz z kobitą gadać. Trzeba było korek odpierdolić i opierdolić flaszkę. A ona wypierdolić w niedzielę. Miałbyś, kurwa, spokój. - Wąsacz był zdecydowanie lepiej przysposobiony do egzystencji w PRL.

- Ty to, kurwa, napierdalać umiesz. - Cherlawy zwracał się do grubego z wyraźnym podziwem.

- Z tymi drzwiami to się nie bój, że futryna od innych. Się weźmie i betonem nadpierdoli na górze.

Pająk czuł, jak niebo się nad nim otwiera i do autobusu wpływa promień światła. „Nadpierdolić” - tego słowa jeszcze nie znał. Humor na chwilę mu się poprawił.

Tymczasem podróż dobiegła końca. Od przystanku na Helską nie było daleko. Poszli samotrzeć.

Ulica Helska mogłaby stanowić *clou* skansenu eksponującego zabytki z czasów rewolucji 1905 roku. Takich ulic w Łodzi było w bród, ale brudu w bród było właśnie na Helskiej. Czymś, co miało imitować ulicę, płynęła strużka szarawej cuchnącej mazi, która przeciskała się przez kamory popularnie zwane kocimi łbami. Z obskurnych

bram wiatr wygnał najbardziej oddanych miłośników stania, którzy całymi dniami potrafili pilnować śmierdzących klopów, hasających szczurów i zwałów śmieci wylewających się z kubłów. Pająk miał wrażenie, że z bramy zaraz wychyną bojowcy PPS z browningami w rękach, a od Siewnej huknie palba z mauzerów NZR. Jednak z bram - poza szczurami i karaluchami - nikt nie wychodził. W poszczególnych oknach migotały rachityczne światła. Większość lokali radziła sobie jednak, mając na wyposażeniu lampę naftową.

Nagle skręcili w jedną z bram.

- Trzecie piętro - zakomenderował Kafel.

Po chwili szli korytarzem. Pająk po raz pierwszy znalazł się w kamienicy, w której woda była tylko na korytarzu. Kible na podwórkach były w Łodzi zjawiskiem normalnym. Jednak nawet na Grabowej, Suwalskiej, Zelinówce czy Limanowskiego bieżąca woda była prawie w każdym mieszkaniu. Schody, którymi szli, chygotały się we wszystkie strony. Pająk z obrzydzeniem dotknął liszajowatej ściany. W ciemni korytarza ukazał się jasny punkt. Funiek otworzył drzwi i na korytarzu pojawiła się blada plama niby-światła, którą dawała lichuteńka żarówka odziana z talerzykowaty abażur. Z pomieszczenia buchał fetor, ale i ciepło idące od węglowego pieca. Funiek zaprosił gości do środka.

- Stefan - lakonicznie przedstawił się Pająk.

Funiek nie uznał za stosowne podać ręki. W odpowiedzi sięgnął pod stół i wyciągnął brudną butelkę po mleku wypełnioną jakimś oleistym płynem. Spojrzał wymownie na Kafla, który pokiwał głową.

- Ile się należy? - Pająk rezolutnie zadał strategiczne

pytanie.

Funiek zainkasował należność. Było oczywiste, że biesiadować będą w czwórkę albo i piątkę - Funiek miał dorastającego syna.

- Ku tobie. - Funiek jako gospodarz przepił do Pajaka.

Po chwili po gardle podporucznika spłynęła alkoholowa mikstura. Na pewno nie był to bimber. Alkohol miał posmak oleju, czy też raczej smaru. I choć w smaku był obrzydliwy, to miał jednak niepodważalną zaletę. Dzięki niemu świat wydał się Pajakowi miejscem zupełnie znośnym. Zawartość musztardówki rażno znikła w jamach ustnych biesiadników. Po drugiej lufie milicjant śmieiej rozejrzał się po izbie. Ściany, ongiś chyba żółte, miały kolor poczerniałych od sadzy pajęczyn. Siedzieli przy koślawym stole. Podporucznik, jako gość, na zydlu, Kafel na dziurawym wiadrze, zaś Posejdon na starej żeliwnej miednicy. Funiek głównie nalewał i dokładał do pieca, toteż tylko przysiadawał na rogu legowiska, które kiedyś zapewne było podobne do łóżka. Pod wyrem leżał poobijany blaszany nocnik. Z barłogu wystawała jakaś makabryczna głowa.

Po godzinie rautu Pajak czuł, że świat jest nie tylko znośny, ale wręcz piękny. Nagle z barłogu powstała tajemnicza postać. Osoba w wieku trudnym do oszacowania była chyba reprezentantką tak zwanej płci pięknej. Postać zczołgała się z wyra, sięgnęła po nocnik, po czym, kucając, oddała do niego mocz. Następnie, mamrocząc, naląła do musztardówki oleistej gorzały i wychyliła duszkiem. Beknąwszy, wróciła do barłogu.

Funiek był mało rozmowny. Za to Posejdon z wigorem opowiadał różne alkoholowe przygody. Jedna z nich bardzo

się podobała zebranych:

- Byli my na Włókniaku u Ziutka. Pili my, że hej. Kiedy my padli, Ziutek mówi do Mańka: „Maniek, otwórz, kurwa, okno”. Maniek ni chuja. To Ziutek znowu mówi: „Otwórz, kurwa, to okno, chuju”. Maniek nic, ni chuja. To się Ziutek wkurwił i rzucił butem w okno. Pierdolo. Wszyscy mówią: „Kurwa, świeże powietrze, świeże powietrze”. Budzę się, kurwa, rano. Gorąco jak chuj. Patrę, okno całe. A w kredensie but Ziutka, kurwa, leży.

Kafel ryczał, odsłaniając nagie dziąsła. Pająk znał tę opowieść, bo już kiedyś w Parku Śledzia pił z Posejdonem.

Skrzypienie schodów niezbitcie świadczyło o tym, że ktoś po nich wchodził. Po chwili do izby wtoczył się syn Fuńka, trzynastoletni Patryk.

- Skąd ty, kurwa, Funiek, wytrzasnąłeś to imię? - odezwał się Kafel.

- Wioletta sobie życzyła. - Funiek z czymś na kształt popłuczyn po czułości spojrzał na barłóg.

- Wioletta Wozignój, Patryk Wozignój... Europejsko jakoś.
- Kafel analizował imiona gospodarzy.

Patryk chwycił musztardówkę i jednym haustem wlał w siebie płyn. Rozejrzał się po biboszach. Tylko Pajaka nie znał. Spojrzał na milicjanta, po czym wymownie również na ojca.

- Poeta jakiś. - Funiek pośpieszył z wyjaśnieniami.

- O, to mam sprawę. - Trzynastolatek nalał do szklanki i podał Pajakowi.

- Co to za sprawa? - Pająk przypuszczał, że chodzi

o pomoc w lekcjach.

- Bo rozchodzi się o to, że mamy problem z przyśpiewkami podczas Pucharu.

Pająk kompletnie nie wiedział, w czym rzecz. Jedno było pewne: syn gospodarza nie był zainteresowany pomocą w lekcjach.

Po dłuższej chwili wyjaśniło się, że Patryk Wozignój jest zaprzysięgłym fanem ŁKS, zna wszystkie przyśpiewki dotyczące klubów z pierwszej ligi, potrzebuje zaś poznać takie, które można by wykorzystać w meczach Pucharu Polski, gdzie drużynom z ekstraklasy przychodzi się mierzyć z ekipami z antypodów rodzimego futbolu.

- No bo jak „ełksa” będzie grać z takim Izolatorem Boguchwała, to jak sflugać? - rozważał głośno syn gospodarzy.

- Izolator Boguchwała, stara kurwa się zesrała - odpalił Pająk.

- Ooo! - Patryk był tak zachwycony, że nic więcej nie mógł powiedzieć.

- Masz coś jeszcze?

- Czarni Jasło...

- Z Jasła Czarni w chuju marni.

- Jaaa...

Patryk z zapamiętaniem zapisywał rymy, a Pająk skonstatował, że jego polonistyczne zacięcie po raz kolejny zaowocowało w najmniej spodziewanym momencie. Trzynastolatek uważał za moralny obowiązek napęlić musztardówkę za każdym razem, gdy Pająk tworzył rymowanekę, a że wena literata nie opuszczała, to co rusz dostawał kolejną porcję oleistej cieczy.

Pajaka obudził chłód. Zorientował się, że jest w jakimś starym samochodzie, z którego wyrwano niemal wszystkie części. Na moment podporucznik całkowicie wytrzeźwiał. Po sprawdzeniu, czy nikt nie penetrował jego odbytu, spokojnie powrócił w objęcia Morfeusza.

- Tu jest! - Jak zza grubej szyby usłyszał głos Kosteckiego.

Myślał, że to sen.

- Wstawaj. - Tym razem był to głos Jurgi.

Znowu zasnął.

- Musimy go chwycić za ręce i nogi i przenieść do bagażnika - zakomenderował Felicjan Jurga.

- No to dawaj. - Kostecki, nie namyślając się, chwycił kompana za poły.

Dzudo po raz kolejny przydało się Tadeuszowi w pracy. Dźwignął kamrata i wrzucił go do samochodu.

- Szukamy budki - rzucił krótko.

Z telefonem był jednak problem. W budkach albo były pourywane słuchawki, albo aparaty nie działały. W poszukiwaniu czynnego telefonu zbliżyli się do osiedla mieszkaniowego popularnie nazywanego Bociany.

- Jedziemy do Kazika - zakomenderował porucznik.

Po chwili zaparkowali przed jednym z bloków. Kostecki bezceremonialnie zaczął dobijać się do białych drzwi. Po dłuższej chwili te uchyliły się i na progu stanął Kazik. Czas źle się z nim obszedł. Doktor Stachurski w młodości wspinał się po górach, ale to było dawno, obecnie robił karierę na politechnice. Odziany był w piżamę upstrzoną rakietami kosmicznymi. Na środkowej części tułowia rakiety były zdecydowanie bardziej pękate niż na ramionach czy

nogach.

- Co jest, kurwa? - zdziwił się inżynier Stachurski.

- Musimy zadzwonić - odpowiedział krótko Tadeusz.

Gdy Kostecki wykręcał na tarczy numery, Kazik drapał się po pękających rakietach, natomiast Jurga nucił popularną ongiś piosenkę: „Kaziu. Kaziu, Kaziu, zakochaj się”.

- Do kogo on dzwoni? - zapytał sierżanta.

- Do Andrzejewskiego.

- Tego konowała?

Rozmowę na temat talentów medycznych doktora Andrzejewskiego przerwał ostry głos Kosteckiego.

- Transfuzja krwi na cito - rzucił gniewnie do słuchawki.

Po minie porucznika można było odgadnąć, że lekarz nie jest zachwycony poleceniem.

- Macie ранego? - dopytywał się Kazik.

- Nie, Pająk się najebał - wyjaśnił Jurga.

- Aha. - Kazik wcale nie był zdziwiony.

Tymczasem zirytowany Kostecki wypalił do czerwonej słuchawki:

- Czy, kurwa, mam ci przypomnieć, jak cię przed sokistami obroniłem, kiedy pijany tańczyłeś na dworcu w Grybowie? Załatw coś. Czekam. Dzwon do Kazika.

- No i co? - Jurga był zaniepokojony.

- Czekamy. Ma coś załatwić - odpowiedział porucznik.

Nagle z pokoju obok dał się słyszeć głos dziecka.

- Tatusiu...

- Idź spać, Haniu, tatuś zaraz przyjdzie.

- Co to za piżama? W traktory wzorków nie było? - Tadeusz dopiero teraz zauważył osobliwe wdzianko kolegi.

- Pamiątka z Iwanowa - rzekł Kazik z godnością.
- Majty z Leninem trzeba było przywieźć.

Kazik nie odpowiedział, bo zaterkotał telefon. Kostecki podniósł słuchawkę, po czym zakomenderował:

- Jedziemy do Kopernika.

Po chwili polonez Kosteckiego pędził do szpitala.

- No, to się konował przydał. - W głosie Jurgi znać było wpływy Spinozy, Kanta i Leibnitza.

Rozdział 5

Rano cała trójka siedziała w komendzie i pijąc herbatę, czekała na Banasika.

Pająk miał podkrążone oczy, ale czuł się nieźle i - co najważniejsze - nie śmierdziało od niego alkoholem.

- Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

- W końcu gliniarzami jesteśmy - syknął Kostecki.

- Do dupy ci się nalewa - zaczął Jurga.

Pająk wyteżył słuch. A Jurga kontynuował:

- Jak wszyscy wiemy, kapitan niespecjalnie cię lubi i ceni. Miał jakiś przeciek, że podpadłeś Moczkowskiemu. Postanowił na twoje miejsce znaleźć kogoś. Traf chciał, że w niedzielę tego kogoś poznałem. Taki jeden z Brzezin. Dla niego Łódź to jak dla nas Nowy Jork, a Banasik to Columbo skrzyżowany z Kojakiem. Mieli was zamienić. On u nas, a ty w Brzezinach. Na interwencje do Bogdanki byś jeździł... Tam jest PGR.

- Może jakąś miss PGR-u byś wychędożył - rzucił rubasznie Kostecki.

Jurga się zaśmiał i mówił dalej:

- Banasik był tak pewny, że dziś zabalujesz, że ten młotek z Brzezin już był spakowany. Miałeś w trybie dyscyplinarnym wylądować w Brzezinach. Jesteś przeznaczony na odstrzał, Pająk.

Podporucznik poczuł, że robi mu się kwaśno w żołądku. Tymczasem do pokoju wszedł Banasik. Wiedział już, że

Pająk jest na służbie i że jest trzeźwy. Rzucił więc poecie jadowite spojrzenie i zaprosił zespół na odprawę.

- Właściwie żadnych nowych ustaleń w sprawie denatki nie mamy. Sekcja zwłok potwierdziła hipotezę, że zginęła na skutek kopnięcia. Analiza jej rzeczy osobistych, zachowanych listów itepe nie wniosła do sprawy żadnych nowych treści. Absolutnie nic. Kobieta-cień. Żadnego punktu zaczepienia na razie nie widać. - Kostecki jak zwykle był lakoniczny i konkretny.

Banasik się zamyślił. Cały czas zerkał na Pająka. Delikatnie wysuwał nos w stronę literata i ostrożnie niuchał. Z uwagą patrzył na jego garderobę. Była lekko za kusa, jednak nie woniała żadną miarą alkoholem. Tadeusz zaśmiał się w duchu. Transfuzja krwi się przeciągała, więc jasne się stało, że nocny kowboj nijak nie zdąży pojechać do żadnej ze swoich konkubin, żeby się przebrać. Na szczęście porucznik myślał szybko i równie szybko działał. W ciągu pięciu minut ze szpitala imienia Kopernika przemieścili się do domu Gruchotów. Była siódma rano, gdy zaterkotał dzwonek do drzwi. Okazało się, że na nogach był tylko szykujący się do szkoły Piotruś.

- Ooo, wujek! - zawołał zaskoczony.

- Obudź ojca - rzucił Tadeusz.

- Ojciec śpi, czyli powinien już być w pracy. Coś się stało?

W tym momencie młody człowiek spojrzał na Pająka i konspiracyjnym szeptem zapytał, wskazując na birbanta:

- Zagrożony aresztowaniem opozycjonista? Lokal czy śniadanie?

Kostecki natychmiast podjął wątek.

- Ubranie. Potrzebujemy ubrania ojca.

Tym sposobem Pająk wskoczył w szaty Włodka Gruchota. Piotruś żegnał milicjantów palcami ułożonymi w znak wiktorii.

- Aha. - Kostecki odzyskiwał formę. Wszystko wskazywało na to, że akcja „Pająk” zakończy się szczęśliwie.

- Wiesz, jaki klub jest w Grybowie?

- Oczywiście. Grybovia. Rok założenia: tysiąc dziewięćset dziewięć. Pierwszy oficjalny mecz w roku tysiąc dziewięćset jedenastym z Tarnovią Tarnów. Bramkarzem był bodaj...

- Bodaj byś pękł! - Kostecki się zaśmiał.

Nic tedy dziwnego, że Pająk był czysty jak pupa niemowlaka. Banasik nie mógł uwierzyć, że czarna owca jego zespołu z taką godnością przeżyła atak furii Moczковского. Zdziwienie Banasika niespecjalnie poprawiało sytuację Pajaka, ale pożar był ugaszony. Kapitan rozpoczął naradę.

- Musimy sięgnąć do przeszłości. Jurga, zlokalizujesz mieszkających w Łodzi kolegów i koleżanki denatki z liceum. Weźmiesz też na siebie kolegów z pracy. Pająk, ty ustalisz znajomych ze studiów. Kostecki, ty sprawdzisz organizacje, kluby studenckie, stowarzyszenia. Po ustaleniu personaliów z każdym przeprowadzicie rozmowę. Czas: do końca roku. Ja wezmę na siebie byłego męża. Za dwa dni ma być w Łodzi. To wszystko. Żegnam.

Po chwili dodał:

- Aha, pułkownik was wzywa, Pająk.

W gabinecie Walentego Moczковского wszystkie sprzęty śmierdziały tytoniem jak zawsze. Moczkowski siedział rozparty w fotelu i palił carmena. Na blacie biurka

stał kieliszek wypełniony koniakiem Ararat. Obok kieliszka dumnie prężył pierś towarzysz Dzierżyński, zakuty w gipsowy odlew rodem z Iwanowa. Dzierżyński strzegł pięknego kałamarza. Widać towarzysze z Iwanowa polubili kolegę po fachu z dalekich, nieformalnych, za to realnych rubieży imperium. Kolorytu biurka dopełniał kalendarz z logiem „España 82”. Wnuczek Edward poobklejał kalendarz naklejkami, które przedstawiały ciemnowłosego chłopca odzianego w koszulki uczestników turnieju. Widać było, że Edward był politycznie uświadomiony, bo naklejki symbolizowały reprezentacje ZSRR, Węgier, Jugosławii i Polski. Naklejka z piłkarzem „Plavich” była wyraźnie oddalona od innych. Dopełnieniem gabinetu szefa była reprodukcja obrazu, na którym jakiś artystyczny nieudacznik wysmarował podobiznę generała Karola Świerczewskiego.

- Macie dla mnie poprawiony tekst? - zagaił koneser malarstwa patriotycznego.

- Nie mam. Rezygnuję z pisania tekstów do „W Służbie Narodu”.

Moczkowski tak się zdziwił hardą postawą Pająka, że nawet nie był w stanie się unieść. Po prostu wypił duszkiem zawartość kieliszka i rzekł rzeczowo:

- Jesteście idiotą, Pająk.

Na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej czas stanął w miejscu. W wiecznym trwaniu leżeli obok siebie przedstawiciele trzech wyznań. Protestanci Niemcy sąsiedowali z prawosławnymi, ci zaś mieli u boku katolickich Polaków. Wszyscy zjednoczeni w martwocie

zastygłej w kamieniarskim majstersztyku. Położona w centrum miasta nekropolia była oazą ciszy i spokoju. Wśród starych drzew buzowało piękno starej Łodzi. Miasta trzech, czy też raczej czterech kultur. Spacerując po cmentarzu, można było chociaż na chwilę wyrwać się z sowieckopodobnej maligny współczesności.

Cmentarnymi alejkami przechadzało się trzech ludzi. Wszyscy mieli w rękach siatki z lampkami. Pan Eugeniusz - ojciec Tadeusza - trzymał w ręku bukiet białych i czerwonych goździków. Trzecim jegomościem idącym wśród pożółkłych liści był Eustachy, który dzień wcześniej wrócił z Ciechocinka.

Składanie kwiatów i palenie zniczy na grobach poległych za ojczyznę było niepisaną tradycją całej trojki. Początek listopada zawsze przynosił rytualny spacer na Stary Cmentarz. Wszystkich Świętych, czy też, jak mawiała komunistyczna propaganda, Dzień Zmarłych, obchodzili osobno. Tadeusz z Eugeniuszem wybierali się wtedy na cmentarz położony przy ulicy Kurczaki. Tam pochowani byli rodzice Eugeniusza, którzy nie przeżyli w charakterze podludzi w mieście wcielonym do Rzeszy. Tam spoczywał jego brat zakatowany przez übermenschów w więzieniu na Radogoszczu. Spoczywać gdzie indziej szans nie mieli, bo w latach, gdy Łódź była w Rzeszy, „Polaczków” chowano wyłącznie tam. Gdy podczas porodu Tadeusza zmarła jego matka - Stefania - Eugeniusz zawyrokował, że jej doczesne szczątki spoczną również właśnie tam. Eustachy zaś niespecjalnie mógł odwiedzać groby rodziny, bo jego bliscy zostali na wschodzie. Ojciec zginął w Katyniu. Matkę zamordowali banderowcy koło Łucka. Siostra

najprawdopodobniej wylądowała w Kazachstanie. Zaś brata, który walczył pod rozkazami Łupaszki, zamordowali ubecy i zakopali nie wiadomo gdzie. Eustachy wierzył, że u boku ukochanego dowódcy. Słowem: Eustachy nie miał na podorędziu żadnych rodzinnych grobów. Dlatego też w każde święto jeździł do Warszawy, gdzie składał hołd poległym kolegom.

Logicznym wyjściem z sytuacji byłoby złożenie kwiatów na grobach łódzkich bohaterów 11 Listopada. Logika jednak ma to do siebie, że nie uwzględnia różnic politycznych. Dla Eustachego, zatwardziałego endeka, celebrowanie święta, które ustanowiła sanacja, było nie do zaakceptowania. Stał on na stanowisku, że święto z okazji przybycia do Warszawy rewolucyjnego warchoła oraz agenta wywiadu japońskiego i austriackiego jest profanacją narodu. Kategorycznie odmawiał czczenia postaci Piłsudskiego. Dla niego jedynym wskrzesicielem państwa był Dmowski. Eugeniusz, jako stary działacz PPS, żywił wobec „Dziadka” ambiwalentne uczucia. Do kosza wyrzucał dokonania towarzysza „Wiktora” po 12 maja 1926. Z atencją odnosił się zaś do wczesnych osiągnięć redaktora „Robotnika”. Dla ojca Tadeusza 11 listopada był dniem wygnania Niemców i powołania do życia pierwszego rządu II RP na czele z Jędrzejem Moraczewskim. Dla Eustachego pierwszym rządem odrodzonej Polski był gabinet Paderewskiego z początku 1919 roku. Spór miał znaczenie fundamentalne dla lampek i cmentarnej marszruty. Zapalenie zniczy i złożenie kwiatów na grobach bojowców OB PPS było dla Eugeniusza moralnym obowiązkiem. Dla Eustachego - dowodem na tożsamość PPS z PZPR. Po długich i zaciekle dyskusjach znaleziono

modus vivendi. Na mogiłach poległych w walkach rewolucyjnych w 1905 roku zapalano świece, zaś nie składano kwiatów. Nie modlono się też. Gdyż Kosteccy wykorzystywali prawo do wolności sumienia i wyznania, zaś Eustachy nie dopuszczał myśli, że wypowie słowa „Wieczne odpoczywanie” ku pamięci ludzi lewicy. Na szczęście przy grobie powstańców styczniowych niesnaski nikły. Tam składano kwiaty i palono duże znicze obramowane pierścieniem z białego, a czasem różowego gipsu. Eustachy modlił się, z zaangażowaniem dorzucając „Zdrowaś, Mario” i „Ojczy nasz”. Kosteccy ograniczali się do słów: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie”. Eugeniusz stał na stanowisku, że kilka zdań modlitwy nie uwłacza jego światopoglądowi, a jest miłym gestem wobec tradycji. Młodszy Kostecki żałował, że faktyczna historia Łodzi rozpoczęła się dopiero w połowie dziewiętnastego wieku, gdyż każda wizyta na cmentarzu była wspaniałą lekcją historii. Jednak łódzkie fatum „późnego narodzenia” powodowało, że dywagacje historyczne Eugeniusza i Eustachego omijały wydarzenia wcześniejsze niż połowa wieku pary i elektryczności.

Znajomość obu starszych panów była typowym efektem wojny i okupacji. Właściwie łączyło ich tylko to, że obaj urodzili się w roku 1915. Eustachy - na Wołyniu, w rodzinie ziemiańskiej. Eugeniusz - w Rudzie Pabianickiej, w rodzinie niewykwalifikowanego robotnika. Lokal rodziny Kosteckich na dzisiejszej ulicy Karowej przypominał nieco stajnię rodziny Eustachego. Z tą różnicą, że stajnia była większa. Eustachy jadał po czterokroć na dzień, nie licząc podwieczorku i podkurka. Eugeniusz jadał tylko wtedy, gdy ojciec Ignacy

cokolwiek zarobił. Matka Eustachego zajmowała się domem przy pomocy służących, pokojówek, guwernantek. Matula Gienka pracowała u Kunitzera - z biegiem lat rodzina przeniosła się na Widzew - po czternaście godzin na dobę. Rodziciel Eustachego chędożył córki fernali, komorników i porządnych gospodarzy na dziesięciu morgach. Okazjonalnie chadzał do łóżka z paniami równymi sobie względem stanu. Pewnej granicy jednak nie przekroczył. Nigdy nie skalał swego ciała smakiem żadnej Żydówki. Swoje życie erotyczne ograniczał do Polek i Ukrainek. Dawca życia Eugeniusza dupczył chwacko w najtańszych łódzkich burdelach, a osobliwie lubił dziwki mojżeszowej konduity. Swoje życie seksualne ubarwiał Polkami i Niemkami. Papa Eustachego przegrał w karty tysiąc hektarów gruntu i kawał lasu. Ojczulek Eugeniuszka przegrał w karty swoją wypłatę, ale szybko sięgnął po browninga i uregulował dług w mgnieniu oka wierzyciela. Zważywszy, że był pijany, do końca nie wiedział, czy na łono Abrahama wysłał bojowca SDKPiL, czy też NZR. Swoje dylematy moralne rozwiązywał, nienawidząc i komunistów, i narodowców. Tata Eustachego nienawidził z kolei komunistów i pepeesiaków.

Poważne różnice dotyczyły również edukacji obu przyjaciół. Eustachego uczyła guwernantka, której zresztą nie omieszkał w wieku lat szesnastu uszczęśliwić swoim przyrodzeniem. Biegle opanował języki obce z angielskim i francuskim na czele. Podjął studia we Lwowie i stał się endeckim aktywistą. Studia ekonomiczne ukończył tuż przed wybuchem wojny. Skończył je z wyróżnieniem, z którego był wielce dumny. Swoją przewagę intelektualną bardzo lubił

podkreślać, używając różnych rzadko stosowanych słów, najczęściej obcej proweniencji. Eugeniusz żadnych studiów ukończyć nie mógł z tej prostej przyczyny, że Łódź – drugie co do wielkości miasto II RP – nie posiadała żadnej wyższej uczelni. Swoje ambicje intelektualne realizował w Towarzystwie Uniwersytetu Robotniczego.

Wychowując się w domu, gdzie czczono tradycję rewolucji 1905 – tata rąbnął szulera w roku pańskim 1907 – nasiąkał tradycjami PPS. Mając lat kilkanaście, pisywał już artykuły do socjalistycznej prasy. Po odbyciu służby wojskowej podjął pracę w magistracie łódzkim, zdominowanym przez jego macierzystą partię. Tuż przed wojną otrzymał mieszkanie na nowym osiedlu, na ulicy Srebrzyńskiej.

Starszy Kostecki nigdy nie był we Lwowie, zaś Eustachy nigdy przed wojną nie był w Łodzi, toteż nie mieli okazji dać sobie po mordzie. Po klęsce wrześniowej obaj panowie aktywnie zabrali się do działań konspiracyjnych. Zagrożony wysiedleniem Eugeniusz znalazł przytułek w Warszawie, gdzie dziarsko służył w strukturach GL WRN. W tej samej stolicy wylądował Eustachy, stając się jednym z wodzirejów NOW. Obaj, żyjąc na krawędzi, doczekali powstania. Podczas walk na Żoliborzu Eustachy wyciągnął ранego Eugeniusza spod gruzów. Tak narodziła się ich specyficzna przyjaźń. Ostatnie miesiące wojny spędzili nader aktywnie. Na południu Polski, w górach, akcja „Burza”, mimo całkowitej aberracji politycznej, trwała w najlepsze. Obaj przyjaciele, wraz z Tadeuszem Studzińskim „Kurniawą”, wysadzali mosty i rozbijali katownie gestapo. Ze słynną Willą Palace na czele. Obaj właśnie na południu poznali

smak komunistycznego więzienia. Dla Eugeniusza był to pobyt pierwszy i zarazem ostatni, dla Eustachego było to preludium do późniejszej kilkuletniej odsiadki.

Eugeniusz zaaprobował system, chociaż ten ledwie go tolerował. Jako przeciwnik jednoczenia się PPS z PPR nie wszedł w struktury przewodniej siły narodu. Eustachy już w roku 1950 wylądował w pierdlu, gdzie jako łatwo definiowalny wróg klasowy przesiedział do roku 1956. Po tak zwanym Październiku komunistom potrzebni byli socjaliści starej daty do legitymacji ustroju. Kostecki senior dał się przekonać, wszedł w szeregi PZPR. Odwilż wykorzystał, by pomóc przyjacielowi. Eustachy z wykształceniem ekonomicznym - przedwojennym! - i biegłą znajomością języków obcych stał się wsparciem dla handlu zagranicznego. Wpływy przyjaciela na szczytach władz lokalnych i w ZBOWiD pomagały Eustachemu także w latach zdecydowanie poodwilżowych. Rozczarowanie polityką Gomułki Eugeniusz zanotował już rok po wstąpieniu towarzysza Wiesława na tron pierwszego sekretarza. Zamknięcie „Po Prostu” było widowym znakiem, że hasło „Socjalizm - tak, wypaczenia - nie” zostało zamienione na slogan: „Socjalizm - tak, inne wypaczenia - tak”. Zamknięcie „Po Prostu” i późniejszą rozprawę z Modzelewskim i Kuroniem Kostecki senior był sobie w stanie jeszcze jakoś wytłumaczyć. Represji wobec Polaków żydowskiego pochodzenia w 1968 rozgrzeszyć nie był w stanie niczym. Miał zamiar oddać legitymację, ale Tadek był w liceum - zbliżał się do matury... Kiedy syn wylądował w Szczytnie, Eugeniusz zrozumiał, że jest zakładnikiem systemu. Powoli wycofywał się na pozycje

z pogranicza emigracji wewnętrznej. Zajął się gromadzeniem materiałów do historii PPS, zdając sobie sprawę, że dopóki system się nie zmieni, szanse na ich wykorzystanie w pracy naukowej lub chociaż popularyzatorskiej są nikłe, by nie rzec – żadne. Swoją pozycję w systemie wykorzystywał do osłony egzystencji Eustachego i Tadeusza. Zresztą trudno powiedzieć, by życie w PRL było dla niego jakąś szczególną gehenną. Z wieloma działaniami władz się utożsamiał, wiele z nich rozgrzeszał. Niektóre krytykował, lecz bez potępienia w czambuł. Jako człowiek wyrosły w proletariackiej biedzie panicznie bał się powrotu Polski panów i burżujów. Doceniał sukcesy „małej stabilizacji” Gomułki i „złotą dekadę” Gierka. Jego pasją były wędrówki górskie, a to, że mógł z nich korzystać do woli, traktował jako jeden z największych sukcesów ustroju. Do Solidarności miał stosunek ostrożny. Dostrzegał paradoksy występujących obok siebie haseł prawicowych i lewicowych. Z jednej strony widział w niej ducha PPS, z drugiej coraz częściej wyzierającą z niej klerykalno-endecką gębę.

Tej gęby kompletnie nie dostrzegał Eustachy. Dla niego ruch sierpniowy był lewicową hucpą. W Wałęsie widział lewicowego demagoga. Zaś dostawał odruchów frenetycznych, gdy widział lub słyszał tak zwaną solidarnościową i korowską ekstremę z Michnikiem i Kuroniem na czele. Obydwu panów Eustachy uważał za farbowanych komunistów. Nie lepsze notowania mieli działacze Konfederacji Polski Niepodległej. Jawne powoływanie się na Piłsudskiego doprowadzało Eustachego do szewskiej pasji. Mówiąc szczerze, żaden z prądów

obecnych na scenie politycznej nie pasował magistrowi ekonomii. Od czasu do czasu łapał się na tym, że z uwagą słucha przedstawicieli ugrupowania Grunwald, jednak bardzo szybko reflektował się, wstydząc się przed samym sobą tej chwilowej słabości. Jego sceptycyzm wobec Solidarności był tak wyraźny, że - mieszkając trzysta metrów od kościoła Jezuitów - na niedzielne msze jeździł do katedry, uważając Miecznikowskiego z jego *expressis verbis* za tego, który „hołubi katolewicę”. W przeciwieństwie do Eugeniusza Eustachy nigdy nie uważał PRL za ojczyznę. Wszystkie działania władz potępiał. Jednocześnie pracując w handlu zagranicznym jako skuteczny facjendarz, dorobił się zupełnie przyzwoitych, jak na warunki PRL, pieniędzy. Poznał różnych „badyłarzy”, z którymi chętnie przebywał. Wolny czas uwielbiał spędzać w sanatoriach. Osobliwie - w towarzystwie różnych flam. Eustachy nigdy się nie ożenił. Nie wyobrażał sobie, by jego połowica pracowała. Stał na stanowisku, że pracująca kobieta musi prędzej czy później, jak to mawiał, stać się *bas bleu* - dręcząc go fumami in *aeternum*. Braki w pożyciu małżeńskim rekompensował sobie Eustachy podczas wyjazdów do wód. Wykorzystywał wszystkie okazje, nie gardząc ani grandezzą, ani gryzetską. Benewolencję niewiast zjednywał to hypotypozą, to frottolą, najczęściej jednak banalnymi pieniędzmi.

Jednak wszystkie różnice polityczne i obyczajowe nie mogły zniszczyć więzów przyjaźni obu panów.

Szli tedy dostojnym krokiem wśród cmentarnych alejek. Gdy dotarli do mogiły ofiar walk rewolucyjnych z lat 1905-1908, Eugeniusz zaczął recytować:

*O, gdybym ja mogła zerwać te kajdany,
co już wieki chyba cisną waszą dłoń!
I wolność wam wrócić, i zaleczyć rany,
i wyrwać te ciernie, co wam ranią skroń.
O, gdybym mogła!*

*O, gdybym ja mogła siłą złamać kraty,
które dziś was dzielą od ludzi, od świata,
i nie pozwalają wracać wam do chaty, do pracy i walki.
O, gdybym mogła!*

Wiersz z 1910 roku nie odznaczał się finezją ani wirtuozerią poetycką. Był za to pełen gniewu i determinacji. Anonimowa autorka oddawała nastroje związane z carskimi represjami.

- Zebrałem kilkaset takich wierszy i pieśni - odezwał się Eugeniusz.

- Pewnie wiele z nich zadziwia aktualnością - złośliwie odrzekł Eustachy.

Eugeniusz nie wdawał się w polemikę i udał, że nie wyczuł złośliwości.

- Przygniatająca część tych wierszy jest anonimowa. Ludzie pisali je na skrawkach papieru, gazetach, serwetkach. Często koślawymi literami...

W głowie Kosteckiego rodził się świetny plan. Anonimowe wiersze o wolności, wyzysku, rosyjskiej dominacji. Nigdzie niepublikowane, kompletnie nieznane... Tadeusz wiedział już, co będzie robić dziś wieczorem. Jutro, najdalej pojutrze Kinga otrzyma w prezencie „jego” wiersze opozycyjne. Uśmiechnął się na myśl o tym małym oszustwie.

Tymczasem Eustachy wcale nie zraził się obojętnością przyjaciela na jego zaczepkę.

- Gdyby tak przeliczyć na kalorie dzisiejszą dietę robotnika i tę w tysiąc dziewięćset piątym roku, to pewnie liczba kalorii byłaby podobna. Tylko wódka była ab hinc w sklepach i knajpach.

Eugeniusz zachnął się.

- Co ty możesz wiedzieć o ówczesnej diecie robotnika?

- Sam mi barwnie opowiadałeś. A o dzisiejszej diecie mam wyobrażenie wyjątkowo precyzyjne. Wystarczy, że spojrzę na przydział kartkowy. Dostępność prądu też chyba porównywalna z tą w roku tysiąc dziewięćset piątym. Tylko że dziś władza ludowa ogranicza dostęp z zachowaniem tak zwanej sprawiedliwości socjalistycznej. Wyłączają prąd wszystkim. Po równo. Jednak jakiś ideał socjalistyczny udało się zrealizować.

Eugeniusz spurpurowiał na twarzy. Elektryfikacja była sztandarowym sloganem lewicy. Sytuacja, gdy na całe godziny wyłączano prąd, była kompromitacją systemu.

- Za to mieszkania są z łazienkami - odparował Eustachemu.

- I czeka się na nie dwadzieścia lat. Ab incunabulis, rzekłbym. Młode małżeństwa gnieźdzące się na trzydziestu siedmiu metrach z teściami i małymi dziećmi to też standard z roku tysiąc dziewięćset piątego. No tak, łazienki są. Pomysł Gomułki, by na piętrze była jedna łazienka, upadł. Jakiś jeden sukces na czterdzieści lat rządów jednak macie. Po warunkiem, że zapomnimy o kamienicach w centrum, na Starym Rokiciu czy w Rudzie Pabianickiej. O Chojnach i starych Bałutach nawet nie wspominam. Przecież połowa

ludzi w tym mieście korzysta z bardaszek i nie ma bieżącej wody.

- Ale druga połowa mieszka w nowoczesnych blokach - wypalił Eugeniusz.

- A ta gorsza połowa cieszy się radością tej lepszej połowy. - Eustachy smagał przyjaciela niepodważalną logiką faktów.

- Ale mamy domy kultury i bezpłatną edukację.

- Na Zachodzie sami abderyci. Dlatego Nagrodę Nobla dali Miłoszowi.

Tadeusz postanowił przyśpieszyć kroku. Scenariusz zawsze był ten sam. Od mogił ofiar rewolucji do grobu powstańców styczniowych obaj panowie próbowali przekonać się wzajemnie do swoich racji. Używając zawsze tych samych argumentów. Kiedy jednak dochodzili do grobowca poległych pod Dobrą, zachowywali się ad vocem - jakby to powiedział Eustachy. W miejscu wiecznego odpoczynania bohaterów z 1863 następowało pojednanie ponad podziałami. Obaj przyjaciele kładli kwiaty, zapalano znicze. W atmosferze wzajemnego zrozumienia zmierzano do wyjścia. Tego dnia jednak pogoda - jak na listopad - była zupełnie znośna, toteż cała trójka postanowiła jeszcze pospacerować. Gdy dochodzili do furtki łączącej część katolicką z prawosławną, ujrzeni prokuratora Jasinę. KostECKI odwrócił głowę, jednak prokurator był szybszy i zawołał na porucznika.

- Idźcie do samochodu - rzucił w stronę ojca i Eustachego Tadeusz.

Sam zaś poszedł stawić czoła nielubianemu Białorusinowi.

- Co tam, na Dzień Zmarłych było się chorym? - zapytał prokurator i nie czekając na odpowiedź, zaczął klarować: - Do Radonicy kawał czasu, ale wyczytałem w starych dokumentach, że mój krajan na przełomie wieków służył w Łodzi. Myślałem, że grób znajdę, ale się chyba nie zachował.

- Fascynujące. - KostECKI próbował być miły.

W zeszłym roku Banasik z okazji kolejnego awansu piłkarzy na mundial zorganizował mecz milicja kontra prokuratura. Mecz miał lansować model spędzania wolnego czasu w trzeźwości. Traf chciał, że KostECKI grał na prawej obronie, zaś Jasina na lewej pomocy. Jasina uparł się ośmieszyć porucznika, raz po raz puszczając piłkę między nogami. KostECKI, który braki w umiejętnościach nadrabiał zaangażowaniem, nie był w stanie wygrać pojedynków ze zwinniejszym prokuratorem. W pewnym momencie po prostu brutalnie rywala sfaulował, za co sędzia wyrzucił go z boiska. Banasik się wściekł. Na szczęście według porucznika bardziej podpadł Pająk, który, stojąc na bramce, widział dwie, a pod koniec meczu nawet trzy piłki. Oczywiście w tych okolicznościach drużyna milicjantów uległa wysoko pracownikom prokuratury.

- A jak śledztwo? Zdaje się, że stoicie w miejscu. Co, towarzyszu? Trzeba będzie umorzyć? Pierwszy raz w karierze? W tak ważnej sprawie? - Jasina nie ukrywał satysfakcji.

- Zbieramy materiały - odparł KostECKI.

- No to zbierajcie. Za parę dni będę do dyspozycji. Każąca ręka sprawiedliwości poskromi chuliganerię spod znaku politycznej bankruterii.

Na połowę listopada był zapowiedziany proces trzech młodych ludzi: Michała F., Andrzeja M. i Tomasza C. Cała trójka, uczęszczająca - do momentu aresztowania - do Zasadniczej Szkoły Zawodowej numer 4, była uwikłana w proceder podrabiania zwolnień lekarskich w celu wiadomym. Obywatelska czujność ciała pedagogicznego spowodowała, że wrogowie obowiązku edukacji trafili za kratki. Groziło im nawet pięć lat pozbawienia wolności. Oskarżycielem miał być Jasina, więc Kostecki nie wątpił, że prokurator będzie się domagał takiej właśnie kary. Tajemnicą poliszynela było, że marzeniem towarzysza prokuratora było prowadzenie poważnych spraw przeciw opozycjonistom.

Jego prokuratorским wzorem był Jacek Rządkowski, najgorliwszy realizator poleceń Jaruzelskiego. Drugim mistrzem sprawiedliwości, który imponował Jasinie, był wiceprokurator wojewódzki, Eugeniusz Pietrzak. Gdyby Białorusin wybrał karierę w wojsku, jego mentorem zostałby pewnie podpułkownik Józef Czubiński - zastępca prokuratora WPG w Łodzi. Jednak partia miała wątpliwości, więc tego typu sprawy dostawali inni. Jasina rekompensował sobie porażkę, żądając najwyższych z możliwych kar w prowadzonych przez siebie sprawach. Po cichu liczył, że wierna służba ludowemu państwu i socjalistycznej sprawiedliwości zaowocuje awansem. W marzeniach widział siebie jako następcę Józefa Żyty w roli Prokuratora Generalnego. Józef Żyto wsławił się tym, że w marcu 1982 zmusił sąd do podwyższenia kary do sześciu lat pozbawienia wolności Jerzemu Kropiwnickiemu, który na dodatek musiał zapłacić za koszty postępowania sądowego.

Nie bardzo wiedząc, jak uwolnić się od niepożądanego towarzystwa, porucznik bąknął coś przepaszajaco i ruszył w stronę wyjścia. Nie mógł oswoić się z myślą, że trójce urwisów realnie grozi pięć lat odsiadki. Zagryzał wargi, by stłamsić odruch obrzydzenia. Nie tylko względem prokuratora, ale również wobec nauczycieli, którzy sprawę trefnych zwolnień przekazali prokuratorze. Kostecki organicznie nienawidził szkoły. Tak zwane ciało pedagogiczne darzył gorącą pogardą. Poza nauczycielem wychowania fizycznego, Markiem Radomskim, *notabene* wybitnym siatkarzem, nie miał szczęścia do belfrów. W podstawówce wytrawnym pedagogiem była pani Jadwiga Pryczek, która potrafiła zainteresować Tadka historią. W liceum już takiego fartu nie miał. Przez dwanaście lat edukacji stykał się z grupą kilkudziesięciu nauczycieli, by teraz, po latach, jako dojrzały mężczyzna wykonujący odpowiedzialną pracę, móc wymienić raptem dwoje edukatorów. Dwoje! Chyba nie o to chodziło Radlińskiej czy Kopcińskiemu. Gdyby profesor Zimbardo uczęszczał do polskiej szkoły, nie musiałby się wysilać, robiąc swój słynny eksperyment. Obserwacja systemu polskiej edukacji w zupełności by wystarczyła. Nagradzani nędznym groszem pariasi byli idealnymi strażnikami w tak zwanych placówkach oświatowych. Możliwość kreowania ludzkiej natury poprzez system kar, zakazów i nakazów była wystarczającym zadośćuczynieniem za pracę. Ta grupa zawodowa, mogąc tłamsić osobowość podległej sobie młodzieży, nigdy się przeciwko komunie nie zbuntowała. Wręcz przeciwnie, była jej awangardą, która zasad stalinizmu nie wyrzekła się nigdy, chociaż pewnie nie

zdawała sobie z tego sprawy. Ocena polskiej oświaty była jednym z poważnych problemów, który dzielił dwa pokolenia Kosteckich.

Eugeniusz w budowie nowych szkół, przedszkoli i uniwersytetów widział największy sukces socjalistycznego państwa. Zawsze Tadekowi przypominał postać Zenka, nazywanego Zeniem. Zenio, będąc dzieckiem ubogich, niewykwalifikowanych robotników, otrzymywał w szkole drugie śniadanie. Tadeusz wiedział, że Zenio nigdy tego śniadania nie jadł, tylko zanosił ojcu do pracy. W szkole jadł za to obiad. Był pod opieką lekarza, który serwował dzieciom tran. Do końca edukacji Zenek, podobnie jak inne dzieci, wyjeżdżał na kolonie i miał leczone zęby w szkolnym gabinecie dentystycznym. Dla Eugeniusza, który po raz pierwszy w góry wyjechał jesienią 1944, by wysadzać pociągi, możliwość spędzania wakacji nad morzem, nad jeziorami czy właśnie w górach była dowodem na wielki sukces opiekuńczo-wychowawczy państwa. Uczęszczanie do liceum i na bezpłatne studia były dla Tadekowego ojca marzeniem nieosiągalnym w wieku młodzieńczym. Panującą w szkole dyscyplinę, by nie rzec: rygor, traktował jako nieodłączny składnik edukacji. Gdy któregoś razu nauczyciel zlał Tadeusza wielką linijką po rękach, ojciec w domu poprawił pasem po tyłku. Słowem, w ciągu jednego raptem pokolenia całkowicie zmienił się kąt patrzenia na problem szkoły.

Rozdział 6

Kostecki wyrzął przez okno. Schyłek grudnia 1982 przyniósł śnieg i dosyć mroźną aurę. Tadek spojrział na leżącą obok Kingę. Była dopiero godzina ósma. Msza u Jezuitów rozpoczynała się o dziesiątej, a z domu Eustachego do kościoła szło się spacerkiem mniej niż pięć minut. Przyjaciel ojca był tak miły, że wyjeżdżając na narty, pozwolił Tadeuszowi korzystać ze wszystkich sprzętów domowych pod swoją nieobecność. Najintensywniej porucznik korzystał z łóżka i prysznic. Wyjazd Eustachego zbiegł się z potrzebą dokonania przełomu w relacjach intymnych.

Kostecki odetchnął, mogąc odwlec moment odkrycia kart i wyjawienia, że jest oficerem MO. Zdawał sobie sprawę, że mistyfikacja prędzej czy później się wyda. Obiecał sobie solennie, że wyzna prawdę po zniesieniu stanu wojennego. Po cichu liczył, że owo zniesienie nastąpi jeszcze w bieżącym roku. Eugeniusz, analizując z uwagą reżimowe media, sugerował, że jest taka szansa. Niestety generał Jaruzelski stan wojenny tylko zawiesił. W tej sytuacji Tadeusz z mieszanymi uczuciami kontynuował swoje przedstawienie. Powoli wycofywał się z różnych nader ryzykownych eksperymentów. Po pierwsze, ograniczył swoją „twórczość poetycką”. Pieśni i wiersze rewolucyjne, które dyskretnie przerabiał, zmieniając poszczególne słowa, spełniły swoje zadanie. Kinga oszalała do reszty na jego

punkcie. Chciała nawet wysłać jego „twórczość” do „Tygodnika Mazowsze”. Na szczęście Tadeusz wyperswadował jej ten pomysł. Twierdził, że pisze wyłącznie dla niej. Ten argument przeważył. Jednak dla Kosteckiego był to sygnał, że przeszarżował. Wiersze patriotyczne zaczął zamieniać na miłosne, które hurtowo produkował dla niego Pająk. Jednak twórczość byłej już gwiazdy „W Służbie Narodu” zdecydowanie mniej trafiała w gust panny Kingi. KostECKI odczuciami swojej kochanki z Pajakiem się nie dzielił, nie chcąc pogarszać stanu psychicznego przyjaciela. Odpływ gotówki z kabzy podporucznika zaowocował spadkiem zainteresowania jego osobą co najmniej wśród kilku Pająkowych przyjaciółek. To z kolei nakreśliło potrzebę większych wydatków na różnego rodzaju substancje ratunkowe. Eustachy, gdyby znał perypetie wrażliwego milicjanta, wypowiedziałyby słowa: *idem per idem*.

Tadeusz z Jurgą starali się wspierać kolegę, ale każdy z nich borykał się ze swoimi kłopotami. Dla sierżanta Jurgi palącym problemem była alergia Gabrysi. Pustki na aptecznych półkach stanowiły przeszkodę, z którą nie umiał sobie poradzić zaradny ojciec. Na szczęście Kinga wyjednała u ojca Miecznikowskiego potrzebne leki, które na Sienkiewicza trafiły z dalekiej Szwecji. W rewanżu starszy sierżant przekazał Tadeuszowi potężną porcję pasztetowej, za którą Eustachy mógł nabyć nowe narty z Polsportu. Nowe narty dla Eustachego otworzyły przed KostECKIM możliwość korzystania z łóżka i prysznic w kamienicy na Roosevelta.

W skuteczność pierwszego etapu reformy gospodarki PRL wierzył chyba tylko kapitan Banasik.

Nie chcąc budzić Kingi, porucznik zajął się śniadaniem. Wykorzystując swoją pozycję służbową, Tadeusz drogą kupna uzyskał w delikatesach pięć dodatkowych – poza limitem – jajek. Teraz z namaszczeniem owe jajka gotował. Mieli je zjeść z chlebem pytlowym i margaryną, dla smaku podrasowaną solą. Stosowną paczkę z takimi rarytasami jak kawa, mielonka, czekolada i gumy do żucia Kinga miała dostać od ojca Miecznikowskiego na specjalnym spotkaniu opłatkowym. Przed owym spotkaniem porucznik bronił się rękami i nogami. Już samo chodzenie do kościoła Jezuitów mogło narazić go na nieprzyjemności. O służbowych konsekwencjach chędożenia pięknej opozycjonistki nie myślał, gdyż i Kinga nie widziała potrzeby afiszowania się z seksem, *par excellence*, przedmałżeńskim.

Po śniadaniu oboje ruszyli do kościoła. Dając radę – tuż przed wyjściem – spalić w łóżku kilkaset kalorii.

Kazanie lekko rozczarowało wiernych. Tym razem wątki polityczne ojciec Stefan przykrył motywami typowo religijnymi. Przenikliwy ziąb spowodował, że spotkania towarzyskie były krótkie i wierni dosyć szybko zaczęli rozchodzić się do domów. Kinga z Tadeuszem i Gruchotami szli, uważając na oblodzony chodnik, gdy nagle ktoś w ich stronę głośno zawołał.

- Włodek? - Naprzeciwko nich stanął odziany w elegancki płaszcz jegomość z wpiętym ostentacyjnie znacznikiem Solidarności.

- Bogusław, to ty? Kopę lat. Nie boisz się tak z tym znacznikiem paradować?

- A co mi tam mogą zrobić? - Bogusław sprawiał wrażenie chojraka.

Wywiązała się rozmowa charakterystyczna dla tego typu sytuacji. Znajomi dłuższy czas się ze sobą nie widzieli. Zważywszy na chłód, Bogusław zaproponował podwózkę swoim audi. Kostecki nie mógł się przestać gapić na błyszczącą karoserię i szczerze zazdrościł Gruchotom, którzy hurmem wpakowali się do wozu.

- Pierwszy raz się cieszę, że ta przeklęta syrena dzisiaj nie odpaliła. - Piotruś Gruchot był wniebowzięty perspektywą jazdy prawdziwym samochodem.

Porucznik został na chodniku. A jedynym pocieszeniem było to, że Eustachy wróci dopiero za kilka dni.

Następnego dnia, w poniedziałek, w gabinecie Banasika odbyła się kolejna narada zespołu operacyjno-dochodzeniowego. Dogasał rok 1982. W sprawie Gryglaszewskiej przesłuchano różne osoby. Każdy ze śledczych miał zdać relację. Na pierwszy ogień poszedł starszy sierżant Jurga.

- Trop ze znajomymi z liceum nie przyniósł żadnych rewelacji. Mało kto w ogóle denatkę kojarzył. Cicha i spokojna. Tak wszyscy się o niej wypowiadają. Podobną opinię mają koledzy z pracy. Wzorowa bibliotekarka zatrudniona w Uniontexie. Bardzo oddana swojej pracy. W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym organizowała spotkania z takimi pisarzami, jak Konrad Frejdlich czy Honorata Chróścielewska. W związku z rywalizacją zakładową o Puchar Dyrektora ogłoszono konkurs pod tytułem „Turniej o najlepszy punkt biblioteczny”. Zwycięstwo odniósł punkt biblioteczny Zakładu A, w którym pracowała denatka. Organizowała też konkursy dla załogi. Na przykład „Czy znasz swoje miasto?”

albo „Czy znasz kulturę Kraju Rad?”.

- Interesujące. - Banasik nie byłby sobą, gdyby nie zareagował.

Jurga kontynuował:

- Rok wcześniej zorganizowała koncert poezji satyrycznej oraz wieczór poświęcony twórczości Juliana Przybosa. Podczas jej kariery zawodowej nastąpił zdumiewający przyrost czytelników biblioteki zakładowej. W roku tysięcznym dziewięćset sześćdziesiątym piątym korzystało z niej aż dwa tysiące osiemset czterdziestu ośmiu pracowników, zaś obecnie ponad trzy i pół tysiąca. Oprócz inicjatyw typowo bibliotecznych denatka robiła inne rzeczy, na przykład pisywała okolicznościowe artykuły do zakładowej gazety. Gazeta nazywa się „Nasza Trybuna”. Należy też zwrócić uwagę na aktywność zamordowanej w Zakładowym Domu Kultury. Brała także udział w corocznych Rajdach Włókniarzy organizowanych przez zakładowe Koło PTTK „Kaktusy”. Za swoją działalność otrzymała tytuł Zasłużonego Pracownika Zakładu.

- Prawdziwa pozytywistka. - Banasik był pełen uznania dla Gryglaszewskiej.

Felicjan Jurga mówił dalej:

- Właściwie jedynym punktem zaczepienia mogli być zapominalscy czytelnicy. Podporucznik Pająk wykonał benedyktyńską pracę i sprawdził ewentualnych podejrzanych pod kątem stanu ich kart bibliotecznych. Niestety.

Najbardziej opuszczający się w czytelnictwie obywatele mieli co najwyżej miesięczne przetrzymania pojedynczych woluminów. To nie ten trop.

Po wystąpieniu sierżanta nastąpiła chwila ciszy. Kapitan pytającym spojrzeniem zlustrował Pajaka.

- Rozumiem, że praca wykonana w księgozbiornicy przez podporucznika Pajaka każe się domyślać, że wątek studiów nie przyniósł niczego ciekawego.

- Tak jest! - Pajak odezwał się służbiście. - Tak jak w przypadku kolegów z liceum. Żadnych przesłanek do szukania wyjaśnienia sprawy w czasach studenckich. Wszyscy mówili to samo: cicha i spokojna.

Banasik z resztkami nadziei spojrział na Kosteckiego. Tadeusz westchnął.

- Jak już sierżant Jurga zrelacjonował, denatka wolny czas spędzała aktywnie, ale zawsze czyniła to pod szyldem zakładu pracy. Turyści z PTTK „Kaktusy” mówią to samo, co inni. Cicha i spokojna. Na rajdach nie spożywała alkoholu, nie nawiązywała przygodnych romansów z żonatymi kolegami. Do bólu akuradna. Na studiach okresowo aktywna w duszpasterstwie akademickim przy parafii Matki Boskiej Zwycięskiej. U księdza Dygasa...

- Tego Dygasa? - Kapitan się ożywił i spojrział na porucznika.

- Tak. Tego. Ale to chyba bez znaczenia. Bo, po pierwsze, pod koniec lat pięćdziesiątych ksiądz Dygas nie parzył się jeszcze działalnością przestępczą, a - po drugie - rychło po urodzeniu córki Gryglaszewska wyprowadziła się na Dąbrowę i niemal całkowicie zaprzestała kontaktów z duszpasterstwem. Poświęciła się wychowywaniu dziecka i pracy zawodowej.

Zapadła cisza. Było jasne, że postępowanie trzeba będzie umorzyć. Kapitan bardzo tego nie lubił. Były lata, w których

wszystkie sprawy prowadzone przez pion kryminalny komendy MO w Łodzi kończyły się znalezieniem winnych. Dla Kosteckiego miała być to pierwsza tego typu porażka.

Rozdział 7

Marzec 1983

Pucharowa środa już od rana zapowiadała wyjątkowe wydarzenia. Mimo niemal zimowej aury od wczesnych godzin przed stadionem ŁKS-u parkowały autobusy z różnych stron Polski. Odziana w jesionki gawieź, popijając różnej maści trunki, szykowała się na mecz. Zdobycie biletu na pierwszy ćwierćfinałowy mecz Widzew versus Liverpool graniczyło z cudem. Bilety, od dawna rozprzedane, stawały się walutą równie cenną, co dolary, złoto czy niemieckie marki. Służyły do nabywania leków nieosiągalnych w aptekach. Skracały czas oczekiwania na operacje. Otwierały drogę na obłożone kierunki studiów, a nawet potrafiły przekonać opornych do zmiany zeznań podczas rozpraw sądowych. Chętnych do obejrzenia spektaklu było wedle łódzkiej legendy ponad pół miliona. Sobolewski mówił o stu tysiącach. Plotki głosiły, że Wraga szantażuje prezesa, domagając się kilkuset biletów dla kibiców ze Stargardu.

Kostecki z wściekłością patrzył w stronę alei Unii. Mimo niepodważalnych sukcesów rozświetlających miasto i kraj na arenie międzynarodowej stadion Widzewa nie miał jupiterów. Miał je stadion Górnik w Zabrze, były na Legii. Słabe oświetlenie, po kilkaset luksów, posiadały obiekty Ruchu Chorzów i Pogoni Szczecin. Marnie świeciły - ale jednak świeciły - maszty w Krakowie na Wiśle. Oświetlenie

miały też stadiony Śląski i Olimpijski we Wrocławiu.

Widzew, który w pobitym polu zostawił takich gigantów światowej piłki, jak Manchester City i United oraz Juventus, musiał kątem, niczym ubogi krewny, grać na obiekcie lokalnego rywala. Drużyna Bońka, Młynarczyka i Żmudy, dwukrotny mistrz Polski, zmuszona została, by tułać się po obiekcie drużyny, która podczas europejskich wyczynów skompromitowała siebie i całą polską piłkę, przegrywając z mistrzem Luksemburga aż pięć do zera. Było to w roku 1959 i od tamtej pory lokalny rywal Widzewa nie wychylał się poza bałuckie opłotki, oszczędzając sobie i polskiej piłce dalszych haniebnych wybryków. Ale miał jupitery.

Z każdą godziną wokół stadionu gęstniał tłum. Ludzie przedzierali się przez zwały zbrylonego śniegu, by stanąć lub usiąść na betonowych trybunach. Było ich więcej i więcej.

Kostecki gorączkowo obmacywał bilet. Miał złe przeczucia. Tuż przed meczem prawie cała drużyna zmagiała się z grypą. Kinga uspokajała go, że audiencja u papieża na pewno zniweluje skutki choroby. Nie mógł się doczekać meczu i najchętniej marzyłby już razem z innymi na stadionie. Tymczasem siedział w pracy i nadzorował oczyszczanie szaf ze starych papierzysk. Nagle jego zamyślenie przerwał sierżant Jurga, który wpadł jak burza do gabinetu Banasika.

- Nie ma go? - Jurga był wyraźnie podekscytowany.

- Nie ma.

- Pomóż mi. - Jurga rzucił pod nogi Kosteckiego potężne kartony.

- Ale w czym mam ci pomóc?

- Pakuj te papiery do kartonów!

Ton sierżanta był tak rozkazujący, że Tadeusz żwawo zabrał się do pakowania różnych papierzysk. W czeluściach kartonów ginęły stare rachunki za prąd z 1961 roku, instrukcje użycia pałek milicyjnych z 1959, stare numery „W Służbie Narodu” i inne mało ważne karteluchy.

- Po czorta ci to? - zapytał przyjaciela po chwili Kostecki.

- W skupie makulatury na Rzgowskiej są nocne koszule z bawełny. Na Obrońców Stalingradu mają talerze, sztucce, salaterki i, uwaga, kufle z wrocławskiego fajansu. Rozumiesz? Z wrocławskiego! Na Wólczańskiej zaś kołdry, łyżki i rajstopy. Rozumiesz? R-A-J-S-T-O-P-Y!!!

- I???

- Rajstopy są po sto złotych, kołdry za tysiąc siedemset. Łyżka za dwadzieścia cztery, a nóż za pięćdziesiąt sześć. Zaś kilo makulatury za pięć. Rozumiesz?

- Słabo.

- Zanosisz do skupu makulaturę. Sprzedajesz po piątku za kilogram. A potem przeliczają to na rajstopy. Rozumiesz?

- Teraz rozumiem. Rajstopy dla Magdy, ale te łyżki? Nie masz w domu?

- To wszystko jest dla dziewczynek, na wyprawkę. Kołdry, widelce, salaterki, talerze, no i te kufle z fajansu. Niech zięciu wie, że teściunio sroce spod ogona nie wypadł.

- Ale Gabrysia ma dopiero sześć lat... A Helenka cztery...

- No właśnie. Piętnaście lat jak z bicza strzeli. Posag będzie, jak znalazł. A bo to wiadomo, co za te piętnaście lat będzie?

Kostecki był szczerze poruszony zapobiegliwością kolegi.

Ze zdwojoną siłą zajął się pakowaniem papierów. W sukurs przyszedł Pająk i w ciągu kilku minut wypełnione makulaturą pudła wylądowały na pace tarpana. Przyszły teść swoich zięciów był świetnie przygotowany pod względem logistycznym. Po chwili auto z rozmachem ruszyło. Kostecki wrócił do prawie pustego gabinetu szefa. Wkrótce pojawił się i sam przełożony.

- A gdzie te papiery? - zapytał.

Kosteckiemu nie drgnął ani jeden mięsień na twarzy.

- Pułkownik Moczowski zabrał. Mówił, że na kufle z wrocławskiego fajansu chce zamienić.

- Hmm. Na Kopernika widziałem rosyjską klasykę. Nowe wydanie. Jeden tom za dwadzieścia cztery złote. Cichy Don synowi chciałem kupić. A żonie Braci Karamazow.

Kostecki szybko przeliczył, że jeden tom rosyjskiej literatury wart jest w Priwislinskim Kraju tyle co łyżka. Za całą twórczość Lermontowa można wymienić na jeden kufel z fajansu. Za to wrocławskiego.

Gdy zawiedziony Banasik wyszedł, do pokoju wkroczył uradowany Pająk. W ręku trzymał poranny „Głos Robotniczy”.

- Zobacz - niemal krzyknął.

Kostecki rzucił okiem na fragment gazety zakreślony kopiowym ołówkiem.

- Konkurs literacki. „Dzieje Polskiej Lewicy”. Nagroda za pierwsze miejsce: sto tysięcy złotych.

- Mam już pomysł - mówił gorączkowo Pająk. - Jest rok tysiąc dziewięćset piąty. Ona: działaczka PPS. On: agent Ochrony. Zakochują się. On ją oszukuje i dzięki znajomości z nią rozbija całą grupę. Wszyscy giną. On ma wyrzuty

sumienia. Powoli przechodzi na właściwą stronę, ale ona się dowiaduje, że ją oszukiwał. Nie może mu wybaczyć. Dobrze, co?

- Zajebiste - z kwaśną miną odpowiedział Tadeusz.

Na stadionie Kostecki zameldował się pół godziny przed meczem. Bilet - załatwiony osobiście przez ojca u samego Sobolewskiego - uprawniał go do zajęcia miejsca siedzącego na trybunie skrywającej halę sportową. Wokół murawy wznosiły się zwały śniegu. Dobrze, że śnieg udało się usunąć, gdyż jedyna podgrzewana płyta w Polsce znajdowała się na stadionie ROW-u w Rybniku. Tam miejscowi trzecioligowcy toczyli zażarte boje z MKS Czeladź tudzież Ruchem Radzionków. Jakim cudem ogrzewaną płytę umieszczono właśnie tam, wiedzieli chyba tylko lokalni kacykowie PZPR. By stadion ROW-u nie stał się jednak stadionem wizytowym państwa, którego reprezentacja piłkarska od ośmiu lat była europejskim hegemonem, nie wyposażono go w jupitery. Na podgrzewanej murawie mieli grać piłkarze Victorii Jaworzno.

Znad trybun unosiły się kłęby papierosowego dymu. Kostecki też zapalił. Kinga od jednego z kierowców przywożących paczki wydebiła paczkę cameli. Na specjalną okazję. Teraz Tadeusz zadawał szyku, wkładając do ust kawałek porządnego tytoniu. W końcu niezbyt często miał okazję oglądać na żywo mistrzów Anglii.

Pierwsza połowa była bardzo wyrównana. Widzew atakował, Smolarek z Filipczakiem raz po raz szarżowali na bramkę angielską, ale czynili to w sposób ostrożny. Do przerwy było zero do zera. Tadeusz wypalił kolejnego papierosa z paczki z wizerunkiem wielbłąda oraz łyknął

solidnie z piersiówki. W przerwie zaczęły się rozgrzewać jupitery.

Gdy Grobbelaar nie wyłapał dośrodkowania Surlita i Tłokiński strzelił pierwszego gola, stadionem targnęła ekstaza. Czterdzieści tysięcy ludzi padło sobie w ramiona. Z trybun poszybowały tysiące serpentyn. Na moment stadion ŁKS zmienił się w El Monumental. Rozwścieczeni Brytyjczycy rzucili się do ataku, ale ani Dalglish, ani Souness nie byli w stanie przedrzeć się przez mur widzowskiej obrony na tyle, by móc celnie podać do Walijczyka Rusha. Tymczasem zbliżała się osiemdziesiąta minuta meczu. Akcję zainicjował Grębosz, jeszcze na połowie Widzewa. Wymienił „klepkę” ze Smolarkiem i niczym rasowy skrzydłowy pognął wzdłuż linii bocznej. Po chwili jego centra zatoczyła łuk przed bramką Grobbelara i spadła na głowę Wragi. Najmniejszy piłkarz na boisku nie dał szans golkiperowi z Zimbabwe. Betonowa konstrukcja stadionu po raz kolejny musiała wytrzymać atak radosnego wrzasku. Mistrz Anglii był na kolanach.

Tadeusz nie pamiętał takiej euforii. Był na wszystkich pucharowych meczach Widzewa. Świątował dwukrotnie zdobycie mistrzostwa. O licznych triumfach nad Legią czy lokalnym rywalem nawet nie ma co wspominać. Wraz tłumem rozentuzjasmowanych kibiców szedł ulicą Kopernika w radosnym pochodzie. Dopiero na rogu Gdańskiej i Zielonej nieco ochłonął. Na Retkinię dotarł około dwudziestej pierwszej. Z lodówki wyjął dobrze schłodzoną butelkę wyborowej i uzupełnił parujące wzmacniacze euforii. Gdy wypił jedną czwartą butelki, zadryndał telefon. Dzwonił kapitan Banasik.

Po półgodzinie porucznik Kostecki zameldował się w przedwojennej wili na łódzkim Julianowie. Ulica Orzeszkowej – podobnie jak sąsiednie – obramowana była pięknymi domami, w niektórych przypadkach pamiętającymi czasy carskie. Na osiedlu domków jednorodzinnych mieszkali głównie prawnicy, ordynatorzy szpitali, koryfeusze partii, badylarze i inni łodzianie, którzy na różnorakie sposoby dorobili się nieco większych pieniędzy. Przed jednym z domów kłębił się już tłum milicjantów wymieszany z gapiami. Kostecki śmiało wszedł do środka. Na miejscu był już Jurga, Andrzejewski i nawet Banasik. Na podłodze w jednym z pokoi leżały zwłoki leciwej damy. Wszędzie panował nieład, a szczególnie przykre wrażenie sprawiał wybebeszony materac. Denatka nazywała się Leokadia Czołczaniecka i – sądząc po jej doczesnych szczątkach – mogła urodzić się jeszcze za cara. W kącie pokoju płakała jej około pięćdziesięcioletnia córka. Mąż tejże, o podobnej metryce, zachowywał spokój. Rodzina zamordowanej musiała tu odgrywać jakąś rolę, gdyż na miejscu zabójstwa był także sam Banasik.

- Zgon nastąpił najpewniej w wyniku przedawkowania chemikaliów. Bandydzi odurzili denatkę tamponem nasączonym eterem, chloroformem i jeszcze jakimś składnikiem. Najprawdopodobniej. Więcej powiem po sekcji.

- Doktor Andrzejewski tym razem nie podał ręki, gdyż ta była urękawiczona plastikiem.

Mocno poruszony Banasik nachylił się do Kosteckiego i cicho powiedział.

- Rodzina związana z opozycją. Prawnicy. Musimy działać ostrożnie. Szczególnie teraz, w okresie normalizacji.

Kostecki pokiwał głową. O Czołczanieckich słyszał od Kingi. Na szczęście u nich nie bywał, więc mógł prowadzić śledztwo względnie normalnie. Córka zamordowanej była tak roztrzęsiona, że jakakolwiek próba rozmowy była skazana na porażkę. Nieco spokojniejszy był jej mąż - prawnik. Banasik zdążył Kosteckiemu szepnąć, że bronił on sądzonych działaczy Solidarności.

- Może pan tak na gorąco stwierdzić, czy coś zostało skradzione?

- W materacu nieboszczki mieliśmy pięćset dolarów - odpowiedział adwokat.

- Coś jeszcze?

- Nie wiem. Mieliśmy... Mamy parę wartościowych przedmiotów. Ale powiem szczerze, w tej chwili bardziej jestem poruszony zabójstwem teściowej.

- Tak, tak. Oczywiście. - Kosteckiemu zrobiło się głupio. - Przepraszam. Taka praca.

Było oczywiste, że w tych okolicznościach rozmowa z Czołczanieckimi nie ma większego sensu. Ciało znaleźli oni wieczorem, około godziny dwudziestej drugiej, gdy wrócili z brydża od sąsiadów. Natychmiast zawiadomili milicję.

Następnego dnia w gabinecie Banasika trwała ożywiona rozmowa. Sprawa morderstwa staruszki - ze względu na zaangażowanie jej rodziny w działalność opozycyjną - stała się absolutnym priorytetem. W kraju następowała tak zwana normalizacja. Wielu działaczy byłej Solidarności wyszło z obozów internowania, niektórzy nawet opuścili więzienia. Władze przebąkiwały o amnestii dla najbardziej zagorzałych wrogów socjalistycznej ojczyzny, którzy

w liczbie kilkuset wciąż tkwili za kratami. Polityczne tło zabójstwa byłoby dla generała Jaruzelskiego wielce nie na rękę. Kapitan zdawał sobie sprawę, że śledztwem bardzo będą się interesować najwyższe czynniki państwowe.

- Sierżancie, zaczynajcie. - Banasik dał głos Jurdze.

- Denatka: Leokadia Czołczanowska. Urodzona dwunastego lutego tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Pochodzenie ziemiańskie, ale światopogląd postępowy. Związana z ruchem lewicowym. Aktywna w walce z analfabetyzmem. Prawa ręka Kopcińskiego i prezydenta Rzewskiego. W czasie wojny: w Ravensbrück. Po wojnie skupiła się na pracy w szpitalu imienia Korczaka. Typ społeczniczki. Od dziesięciu lat praktycznie przykuta do łóżka. Stosunek do władz PRL: krytyczny. Nigdy nie była w partii. Moralnie wspierała swoją córkę i zięcia w obronie działaczy zdelegalizowanej Solidarności.

Banasik westchnął. Było jasne, że to, iż ludzie pokroju zamordowanej nigdy oficjalnie nie poparli systemu demokracji ludowej, było dla owego systemu kompromitacją. Nie mogło to jednak zachwiać wiarą kapitana w socjalizm. Banasik wywodzący się z Jarochowa, wsi nieopodal Łęczycy, władzy ludowej zawdzięczał absolutnie wszystko. Jego ojciec był fornałem analfabetą. Jego matka zajmowała się rodziną i siedmiorgiem dzieci, z których czworo bardzo wczesnie zmarło. Banasik na własnej skórze odczuł skutki wielkiego kryzysu. Własnoręcznie rozłupywał zapałki na cztery części, by rodzina miała na chleb z brukwią. Dziedzic, u którego ojciec tyrał, przegrał majątek w karty. Rodzina Banasika autentycznie głodowała. Po przeniesieniu do Łodzi główną

okazją do posilenia się były charytatywne garkuchnie, dzięki którym tysiące łódzkich robotników mogły przeżyć. Dla Banasika PRL nie był sowieckim marionetkowym tworem, ale ojczyzną, która synowi fornala dała wszystko, o czym marzył, a nawet więcej. Dzięki władzy ludowej zrobił eksternistycznie maturę, której w warunkach II RP nigdy by nie zaliczył. Przed wojną bezpłatna edukacja obejmowała tylko poziom szkoły podstawowej. Będąc oficerem MO, Banasik dysponował trzypokojowym mieszkaniem. Stołówka w komendzie oferowała mięso niemal każdego dnia. Wakacje kapitan spędzał godnie. Kilka razy był nawet w Bułgarii. Mimo kryzysu skala awansu społecznego nie zostawiała Banasikowi nawet marginesu na malkontenctwo. Socjalistycznej ojczyźnie służył wiernie. A krucjatę antyalkoholową traktował jako swój skromny wkład w budowę lepszego jutra.

O okolicznościach śmierci opowiedział Kostecki.

- Śmierć nastąpiła na skutek zatrucia substancjami chemicznymi. Tak brzmią wstępne ustalenia. Napastnicy odurzili staruszkę mieszaniną chloroformu, eteru i luminalu. Organizm starszej pani nie miał większych szans. Jednak okoliczności zajścia wskazują raczej na nieumyślne pozbawienie życia. Celem bandytów było uśpienie denatki, a nie zabójstwo. Zgon nastąpił około godziny osiemnastej. Zięć nieboszczki twierdzi, że z mieszkania zginęły dolary w liczbie pięciuset, srebrne sztucce i obraz z osiemnastego wieku. Przedstawiał jakichś zakonników, podobno pijących wino. Czyli mamy motyw rabunkowy.

Banasik podrapał się po łysinie.

- Zastanawia mnie, czy mamy tutaj jakieś analogie

z zabójstwem Gryglaszewskiej. Właściwie widzę tylko zbieżność czasu włamania. I wtedy, i wczoraj bandyci działali podczas meczu.

- To może być przypadek - wtrącił się Pająk. - Mecze pucharowe Widzewa wzbudzają ogromne zainteresowanie. Ewentualni świadkowie, sąsiedzi czy przypadkowi przechodnie są pochłonięci oglądaniem telewizyjnej transmisji. Prawdopodobieństwo napatoczenia się patrolu MO jest minimalne. Zabezpieczenie widowiska sportowego wymaga od milicji szczególnej aktywności, ale dotyczy to stadionu i jego sąsiedztwa. Dla bandytów jest to idealna okazja do działania, ale tak naprawdę obie sprawy mogą nie mieć związku.

- Zgadzam się. W sprawie Czołczanieckiej motyw jest jasny, przynajmniej na tym etapie śledztwa. W przypadku Gryglaszewskiej motywu właściwie nie poznaliśmy.

Do rozmowy włączył się Jurga:

- Elementem łączącym obie sprawy może być sposób włamania. Technicy ustalili, że wczoraj włamano się, korzystając ze sprzętu takiego samego, jak w przypadku włamania u Gryglaszewskiej. Poza tym, jeżeli dobrze pamiętam, to hipoteza była taka, że Gryglaszewska zginęła przez przypadek, bo wróciła po coś do domu. Jeżeli śmierć Czołczanieckiej też nie była celem samym w sobie, to mamy jednak pewne analogie.

- Te analogie opierają się na hipotezach. W sprawie Gryglaszewskiej danych było tak mało, że trudno zbudować na tej podstawie jakąś sensowną paralelę. Przynajmniej na razie - powiedział Banasik.

- Pytanie zasadnicze jest takie, skąd mordercy mieli

wiedzę o zasobach Czołczanieckich. Byli przygotowani, by uśpić staruszkę. Wiedzieli, że córka denatki z mężem w środy grywają w brydża. Wykorzystując mecz jako czas ataku, mieli ograniczoną liczbę minut. Nie wiedzieli, kiedy małżeństwo wróci. Wszystko wskazuje na to, że mieli dobre rozpoznanie. Dolary ukryte w materacu znaleźli dosyć szybko. Nie szukali w bieliźniarce. To wskazuje na profesjonalistów działających w jakiejś grupie. Obraz z osiemnastego wieku wisiał w gabinecie mecenasa, czyli w małej klitce urządzonej na strychu. Ktoś, kto by wszedł do mieszkania po raz pierwszy, gabinetu by nawet nie dostrzegł. A oni wiedzieli, że takowy gabinet istnieje i że właśnie tam wisi cenny obraz. Nie interesowały ich materiały z rozpraw sądowych. Wszystko wskazuje na to, że weszli do gabinetu tylko po obraz, o którym wiedzieli dokładnie, gdzie jest. - Wywód Kosteckiego był zwarty i logiczny.

- Srebrną zastawę stołową też zlokalizowali bez pudła - Pająk kontynuował refleksję Tadeusza. - Czołczaniecki twierdzi, że była pamiątką rodzinną zamordowanej. Czyli musiała pochodzić z przełomu wieków. Może nawet była starsza. Zięc nie był w stanie tego dokładnie stwierdzić. Wedle jego słów zastawa zawsze znajdowała się w tym samym miejscu, czyli w kredensie w pokoju stołowym. Kredens i cały pokój wyglądały niemal jak nietknięte. Po prostu wyciągnęli tę zastawę z szuflady. W drugiej szufladzie był zegarek z siedmioma melodyjkami. Nie połaszczyli się. Skromne cztery tysiące. Widocznie ich nie interesują kwoty tego rzędu.

- To może warto sprawdzić rodzinę. Chociaż jeżeli

myślmy o zorganizowanej grupie, to znowu brak logicznego związku. – Banasik był zbity z tropu.

– Rodzina mogła wystąpić w roli nieświadomego lub świadomego informatora.

Jurga zajrzał do kajetu.

– Z ustaleń wynika, że Czołczanieccy mają córkę. Mieszka z mężem, też prawnikiem, w Dzierżoniowie na Dolnym Śląsku. Mają jedno dziecko.

– Trochę mało prawdopodobne, że z Dzierżoniowa przyjechał gang włamywaczy, który wypytywał tutaj o majątności Czołczanieckich ich rodzoną córkę lub wnuczkę. – Kapitan był sceptyczny. – Z drugiej strony na wszelki wypadek warto sprawdzić, czy z Dzierżoniowa nie przyjechali ludzie na mecz. Zakłady pracy z całej Polski zamawiały bilety.

– Warto też sprawdzić kibiców z innych miast. W grę może wchodzić Świdnica, Wałbrzych, Jelenia Góra – dodał Pająk.

– Kowary, Karpacz, Kamienna Góra. Jest tego trochę. Na szczęście była prowadzona ścisła ewidencja biletów – rzekł Kostecki.

– Tą sprawą zajmie się sierżant Jurga – zakomenderował kapitan.

– Druga sprawa, na którą warto zwrócić uwagę, to mieszanina chemikaliów, którą uśpiono, a w konsekwencji zamordowano staruszkę. Rozmawiałem z Andrzejewskim, twierdzi, że zdobycie takiej mieszanki nie jest rzeczą łatwą. Pomijam już wiedzę, jak ją zastosować. Jak twierdzi nasz konował, użyta dawka silną, dorosłą osobę tylko by otumaniała. – Kostecki poruszył kolejny wątek.

- Czyli naszych kibiców z Dolnego Śląska należy sprawdzić też pod kątem możliwości zdobycia chemikaliów. W grę wchodzi lekarze, pielęgniarki, chemicy, farmaceuci. - Banasik miał fazę na kiepskie żarty.

- Miksturę mogli przygotować jeszcze u siebie - zwrócił uwagę Jurga.

- Mówcie, sierżancie, „na ziemiach odzyskanych”. - Banasik był wyraźnie rozdrażniony.

- Osobiście uważam, że trop śląski wiedzie donikąd, ale oczywiście należy go sprawdzić - powiedział Kosteki.

- A dalsza rodzina? - Do rozmowy włączył się Pająk.

Sierżant Jurga ponownie otworzył zeszyt.

- Mecenas Czołczaniecki ma siostrę. To pani laryngolog z Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Czyli lekarz. Jego żona ma z kolei brata. Inżyniera. Pracuje z kombinacie miedziowym w Lubinie. Dolny Śląsk.

- Hmm. - Banasik się zamyślił.

Jurga kontynuował:

- Dalsza rodzina. Kuzynka Józefa z Hrubieszowa. Pracuje na poczcie. Dalszych krewnych i powinowatych jeszcze nie ustaliłem.

Głos zabrał kapitan:

- Pogrzeb będzie dobrą okolicznością do nabycia wiedzy o rodzinnych relacjach. Motyw zemsty rodzinnej brzmi mało wiarygodnie, ale też go należy sprawdzić. Słowem: trzeba się dokładnie zapoznać z wątkiem rodzinnym. Pozostają jeszcze znajomi. Z tego, co mi wiadomo, dosyć liczni i interesujący...

- W jakimś stopniu w kręgu naszego zainteresowania

pozostają klienci mecenasa. Nie mam na myśli działaczy Solidarności, którzy jeszcze siedzą. Rzecz jasna - skwapliwie dodał Kostecki.

- Myślisz, że ci, którzy już wyszli, nabyli pod całą wiedzę i umiejętności charakterystyczne dla zawodowych kryminalistów? - Pająk był sceptyczny.

- Raczej miałem na myśli wątek świadomego lub nieświadomego poinformowania bandytów - odparował porucznik.

- Mało prawdopodobne, ale i to należy sprawdzić. - Banasik zakończył odprawę.

Kinga była zszokowana.

- Na pewno ich nie znajdą. - Miała na myśli skuteczność milicji w łapaniu bandytów.

Siedzieli u wujostwa w domu. Wszyscy byli poruszeni tym, co stało się u Czołczanieckich. Kinga kontynuowała:

- Gdyby trzeba było łapać tych, co drukują podziemne gazetki, toby ich złapali w ciągu godziny. Ale przecież milicja nie będzie szukać morderców starszej pani...

- Statystyki mają niezłe. - Kostecki próbował bronić honoru niebieskiego munduru.

- Chyba w strzelaniu do robotników. - Kinga była nastawiona bojowo.

Kostecki więcej nie próbował poprawiać emploi milicji. Postanowił dyskretnie przepaść Kingę.

- Znałaś panią Czołczaniecką?

- Tak. Przeurocza staruszka. Prawie nie mogła chodzić, ale intelektualnie była sprawna.

- To chyba musiałaś tam bywać.

- Byłam dwa razy. Raz na sylwestra w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym, a potem chyba na imieninach Stanisława. Mają stary, ładnie urządzonej dom.

- Jakieś zabytki?

- Zabytki? Nie zauważyłam. Chyba że za zabytki można uznać książki sprzed wojny. Właściwie to nie wiem, co ci bandyci mogli tam ukraść.

- Mecenas nie był bogaty?

- Nie zauważyłam jakiejś fortuny. Może mieli ukryte dolary.

- Jak byłaś tam tylko dwa razy, to chyba aż tak dobrze ich nie znasz?

- Wiesz... Są osoby bardziej zaangażowane w opozycję. Na przykład Basia Gruczyńska była u nich ciągle. Boguś Sudański, Mirek Bulski, Marian Cichoń. I oczywiście ojciec Miecznikowski.

Kostecki próbował notować nazwiska w pamięci. Niektóre postaci kojarzył jak przez mgłę.

- Cichoń to ten z Gdańska?

- Nie. Z Gdańska są Cichosze.

- A Mirek to ten lekarz?

- Nie, taksówkarz. Włodek Gruchot woła na niego „Złotowa”.

- Aha. A ten Sudański?

- To ten od audi. Niezły z niego kozak. Wyobraź sobie, że przemycił powielacz z RFN.

- No to rzeczywiście... Ma tam rodzinę?

- Nie wiem, chyba nie. On pracuje w Ema-Elester. Chyba

jakoś po linii służbowej to załatwił. Ze zrozumiałych względów za dużo na ten temat nie mówił. Niektórzy naprawdę się narażają.

Wyczuł, że nuta żalu była skierowana do niego.

- Gdyby wszyscy się narażali, to nie byłoby komu wysyłać paczek do więzień.

Zrobił obrażoną minę. Co nie było trudne, gdy przypomniał sobie, że - by zaimponować Kindze przed Bożym Narodzeniem - dorzucił się do paczki dla Palki. W kwocie dwóch tysięcy.

- Ależ misiaczku! Nie miałam na myśli ciebie. No co ty?

Kostecki pomyślał, że gdyby nie obecność wujostwa, „godzenie się” miałyby przebieg zdecydowanie intensywniejszy.

Pobył u Kingi dobiegał końca. Porucznik powtarzał w głowie usłyszane nazwiska, ale koncepcja, że za zabójstwem starej matki Czołczanieckich stali znajomi rodziny z kręgów opozycji, była mniej więcej równie mało dorzeczna, jak pomysł, by bandytów szukać wśród kibiców z Dzierżoniowa, którzy na dodatek po amatorsku parali się chemią.

„Że też taki Funiek nie zajebał starej siekierą”... Kostecki pomyślał z czułością o prostych śledztwach rodem z ulicy Grabowej, Kruczej, względnie Limanowskiego. Normalizacja generała w ciemnych okularach nie szła w parze z prostotą prowadzonych śledztw. Tadeusz wiedział, że tajemnicze i skomplikowane śledztwa w mieście włókniarzy zdarzały się nieczęsto. W chwilach nostalgii Banasik czasem o nich opowiadał. Najczęściej wracał pamięcią do słynnego śledztwa w sprawie Magdy Sobczakówny. Zamordowana

licealistka miała szesnaście lat. Zabójstwo miało miejsce tuż przed Wielkanocą 1963 roku. Motyw rabunkowy milicja wykluczyła - z domu nic nie zginęło - mimo że ojciec zamordowanej był jednym z najbogatszych Łódzian. W warunkach realnego socjalizmu prowadził fabryczkę czekolady. Milicjanci badali losy okupacyjne ojca, zakładano wątek zemsty. Trop wiódł na manowce. Sąsiedzi mieli widzieć przed domem Sobczaków jakiegoś jegomościa w zielonym płaszczu. Ten trop również nie przyniósł rozwikłania zagadki. Dziesięć lat później w ręce milicji wpadł tak zwany gang inżynierów. Grupa zajmowała się pozbawianiem co bogatszych Łódzian wartościowych rzeczy. Jeden z zatrzymanych twierdził, że zna prawdę, podobno mordercą był jeden z jego kolegów, ale akurat ten, który popełnił samobójstwo. Banasik był przekonany, że rewelacje dotyczące śmierci Magdy były całkowitym wymysłem mitomana. Zdanie Banasika było zaś zbieżne z opinią biegłych. Śmierć córki producenta czekoladek pozostała niewyjaśniona. Podczas spacerów po cmentarzu na Ogrodowej Kostecki nie raz zatrzymywał się przy grobie zamordowanej. Nie tylko z powodów zawodowych. Nagrobek był dziełem wybitnego rzeźbiarza - Edwarda Nowickiego.

Czy zabójstwo sprzed dwudziestu lat ma jakiś związek ze śmiercią Czołczanieckiej i Gryglaszewskiej? Pewnie nie. Nie wiadomo nawet, czy zabójstwo z listopada 1982 należy łączyć z morderstwem staruszki. Właściwie jedyny wątek wspólny to fakt, że w obydwu przypadkach śmierć przyszła wraz z meczami Widzewa. To chyba raczej zbieg okoliczności. A tamta śmierć sprzed lat? Kosteckiemu

trudno było uwierzyć w brak motywu rabunkowego. Ojciec zamordowanej Magdy oferował ponad dwieście tysięcy nagrody za pomoc w ujęciu bandyty. Może o pewnych stratach nie poinformował milicji? Kostecki myślał intensywnie i spytał sam siebie:

- Może chciał ukryć faktyczny stan posiadania?

Ciężko mu było. Prowadząc śledztwo, chcąc nie chcąc, zahaczał o relację z Kingą. Sytuacja była groteskowo niewdzięczna. Kłamiąc wtedy, u wujostwa, nie miał pojęcia, że zapętli się w związek, którego zerwanie będzie równie skomplikowane, co zalegalizowanie go. Zdawał sobie sprawę, że każdy krok, który wykona, będzie zły. Przecież nie wystąpi z milicji, by poślubić Kingę. Miecznikowski mógł mu załatwić leki dla córki Jurgi, ale nowej pracy mu nie da. Wystąpienie z MO w realiach stanu wojennego – mimo jego zawieszenia – równać się musiało biletowi w jedną stronę. Prawdopodobieństwo, że znajdzie pracę jako były funkcjonariusz milicji, były zerowe. Jedynym skutkiem takiego kroku byłaby egzystencja na modłę Kafla tudzież Posejdona.

Idąc w stronę samochodu, czuł wzbierającą wściekłość na całe swoje życie. Miał chęć w równym stopniu zamordować Jaruzelskiego, co Wałęsę. Na szczęście w bagażniku leżało pół litra krakusa. Możliwość nabycia wódki z etykietą, na której widniał jeździec w ludowym stroju krakowskim, było jedynym przebieśnięciem tak zwanego pierwszego etapu reformy gospodarczej. Oczywiście wódkę dostał za okazaniem odpowiedniej kartki. Jednak po ponadrocznej kuracji żytnią i wyborową smak krakusa wydał mu się rarytasem godnym Pewexu. Po upiciu

połowy flaszki ruszył z miejsca.

Odpalając silnik, pomyślał, że może jednak za zabójstwem Czołczanieckiej kryje się ktoś z rodziny. Nie bardzo w to wierzył, ale z jakiegoś powodu chciał, żeby tak właśnie było.

Po przybyciu do domu chęć dokończenia krakusa wystąpiła ze zdwojoną mocą. Usiadł przy stoliku w dużym pokoju. Posiadanie swojego dwupokojowego mieszkania w wieku lat trzydziestu dwóch było w PRL rzadkością. W jego przypadku zaważyła kwestia służby w MO. Linia resortowa została wsparta pokątnymi działaniami Eugeniusza i w ten sposób, mimo braku formalnej połowicy i dzieci, Kostecki mógł dysponować lokalem. Osiedle, na którym mieszkał, było chlubą gierkowskiej Łodzi. Metraże uwzględniały tu wzrost aspiracji życiowych mieszkańców ludowej Polski. Mieszkania były większe od klitek budowanych za czasów towarzysza Wiesława. W końcu w czasie, gdy osiedle powstawało, Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej. Lokale na Retkini w powszechnej opinii dostawali ci, którzy potrafili się w życiu postarać. Zawalczyć o swoje. Zasłużyć na sukces u władz. Przez kilka lat mieszkańcy takich ulic, jak Marchlewskiego, Dzierżyńskiego czy Maratońskiej z pewną dumą spoglądali na krajanów. Aż przyszedł rok 1982, gdy jeden z bloków wyleciał w powietrze. Miejsce dumy zastąpił strach. Ale porucznik o tym teraz nie myślał. Myślał głównie o tym, że śledztwo prędzej czy później zahaczy o jego relacje z Kingą. To myślenie wybitnie szło w parze z chęcią opróżnienia flakonu. Gdy w butelce pozostała już tylko resztką wódki, myśli Tadeusza stały się nieco jaśniejsze.

Rozejrzał się po mieszkaniu, którego wystrój był zdecydowanie ascetyczny. Od momentu wprowadzenia się, Tadeusz niewiele tu zmienił. I w łazience, i w kuchni ściany nie były nawet przykryte kafelkami. W dużym pokoju nie było niczego więcej oprócz prostego stołu, regału z książkami i trzech krzeseł. W sypialni stało zwyczajne łóżko i jakaś stara szafa. Wszystkie meble dostał od Eustachego, który kiedyś postanowił wymienić je na nowe. Kostecki nie cierpiał remontów, przemeblowań i tym podobnych rzeczy. W mieszkaniu czasu spędzał mało. Kindze nic o lokum nie mówił. Wedle wymyślonej historyjki: miał na stałe mieszkać w Gdańsku, a w Łodzi przebywał tylko czasowo. W 1978 w życiu Tadeusza pojawiła się Mariola. Wydawało się, że to ona będzie panią Kostecką. Sprawa stała się nieaktualna, gdy niedoszące małżeństwo zaczęło planować wystrój gniazdka. Ciągłe wycieczki do Domusu doprowadzały Kosteckiego do wściekłości. Wszystkie łóżka, meble, szafki i meblościanki wydawały mu się takie same lub bardzo do siebie podobne. Ciągłe pytania ze strony narzeczonej o to, co Tadeusz sądzi na temat danego mebla, najpierw go śmieszyły, a potem irytowały. Kiedy Mariola postanowiła szukać odpowiednich mebli w Warszawie, zmienił zamek w drzwiach i przeniósł się do Eustachego. Gdyby Deyna strzelił karnego w meczu z Argentyną, może by do niej wrócił. Ale Fillol obronił. Zamiast fiesty i złotego medalu był kac i rozczarowanie piątym miejscem na mundialu.

Rozdział 8

Tydzień po zabójstwie Czołczanieckiej zebrał się zespół operacyjno-śledczy. Najwcześniej, prawie jak zawsze, przyszedł do pracy kapitan Banasik. Usiadł na krześle. Po raz pierwszy od wielu lat chciał zapalić. Wczoraj wieczorem miał ochotę się napić. Pragnąc odrzucić zgubne myśli, spojrzął na makietkę pomnika Marchlewskiego w Łodzi. Nigdy nie wątpił w to, że system, w którym żyje, jest najlepszym z możliwych, choć nieidealnym. Przez całe swoje życie starał się spłacać partii dług za to, że pozwoliła mu wyjść z bałuckiej kloaki. Był wiernym do bólu pretorianinem wiodącej siły narodu. Powoli jednak zaczynał czuć się zmęczony. Zbliżał się do sześćdziesiątki. Śledztwo, za które odpowiadał, nie szło w zadowalającym kierunku. By się odprężyć, wybrał się na przegląd kina libijskiego. Film pod tytułem Omar Mukhtar w reżyserii Moustaphy Akkada traktował o walce narodowowyzwoleńczej toczonej przez dzielny naród libijski przeciw siłom włoskiego imperializmu. Chciał jeszcze zobaczyć Bitwę o Tagrift, ale na razie czekało go zebranie zespołu.

O godzinie dziewiątej dotarli także sierżant i porucznik. Podporucznika Pajaka nie było, co zdawało się nową świecką tradycją zespołu. By zabić nudę oczekiwania, kapitan opowiadał akcję obejrzanego dzień wcześniej filmu, głośno zachwalając jego poziom artystyczny. Jurga udawał, że jest zainteresowany. Kostecki ostentacyjnie drapał się

po głowie, nie siląc się nawet zbytnio na sprawianie przełożonemu przyjemności. Po dwudziestu minutach oczekiwania do pokoju wkroczył Pająk. Czerwone plamki na szyi nie zostawiały wątpliwości, że nadchodząca wiosna wzburzyła krew jakiejś wrażliwej na poezję dziewczoi. Pająk bąknął coś na przeprosiny, a Banasik rozpoczął zebranie.

Pierwszy zabrał głos Kostecki:

- Rozmowy z rodziną Czołczanieckich rzuciły światło na panujące w niej relacje. Może nie jest to idealna familia, ale wszyscy zachowywali - przynajmniej w przypadku denatki - daleko idącą poprawność. Lekarka z Warszawy i inżynier z Lubina mają ugruntowaną pozycję zawodową. Nie są uwikłani w hazard ani nałogi. Nie mają długów. Opinie z zakładów pracy mają wzorowe. Oboje w momencie napadu znajdowali się w swoich miastach. Pani laryngolog była wtedy nawet na dyżurze. Relacje z rodziną mają dobre, choć niespecjalnie zażyłe. Widują się głównie w święta. Mecenas stwierdził, że nie przypomina sobie, by swoją siostrę lub brata żony kiedykolwiek gościł w gabinecie. Pani doktor nie ma dzieci, zaś syn inżyniera miał kilka lat temu wypadek; jest niepełnosprawny i jeździ na wózku. Z tego wątku chyba nic nie wyciśniemy, tym bardziej że córka z Dzierżoniowa nie jest i nie była w jakimś poważnym konflikcie z rodzicami. Ma żelazne alibi. Podobnie jak mąż. W momencie napadu na pewno byli w Dzierżoniowie.

Potem zaczął mówić Jurga:

- Hipoteza z ewentualnym zleceniem napadu wyspecjalizowanym przestępcom też jest raczej do odrzucenia. Wśród biletów rozprowadzonych wśród kibiców z Dolnego Śląska była pula zakupiona przez

kombinat miedziowy, ale z tego, co ustaliłem, wśród miłośników piłki nożnej z Lubina nie było ani zakładowego lekarza, ani chemika. Od zakładu otrzymałem dokładny spis osób, które przyjechały do Łodzi. Oczywiście można założyć, że hipotetyczni bandyci wybrali się do Łodzi samochodem i nie są związani z kombinatem. By ten ślad wykluczyć lub go zminimalizować, poprosiłem kolegów z komend wojewódzkich na Dolnym Śląsku o pomoc. W ciągu pięciu lat nie odnotowano w tamtym rejonie napadu z użyciem chloroformu i eteru. Chyba więc...

- Chyba więc trop rodzinny należy uznać za bardzo mało realny - dokończył Banasik.

- Klientela mecenasa Czołczanieckiego i jego żony, która też jest mecenasem, raczej niewiele nam pomoże - relacjonował Pająk. - Mecenas specjalizuje się w sprawach rozwodowych i spadkowych. Kontakt ze światem przestępczym miał znikomy lub wręcz symboliczny. Prawdopodobieństwo, że przestępcom wystawił go jego były klient, jest małe.

- Hmm. - Banasik westchnął. Od dwudziestu lat nie zdarzyło mu się śledztwo, w którym po tygodniu pracy nie byłoby absolutnie żadnego sensownego tropu.

- Zostaje więc środowisko przyjaciół i znajomych. Dostyc liczne i nader specyficzne pod względem światopoglądowym

- KostECKI powiedział to spokojnie, ale wewnątrz płonął z wściekłości.

- Zapewne wszyscy znajomi Czołczanieckich mają bogate kartoteki u kolegów z SB, ale my prowadzimy śledztwo w sprawie kryminalnej. - Banasik ostatnie dwa słowa wypowiedział dobitnie.

Po chwili ciszy dodał.

- Nie chciałbym, by sprawy polityczno-światopoglądowe rzutowały na naszą pracę. Rozmowę z ojcem Miecznikowskim biorę na siebie. Poruczniku, jesteście w stanie na tym etapie śledztwa podać nazwiska osób, których zeznania najbardziej mogą nam pomóc?

- Tak. Czołczanieccy należą do najbliższego grona współpracowników obywatela Miecznikowskiego. Ze względu na dobrą znajomość prawa i zasługi w bronieniu opozycjonistów przeszło rok temu, Czołczanieccy są ważnym ogniwem w działalności jezuity. Inni czołowi pomagierzy księdza to: Barbara Gruczyńska, Mirosław Bulski, Małgorzata Wojdunik i Marian Cichoń. Ostatnio do tego grona dołączył niejaki Sudański.

- Widzę, że dziarsko wzięliście się do pracy, panie poruczniku. - Kapitan był pod wrażeniem.

- A inni? - dopytywał się Pająk.

- Lista bliższych i dalszych znajomych Czołczanieckich jest bardzo długa. Jak na czerwoną Łódź, zupełnie przyzwoicie wyglądają siły reakcji, a przecież ekstrema Solidarności jeszcze siedzi w więzieniu - odpowiedział Kostecki.

- Dobrze, że nie pracujemy w reakcyjnym Krakowie lub anarchistycznym Wrocławiu. Tam to siły reakcji wspierają rewanżysty z RFN - Pająk mówił głosem imitującym redaktora Raclawickiego z *Dziennika Telewizyjnego*.

- Chyba o coś prosiłem. - Banasik przystopował podporucznika.

- A wątki z przeszłości? - Sierżant szybko zareagował na słowa szefa.

- No właśnie. - Banasik natychmiast podchwycił temat.

- Na ten moment wiemy całkiem sporo. - Kostecki był przygotowany. - Rodzina ofiary konsekwentnie zachowuje postawę nieufną wobec władzy ludowej. Oboje poznali się na studiach prawniczych. Zakończyli je na początku lat sześćdziesiątych. Na studia dostali się po październiku. Są nieco starsi, niżby to wynikało z daty zakończenia studiów. Gdy finiszowali na uniwersytecie, oboje mieli już prawie po trzydzieści lat. Podczas studiów się pobrali i urodziła im się córka. Mecenas, co jest ewenementem, przyjął nazwisko żony zaraz po ślubie. Hamerschlag stał się Czołczanieckim. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym mało kto go kojarzył z dawnym nazwiskiem. Od lat sześćdziesiątych są silnie związani z Miecznikowskim.

- Mimo... - Banasik chciał o coś zapytać.

- Mecenas pochodzi z rodziny niemal w pełni zasymilowanej. Już jego dziad przyjął chrzest w obrządku katolickim. Był silnie zaangażowany w Bund. Dziadek zginął w Oświęcimiu. Rodzicom udało się przeżyć wojnę, ale teraz oboje już nie żyją.

- Aha. - Kapitanowi wyjaśnienia wystarczyły.

- To może klucz do zagadki da się znaleźć w czasach okupacji? - odezwał się Pająk.

- Oczywiście, jest taka szansa. Ale z tego, co mi wiadomo, mecenas ukrywał się u prostej, chłopskiej rodziny gdzieś w okolicach Radomia. Gospodarze umarli. Podczas okupacji rodzina mecenasa straciła cały dobytek. Po wojnie startował od zera. Trop historyczny raczej nie jest właściwy. Przynajmniej na razie nic nie wskazuje, byśmy mieli tu coś znaleźć.

- Czyli na ten moment priorytetem jest krąg znajomych Czołczanieckich i na tym musimy się skupić. - Kapitan abstynent zakończył naradę.

Rozdział 9

Kościół Jezuitów w Łodzi przed wojną był własnością ewangelików, czyli w zdecydowanej większości – Niemców. Po zakończeniu wojny prawie wszyscy zostali zmuszeni do opuszczenia miasta. Nawet ci, którzy w okupacyjną noc wobec Polaków zachowywali się przyzwoicie. Nowa Polska miała być czysta etnicznie. Jej kształt terytorialny przypominać miał Polskę z czasów Chrobrego i Krzywoustego.

Powód, dla którego wygnano Niemców, był w warunkach drugiej połowy lat czterdziestych tak oczywisty, że mało kto kwestionował zasadność decyzji władz. Sami Niemcy w czasie okupacji solidnie przygotowywali dla siebie grunt, eksterminując Polaków lub biernie przyglądając się eksterminacji.

Warunki życia Polaków, których wcielono do Rzeszy, były o wiele trudniejsze niż tych, którzy znaleźli się w tak zwanym Generalnym Gubernatorstwie. Skala terroru była nieporównywalnie większa. Dostęp do żywności był bardziej ograniczony. Polakom nie wolno było wchodzić nawet do parków. Korzystać z basenów, boisk czy tramwajów. O ile w Krakowie konspiracyjne rozgrywki piłkarskie były tolerowane, to w Łodzi ich organizowanie obarczone było ogromnym ryzykiem. Dla polskich podludzi przeznaczony był szpital o bardzo ograniczonych możliwościach ratowania życia. Na masową skalę wysiedlano polską ludność. Elity

wymordowano zaraz na początku wojny. Tysiące łodzian znalazły się poza miastem. Niektórzy nigdy nie wrócili. Los Żydów był jeszcze gorszy. Zniknęli niemal całkowicie, a totalitarna machina nie oszczędziła nawet dzieci. Na ulicy Przemysłowej istniał obóz koncentracyjny dla nieletnich. Tysiące polskich dzieci zostało przekazanych rodzinom w Rzeszy. W przyszłości miały stać się janczarami NSDAP.

Wszystkie te okoliczności spowodowały, że mało który Niemiec z Łodzi mógł liczyć na to, że jakiś jego sąsiad wybroni go przed władzą. Społeczna tkanka miasta została raz na zawsze zniszczona. Dla Polaków zjeżdżających do Łodzi po wojnie łodzcy Niemcy nie byli sąsiadami, tylko Szwabami, hitlerowcami, szopkami i tak dalej.

Wyjeżdżający Niemcy zostawiali kamienice, budynki służące celom społecznym, kulturowym i sportowym. Zostawiali też kościoły. Ten przejęty przez jezuitów był bardzo piękny. Nad ołtarzem górowały zastygłe w witrażach postacie ewangelistów. Równie wspaniałe witraże znajdowały się w nawach bocznych. Praktycznie cały wystrój świątyni był zachowany od przełomu wieków.

Tadeusz umówił się z Kingą, która była na wystąpieniu Jacka Fedorowicza. Aktor, który tak świetnie wcielił się w rolę safandudy w filmie Barei Nie ma róży bez ognia, bardzo ostentacyjnie bojkotował telewizję i radio pełniące rolę propagandowej tuby reżimu. Jeździł po parafiach z kabaretami grającymi skecze o jednoznacznej wymowie politycznej. Sprzedawał także swoje grafiki i rysunki. Na brak środków do życia nie narzekał.

- Zobacz, co mam! - krzyknęła Kinga.

Na arkuszu formatu A4 znajdował się wizerunek Wałęsy.

Podpis był następujący: „Portret nieznanego mężczyzny z wąsem”. Obok w rogu napisano: „Dla Kingi”. Ilustrację dopełniał autograf artysty.

- Super!
- Przepraszam, że musiałeś czekać.
- Nie ma sprawy.
- Odwiesz mnie do wujostwa?
- Mam popsuty samochód - skłamał.
- Szkoda.
- Odwiozę cię tramwajem.

Był marcowy wieczór. Panował chłód. Przed tygodniem miasto pokrywała jeszcze gruba warstwa zmrożonego śniegu.

- Słuchaj - zaczął niepewnie.
- Słucham - odpowiedziała radośnie.

Nie mógł się przełamać. W gardle miał bryłę lodu. Mimo zimna czuł, że jest spocony. Do rozmowy z Kingą przygotowywał się od kilku dni. Analizował w myślach każde zdanie. Teraz czuł, że przygotowania na nic się nie przydały.

- Musimy porozmawiać.
- Przecież rozmawiamy.
- Ale poważnie.
- Dawaj.
- Słuchaj...
- Słucham cały czas.

- Jestem porucznikiem milicji. Zajmuję się łapaniem morderców.

Miał wrażenie, że Kinga przewróci się ze śmiechu na chodnik.

- Prima aprilis dopiero przed nami.

- Ale ja mówię poważnie.

- Uwielbiam twoje poczucie humoru.

Staął. Spojrzał jej w oczy i powiedział:

- Okłamywałem cię. Nie jestem z Gdańska. Nigdy nie byłem u świętej Brygidy. Mam mieszkanie na Retkini. Talon na poloneza załatwił mi ojciec, członek PZPR.

Nigdy w życiu nie widział tak zdziwionych oczu.

- Powiedz, że sobie stroisz żarty.

- Nie stroję żartów.

- Chyba oszalałeś.

- Nie oszalałem. Chciałem ci powiedzieć, ale...

- Ale co?

- Bałem się.

- Bałeś się? Chyba tego, że przestanę się z tobą pieprzyć.

Spuścił oczy i milczał.

- Ty gnoju! Ty komunistyczna świnió!

- Kinga...

- Spierdalaj, śmieciu. Nie chcę cię znać, szmato!

- Kinga...

- Zostaw mnie.

- Kinga...

- Będziesz mnie bił? Wsadzisz do więzienia? Zabijesz?

- Uspokój się.

- Odpierdol się!

Zaczęła płakać. Chciał ją utulić, ale zaczęła się szarpać i zanosić płaczem. Koło nich zatrzymywali się fani Fedorowicza, którzy tłumnie wylewali się z budynków parafii.

Kostecki nie wiedział, co robić. Kinga dostała amoku. Lamentowała wniebogłosy. Wyzywała go od esbeka, oprawcy, czerwonego pachółka.

- Panie, zostaw ją pan, bo zwołam milicję. - Jakiś jegomość stanął w obronie kobiety.

Wokół nich robił się tłumek. Coraz więcej ludzi przystawało. Niektórzy zaczęli poszarpywać porucznika.

- Idź pan w pizdu, mówię. - obrońca Kingi nie dawał za wygraną.

- Na milicję trzeba dzwonić. Chuligan jaki!

- Albo jaki zboczeniec!

- Takiego muszą zamknąć.

Kostecki oczyma wyobraźni zobaczył siebie przed obliczem Banasika. Nie miał ochoty na tłumaczenie się z prywatnych porażek.

Odwrócił się i szybko odszedł. Żegnały go wyzwiska. Szedł tak przez kilkanaście minut. Dopiero gdy dotarł do kina Bałtyk, oprzytomniał. Był na to przygotowany. W samochodzie czekała na niego flaszka. Zważywszy na aurę, była dobrze schłodzona.

Rozdział 10

Kosteckiemu w udziale przypadła rozmowa z Marianem Cichoniem. Po wczorajszej burzy z Kingą jeszcze nie doszedł do siebie. Na krótki czas pomogło to, co pomaga często, choć niestety właśnie chwilowo. Jednak to, co dało wytchnienie wczoraj wieczorem, teraz wracało rykoszetem i nakładało się na ból w duszy, prowadząc Tadeusza na skraj wytrzymałości. Nad ranem, do śniadania, chciał coś jeszcze chlupnąć, ale niczego nie miał. Mimo że nie minęła jeszcze połowa marca, wszystkie kartki na alkohol miał zrealizowane. Zamiast klinem musiał zadowolić się kawą, a właściwie jej resztkami. Kawę dostał od Kingi, a ona - od ojca Miecznikowskiego. Dwa dni temu jeszcze mu smakowała. Dzisiaj już nie.

Zawsze gdy przesłuchiwał kogoś w komendzie, zakładał mundur. Sam przed sobą chciał podkreślić, że jest funkcjonariuszem państwa. Nie partii, nie ideologii, tylko państwa. Mundur dawał mu jakąś moralną osłonę. Był bladą nicią łączącą go z tymi, którzy w innych realiach politycznych podobnie jak on też służyli państwu. Być może też mając różnego rodzaju obiekcje. Miał głębokie przekonanie, że mundury z palemką, charakterystyczne dla milicjantów z pionu kryminalnego, były jakieś ładniejsze, lepiej skrojone od innych. Lubił więc zakładać mundur, choć nie nosił go na co dzień.

Dopił kawę i wyszedł. W komendzie czekał na niego już

trochę wystraszony opozycjonista. Po chwili rozpoczęło się przesłuchanie.

- W jakich okolicznościach poznał pan Czołczanieckich?

Marian Cichoń był wyraźnie zdenerwowany. Kostecki postanowił użyć formy pan, zamiast tradycyjnego zwrotu: „obywatelu”. Liczył, że to pomoże w rozmowie. Tym bardziej że przesłuchiwany jąkał się jeszcze przed przesłuchaniem.

- Nie pamiętam.

- Ale znacie się dobrze.

- Nie wiem.

- Z panią Leokadią pan rozmawiał?

- Nie pamiętam.

- Czy bywał pan w gabinecie mecenasa?

- Nie pamiętam.

Kostecki westchnął. Spodziewał się podobnej rozmowy. Był na taki scenariusz przygotowany. Wziął głęboki oddech. I zaczął raz jeszcze.

- Panie Marku. W ten sposób nigdzie nie dojdziemy. Rozumiem, że darzy pan pracowników MSW, hmm, nieufnością, ale jakąś formę kontaktu musimy nawiązać. Jeżeli panu zależy, by zabójcy zostali złapani. Mnie zależy. Nie interesują mnie pana poglądy polityczne. Chcę złapać bandytów. Myśli pan, że w innym obszarze płatniczym zabójstw nie ma? One się zdarzają niezależnie od systemów politycznych. Dlatego proszę pana o pomoc.

- Postaram się.

- To w takim razie od nowa. Kiedy poznał pan Czołczanieckich?

- To było zaraz na początku stanu wojennego. Ojciec

Miecznikowski mówił, że potrzebna jest pomoc prawna i materialna dla aresztowanych i internowanych. Nie pamiętam, czy to był jeszcze grudzień osiemdziesiątego pierwszego, czy może początek stycznia minionego roku. Zaczynały się już procesy. Może to jeszcze był grudzień.

- A z panią Leokadią kiedy się pan poznał?

- Jakoś wiosną. Może w maju. Było już przyjemnie na dworze, dosyć ciepło, ale nie gorąco. Czołczanieccy zaprosili wszystkich współpracowników ojca na herbatę i ciasto. Wtedy poznałem panią Leokadię. Zosia wyprowadziła ją na taras. Ona bardzo źle chodziła. Ale w kondycji intelektualnej była bardzo dobrej jak na swój wiek.

- Czy Czołczanieccy wspominali o swoich oszczędnościach walutowych?

- Nie do końca. Kilka razy napomknęli o jakimś zabezpieczeniu na starość. Kiedy pojawiały się głosy, że za pomoc aresztowanym może mieć kłopoty z dalszą praktyką adwokacką, mecenas mówił, że da sobie radę. Że z głodu nie umrze. Ale konkretnie o dolarach nie mówił.

- A zastawę stołową pan widział?

- Tak, ale nie wtedy. Wtedy było dużo ludzi i częstowali nas herbatą z ciastem. Zastawę widziałem jakoś we wrześniu. Jadłem u nich obiad. Zosia wyciągnęła zastawę z kredensu, powiedziała, że to dla gości specjalnych.

- Czy wspominała, że jest cenna?

- Nie... Może coś mówiła, ale nie pamiętam. Powiedziała tylko, że to rodzinna pamiątka. Nie przyglądałem się sztućcom.

- Czy kiedy był pan tam jesienią, pani Leokadia też

wstała z łóżka?

- Tak. Była spragniona kontaktu. Ciekawa świata. Bardzo przeżywała stan wojenny. Mówiła, że Solidarność przypomina jej przedwojenną PPS.

- A skradziony obraz pan kojarzy?

- Ledwo. Wisiał w gabinecie Stanisława. Zwróciłem uwagę, że tam jacyś zakonnicy są pijani. Staszek się śmiał, że malarz był uświadomiony klasowo i walczył z zabobonem i klerykalizmem. Nie przyglądałem się ani nie interesowałem.

- Czy mecenas coś o tym obrazie wspominał? Mam na myśli to, czy na przykład mówił, że jest cenny, że pochodzi z osiemnastego wieku?

- Nie. Nigdy o nim nie wspominał. Tylko raz pożartowaliśmy, wtedy w gabinecie.

Kostecki zadał jeszcze kilka innych rutynowych pytań. Po wyjściu Cichonia miał mętlik w głowie. Sam nie wiedział, czy informacje, które uzyskał, będą przydatne. W czasie pracy potrafił o Kindze nie myśleć. Teraz czuł, że wczorajsza rozmowa wraca z detalami. By nie przeżywać jej po raz kolejny, wezwał następną osobę.

Barbara Gruczyńska należała do ścisłego grona współpracowników kapelana Solidarności. Właściwie była jego prawą ręką. Gdyby generał Jaruzelski chciał odwiesić stan wojenny i wsadzić do pudła tych, którzy jeszcze w nim nie byli, to zaczęłby od pani Barbary. Opozycjonistka w niczym nie przypominała swojego kolegi. Cichoń sprawiał wrażenie brata łąty, co to każdego wysłucha i podzieli się pożyczonym groszem. Adiutantka Miecznikowskiego ulepiona była z innej gliny. Niewysoka, ciemnowłosa, przez

okulary w grubej oprawce patrzyła na porucznika wyzywającym wzrokiem. Może nawet kpiącym.

- Mundur pan sobie kawą poplamił. - Z miejsca przejęła inicjatywę.

Kostecki wbił oczy w ziemię. Tego się nie spodziewał. Zaczął się jąkać, stękać. Poczerwieniał na twarzy. Musiała minąć dłuższa chwila, nim się otrząsnął.

- Czołczanieckich poznałam na samym początku stanu wojennego. Niemal od początku zaangażowani byli się w pomoc aresztowanym. Stanisław sam się zaoferował jako mecenas. Ustaliliśmy, że weźmie na siebie obronę liderów drugiej linii. Tych mniej znanych. Najbardziej zaangażował się w obronę Ryszarda Kostrzewy. Czołczanieccy wsparli nas także finansowo. Przekazali sto dolarów na zakup leków w pewexie. Za te pieniądze kupiliśmy leki niedostępne w aptekach.

- Czy mecenas afiszował się z tymi dolarami?

- Wątpię. Banknoty przekazał ojcu. To od ojca się dowiedziałam o tym fakcie.

- A w domu Czołczanieckich ile razy pani była?

- Trudno powiedzieć. Bywałam tam dosyć często. Raz w miesiącu? Może nawet częściej.

- Zakładam, że panią Leokadię pani poznała.

- Oczywiście. Nie chciałby pan słyszeć jej komentarzy o pana mocodawcach. Miała jasno sprecyzowane poglądy polityczne. Kiedy przychodziłam, zawsze wstawiała z łóżka i wypytywała o różne sprawy.

- Zastawę stołową pani kojarzy?

- Tak. Zosia mówiła, że to pamiątka rodzinna. Czołczanieccy śmiali się, że zastawę podają tylko

wyjatkowym gościom.

- A obraz?

- Powiem szczerze: nie bardzo. Kojarzę jak przez mgłę. Wisiał w gabinecie. Ale o tym, że był cenny, dowiedziałam się dopiero po napaści. Nie przyglądałam się. Staszek twierdził, że tam jacyś zakonnicy byli.

Kostecki spojrział na zegarek. Dzień pracy się kończył. Nie miał pojęcia, czy przesłuchania cokolwiek wniosły do sprawy.

Tego samego dnia z Małgorzatą Wojdunik rozmawiał podporucznik Pająk. Mający mniejsze doświadczenie z przesłuchaniach Pająk na początku pocił się i sapał, ale po pewnym czasie złapał rytm. Rozeznanie, które zrobił, wykazało, że pani Wojdunik ma dwie nadobne córki. Podporucznik nie mógł przestać o nich myśleć podczas rozmowy z opozycjonistką. Koniec końców udało mu się jednak zadać kilka pytań.

- Od kiedy zna obywatelka Czołczanieckich?

- Od początku. To znaczy od początku stanu wojennego. To był chyba jeszcze grudzień.

- Czy obywatelka wiedziała, że posiadają dewizy?

- Tak. Mecenas jakąś kwotę, chyba dolarów, przekazał na zakup leków.

- A czy obywatelka bywała w domu poszkodowanych?

- Obywatelka bywała. Nawet często. A co, jestem oskarżona?

- Niech obywatelka odpowiada na pytania.

- Bywałam dosyć często.

- A czy obywatelka widziała srebrną zastawę stołową?

- Tak. Czołczanieccy mówili, że to rodzinna pamiątka. Żartowali, że jest dla specjalnych gości.

- A obraz obywatelka widziała? Pijanych zakonników przedstawiał.

- A milicjanci to nie piją? Piją. Aż miło. Chyba jakieś dodatkowe kartki dostajecie.

Pająk spąsował na twarzy. Pot sperlił mu czoło. Zmalał i skurczył się w sobie.

- Nie że coś insynuuję. Tak po prostu powiedziałem.

- Wisiał w gabinecie. Stanisław ani Zosia nigdy o nim nie mówili.

Pająk przetarł spocone czoło i zadał kolejne pytanie.

- A denatkę obywatelka знаła?

- Tak. Pani Leokadia była bardzo towarzyska. Zawsze gdy przychodziłam, to wstawiała z łóżka, by porozmawiać.

Podobnych informacji udzielił obywatel Bulski Mirosław. Na wszystkie pytania odpowiadał w bardzo podobny sposób. Nie inaczej sprawa wyglądała z Bogusławem Sudańskim, z tą wszelako różnicą, że on do działalności opozycyjnej przystąpił później. Za to z zapałem.

W przypadku Bulskiego uwagę zwróciło to, że będąc taksówkarzem, bardzo chętnie zaangażował się w pomoc Miecznikowskiemu. Taksówkarze mieli większe przydziały benzyny, dzięki niej mogli zarabiać na życie. Kursowanie po Polsce z jezuitą u boku nie było przecież pracą zarobkową.

W przypadku Sudańskiego uwagę śledczych zwrócił fakt, że za rządów Salvadora Allende Sudański był pracownikiem

ambasady polskiej w Chile. Wolta polityczna absolwenta handlu międzynarodowego była zastanawiająca. Jednak - podobnie jak benzyna Bulskiego - nie miała żadnego związku z morderstwem.

Następnego dnia Banasik zrobił podsumowanie zdobytych informacji.

- Z naszych rozmów wyłania się następujący obraz. Wszyscy przesłuchiwanie kojarzyli srebrną zastawę. Zofia Czołczaniecka była w stanie powiedzieć o niej, że pochodziła z połowy ubiegłego wieku. Była jedyną pamiątką po szlacheckim życiu. Po powstaniu styczniowym władze carskie skonfiskowały im majątek w ramach represji. Wartość szacunkowa ustalona przez ekspertów w Warszawie to kilkadziesiąt tysięcy złotych. Z naszych ustaleń wynika, że zastawa była wykorzystywana często. Zwrot, że ją podawano specjalnym gościom, należy uznać za żart. Wszyscy przesłuchiwanie o tym mówili. O zastawie mogło wiedzieć bardzo wielu ludzi. Właściwie wszyscy, którzy tam bywali. A liczba znajomych Czołczanieckich jest znaczna. Podobnie rzecz się ma z dewizami. Czołczanieccy się z nimi nie afiszowali, ale też niespecjalnie kamuflowali fakt ich posiadania. Sprawa przekazania stu dolarów na leki dla więzionych opozycjonistów lub ich rodzin była znana. Choć może nie w szczegółach. Zresztą nie trzeba być filozofem, by założyć, że wzięta rodzina adwokacka dysponuje jakimś dewizowym kapitałem. Czyli o dolarach też wiedział lub domniemywał dosyć szeroki krąg ludzi. Pozostaje kwestia tego obrazu. To też jakaś pamiątka rodzinna. Oprócz tego, że obraz pochodził z osiemnastego wieku i przedstawiał pijanych zakonników, niewiele można

powiedzieć. Wisiał w gabinecie, w którym mecenas gości przyjmował dosyć rzadko. Reasumując: tylko obraz może być dla nas jakimś sensownym zaczepieniem. O jego istnieniu i miejscu przechowywania wiedziało o wiele mniej osób niż o zastawie i dolarach. Jeżeli nasze założenie, że bandyci wiedzieli, czego i gdzie szukać, jest zasadne. Stoję na stanowisku, że zasadne jest.

- Dwa zdania o dolarach - włączył się Kostecki. - Gdyby pan miał, panie pułkowniku, dolary, to gdzie by pan je trzymał?

- W banku.

- A Czołczanieccy trzymali je w domu. W materacu denatki.

- I co w związku z tym?

- Chcę powiedzieć, że o tym, iż Czołczanieccy nie trzymają pieniędzy w banku, bandyci też musieli wiedzieć. Poza rozprutym materacem i leżącą obok niego denatką w mieszkaniu był względny porządek. Czyli musieli wiedzieć lub się domyślać, że dewizy są właśnie tam.

- Ktoś z przesłuchiwanym dzisiaj? - dopytywał się Jurga.

- To nie jest wykluczone. Ale musimy też cały czas mieć na uwadze klientów mecenasa. Czołczaniecki twierdzi, że klientów nie przyjmował w domu, tylko w biurze na Kościuszki. Ale przecież mogło się zdarzyć, że kilka lat temu kogoś przyjął. Ten ktoś mógł wejść w konflikt z prawem i wylądować w więzieniu. Tam mógł zawrzeć ciekawe znajomości i teraz mamy come back. Musimy gruntownie sprawdzić osoby, które reprezentował w sądzie mecenas. To akurat jest proste do zrobienia.

- A co z tymi, których dzisiaj przesłuchiwaliśmy? -

zapytał Pająk.

- Ich też trzeba sprawdzić. Gdzie pracują i pracowali. Czy byli notowani. Środowisko, w którym się wychowywali. Przecież pewne rzeczy mogły im się wymknąć przy rozmowie, zwierzeniach czy przy wódce.

- Na spowiedzi? - łobuzersko zapytał Pająk.

Banasik nie wyczuł żartu.

- Po rozmowie z Miecznikowskim musiałem się gęsto tłumaczyć biskupowi Rozwadowskiemu. Ciężki rozmówca. Cały czas miał się za męczennika. Nie mogłem mu wyjaśnić, że nasza rozmowa ma charakter niepolityczny. Nie powiedział tego wprost, ale odniosłem wrażenie, że całą sprawę traktuje jak polityczną prowokację.

- Jego też sprawdzić? - Pająk dopytywał.

- Nie trzeba. Miecznikowski jest na celowniku SB od czasu sprawy „Ruchu”. Był pod obserwacją także wtedy, gdy był w Kaliszu. Ciekawa lektura, ale nieistotna dla naszej sprawy.

- Czyli? - Jurga potrzebował jasnych wytycznych.

Banasik zasepił się. Pobębnił palcami w szybę, która skrywała blat biurka. Pod szybą znajdowały się widokówki z miejsc, w których był pułkownik lub jego znajomi. Kosteckiemu najbardziej się podobała trójwymiarowa pocztówka z Bułgarii.

- Na ten moment sprawdzamy dokładnie bohaterów dzisiejszego dnia. Sierżancie, wy analizujecie klientów mecenasa od początku jego pracy. Interesują nas ich ewentualne kontakty ze światem przestępczym. Za tydzień dzielimy się wynikami.

Rozdział 11

Minął tydzień.

- Miałem dzisiaj koszmarny sen - powiedział Eugeniusz.

Postawił szklanke z herbatą na topornym ławostole. Tadeusz wygramolił się spod kołdry. Tę noc spędził na Srebrzyńskiej, w mieszkaniu ojca.

- A co ci się śniło?

- Że Widzew gra w lidze okręgowej. Z jakimś Motorem.

- Lublin?

- Nie, Lubawa czy jakoś tak.

Kosteckiemu sen wydał się nie tyle koszmarny, co całkowicie nielogiczny. Obraz Widzewa grającego w okręgowce całkowicie nie mieścił się w jego wyobraźni. Sięgnął po kanapkę z żółtym serem.

- Ale za to mieli zupełnie nowy stadion.

- Kto?

- No, Widzew. Kryte trybuny. Wszystkie miejsca siedzące. Oczywiście krzeselka. A nie jakieś drewniane ławy. Wszędzie czysto. Nawet w kiblach.

- Czysto w kiblach?

Kostecki nigdzie w PRL nie widział czystego kibla. Wychodki stadionowe były chyba w jeszcze gorszym stanie niż te na dworcach i w pociągach. Szczęściem Tadeusz był zbyt młody na problemy z prostatą. Potrafił zacisnąć zęby, ale czasem po prostu musiał skorzystać. Najgorsze były klopy na narciarza. Trzeba było stać i wypinając tyłek,

celować do dziury. Kiedyś tak się zdenerwował, że nie trafił. Okrzyk babci klozetowej, który brzmiał: „Panie, coś pan, drżałeś pan!”, będzie pamiętał do końca życia.

- Czyściutko. A te trybuny? Jak na Anfield Road.

- Mnie się takie banialuki nigdy nie śnią.

Kostecki miał dziś urlop. Pomagał ojcu w taszczeniu pikowanych foteli. Eugeniusz załatwił je w Domusie. Fotele nawet nie były wypakowane z kartonów. Był to ekwiwalent za bilety na mecz Widzew - Liverpool. Eugeniusz, znając samego Sobolewskiego, załatwiał wejściówki i w twórczy sposób zamieniał je na niedostępne towary. Akcja z fotelami miała miejsce o czwartej nad ranem, toteż Tadeusz o szóstej położył się wreszcie spać. W fotelach mieli oglądać rewanż. Banasik wydał rozkaz, by w pomeczową noc wszyscy byli pod telefonem. Mieli też zakaz picia. Pułkownik nie zapeszał, ale na wszelki wypadek chciał w tę noc mieć zespół na wyciągnięcie słuchawki. Do meczu było jednak sporo czasu, więc Tadeusz postanowił po pierwsze się wyspać.

Gdy się obudził, była już pora obiadu. Jedząc kaszę z sosem, wertował prasę. Zwrócił uwagę, że wszędzie dominował radosny ton. Przed zbliżającą się Wielkanocą w sklepach miało nie zabraknąć musztardy. A więc jednak polityka rządu przynosiła poprawę sytuacji w sklepach. Dziennikarze nie pisali, czy drugi etap reformy gospodarczej zaowocuje pojawieniem się w przyszłości kielbasy, czy też rzeżuchy.

- Chyba że władza ludowa myśli, że lud roboczy miast i wsi musztardę wykorzysta do robienia świątecznego „scjenołaza” - mruknął do siebie cicho Tadeusz.

„Scjenołaza” miał okazję poznać podczas służbowego wyjazdu do Iwanowa. Tam oficerowie radzieccy zaprosili go raut. Po części oficjalnej nastąpiła pora na działania w podgrupach. Lejtnant Czapow wymieszał w słoiku po niedojezionej musztardzie wódkę. Po wypiciu dwóch musztardówek Kostecki zrozumiał sens nazwy. Po powrocie do zdrowia podjął decyzję, że do Iwanowa więcej nie pojedzie.

Nie zrobiwszy nic ciekawego, Tadeusz dotrwał do wieczora. Gdy sędzia wyprowadzał piłkarzy, Kostecki modlił się, by elektrownia nie odcięła prądu. Widzew miał zagrać w swoim reprezentacyjnym składzie. Brakowało tylko Grębosza, który w Łodzi zarobił drugą żółtą kartkę. Jego miejsce na środku obrony zajął uniwersalny Tłokiński. Mirosław Tłokiński grał w Widzewie już parę ładnych lat, ale dopiero teraz stał się wielką gwiazdą. Zdominowany przez Bońka, którego niespecjalnie lubił, nie był w stanie wybić się na lidera mimo wielkich piłkarskich umiejętności i typowego widzewskiego charakteru. Jego rzadką umiejętnością grania na wszystkich pozycjach z wyjątkiem bramki doceniali tylko trenerzy klubowi; selekcjonerzy kadry stawiali na innych. Nawet takich, którzy – jak na przykład Marek Kusto – nie strzelali bramek w lidze. Albo jak Piotr Skrobowski, który pojechał na mundial ze złamaną nogą. O roli, jaką pełnił w kadrze Tadeusz Dolny, niebędący gwiazdą nawet w przeciętnym Górniku z Zabrze, krążyły legendy. Niektórzy twierdzili, że piłkarz miał załatwić Piechniczкови cegły do budowy domu. Jak by nie patrzeć, Tłokiński nie był ulubieńcem piłkarskiej centrali. Za to kochali go na Widzewie.

W Liverpoolu przez cały dzień solidnie lał deszcz. Boisko było grzaskie. Od rzeki Mersey szedł chłód, zapowiadała się walka w typowo wyspiarskich warunkach. Liverpool zaatakował z wściekłością. Na bramkę Młynarczyka parły szturmy kierowane przez Dalglisha, Sounessa i Johnsona. Niesieni chóralnym dopingiem synowie miasta Beatlesów rzucili się do ataku. Widzew go odpierał. Świetnie grał Świątek z Kamińskim. Na środku obrony niczym prasłowiański sambor królował Wójcicki. Widzew się bronił, ale nie rozpaczliwie. Smolarek z Filipczakiem krążyli na desancie gotowi do zadania uderzenia. Było nieźle, lecz przyszła piętnasta minuta meczu. Filipczak wyskoczył we własnym polu karnym i niechcący zgrał ręką. Przez Anfield Road przeszedł grzmot. Po chwili było jeden do zera. Z tysięcy gardeł angielskich kibiców szedł głos. Można było odnieść wrażenie, że wulkan „The Kop”, który do tej pory drzemał, teraz eksplodował, a z czeluści krateru wydobywała się lawa dźwięku. Decybele odbijały się od dachu i ze zdwojoną mocą spadały na murawę. Dalglish i Souness – szkockie płuca zespołu – zaczęli biegać szybciej niż dotąd, co wydawało nieprawdopodobne. Synowie Albionu rzucili się do szaleńczych ataków. Obrona Widzewa zaczęła się chwiać. Na bramkę Młynarczyka raz po raz padały gromy. Niesieni fanatycznym dopingiem liverpoolczycy szarżowali z wściekłością. Duch żelaznobokich zstąpił na Anfield. Druga bramka wisiała w powietrzu i wtedy Souness się poślizgnął. Do piłki dobiegł Smolarek. W chwilę później sędzia gwizdnął karnego. Na przerwę Widzew schodził z wynikiem jeden do jednego.

- Uff. Gorąco było. - Eugeniusz nalał jabłkowego wina.

Przez cały rok oszczędzali cukier. Tadeusz przywykł do gorzkiej herbaty. Eustachy nie pijał słodkiej kawy. Nie piekli ciast. Za to teraz można było raczyć się pysznym winem własnej roboty. Kostecki z żalem pomyślał o poleceniu szefa. Łyknął tylko trochę.

Rozpoczęła się druga połowa. Parę minut później obok własnej bramki przejął piłkę Wiesław Wraga. Kapitalne podanie trafiło do Filipczaka. Napastnik popędził co sił w stronę bramki Grobbelaara. Mógł strzelać, ale lojalnie podał do kapitana. Kilka chwil później Włodzimierz Smolarek utonął w uściskach kolegów.

W tysiącach łódzkich domów zapanowała euforia. Znad kominów obskurnych kamienic i betonowych klocków blokowisk buchnęła para dumy i radości.

Tymczasem na Anfield górę wzięła konsternacja. Dumni mistrzowie Anglii leżeli na deskach. Po chwili ciszy nad boiskiem przeszła pieśń You'll never walk alone. Amarantowa armia Boba Paisleya rzuciła się z furią do natarcia. Z „The Kop” w stronę obrońców Widzewa leciały monety, puszki po piwie, hektolitry plwocin i grad wyzwisk. Najpierw Rush, a potem Hodgson trafili do bramki Młynarczyka, ale nic to nie dało. W półfinale Pucharu Europy miał zagrać Widzew. Gdy wybrzmiał ostatni gwizdek sędziego, stała się rzecz zdumiewająca. Tysiące fanatyków z „The Kop” oklaskami dziękowało za grę jedenastce niezłomnych mężczyzn z dalekiej Łodzi.

Nikt z oklaskiwanych ani tych, którzy oglądali mecz przed telewizorem, nie zastanawiał się, który z chojraków z „The Kop” okaże się w przyszłości mordercą jedenastoletniego Andrei Casuli, a kto zabije dobiegającego

sześćdziesiątki pana Barboa. Pewne rzeczy są nie do wyobrażenia dla normalnego człowieka.

U Kosteckich panowała euforia. Tadeusz skakał z radości, a Eugeniusz z tego samego powodu płakał. Porucznik postanowił nalać sobie jeszcze wina. W razie ewentualnych pytań kapitana miał głosić wersję, że kompot się sfermentował.

W nocy Kostecki spał z głową przy telefonie. Co godzinę się budził. Nadśluchiwał. Ale telefon nie dzwonił. Rano poszedł do pracy. Wszystko wskazywało na to, że tej środy nikt nikogo nie zabił.

Kapitan Banasik był wyraźnie zmęczony. Podobnie jak wszyscy, spał bardzo kiepsko. Cały zespół w nerwach oczekiwał telefonu o kolejnym przestępstwie popełnionym podczas meczu. Kapitan zagaił:

- Dzisiejsza noc nie przyniosła nam chyba sensacji pozasportowych. Oczywiście może się zdarzyć, że trup gdzieś sobie leży i znajdziemy go za trzy dni, ale póki co: dobrze jest. Otwieram zebranie.

Rozpoczął sierżant:

- Analizie poddaliśmy wszystkich klientów mecenasa od początku jego prawniczej kariery. Tak jak już było powiedziane, specjalizował się w sprawach rozwodowych i majątkowych. Z analizy wynika, że żaden z jego klientów nie wszedł w kolizję z prawem. Oczywiście nie dotyczy to działaczy opozycji. Dokładnie sprawdziliśmy jego niepolitycznych klientów. Żaden nie był ani w areszcie, ani tym bardziej w więzieniu. Wszyscy są spokojnymi obywatelami. Żaden nie został nawet spisany. W kręgu

najbliższych też nikt nie siedział. Nikt nie był zatrzymany nawet na czterdzieści osiem godzin.

- Hmm. No to ten trop mamy z głowy.

Kontynuował Kostecki:

- Małgorzata Wojdunik. Rocznik czterdziesty drugi. Ekonomistka. Pracuje w zakładach Bistona. Opinia z zakładu pracy bardzo dobra. Sumienna pracownica. Sprawdziliśmy ją pod kątem konfliktów z prawem. Żadnych śladów. Czysta jak łąza. Najbliższa rodzina podobnie. Nikt nie spędził w zakładzie karnym nawet godziny. Podobnie przedstawia się sprawa z Barbarą Gruczyńską. Rocznik pięćdziesiąty trzeci. Dokładna i precyzyjna pani optyk. Zatrudniona w Łódzkich Zakładach Optycznych. Do niczego nie możemy się przyczepić. Nawet książki z biblioteki zawsze oddaje na czas. Podobnie jak w przypadku Wojdunik, najbliższa rodzina nienotowana. Żadnych nici łączących ze światem przestępczym.

- Jak alibi obu pań?

- Obie mają alibi nie do podważenia. Gruczyńska rozpakowywała transport darów ze Szwecji. Towarzyszyło jej dziesięć osób. Koledzy z SB potwierdzili. Opuściła parcelę jezuitów o godzinie dwudziestej pierwszej czternaście.

- No ta informacja musi być pewna.

- Wojdunik zaś podczas meczu rozmawiała z wychowawczynią swojej córki w liceum. Wychowawczyni odnotowała spotkanie w dokumentacji. Jej pobyt w szkole potwierdził nocny stróż, który pilnuje szkoły po lekcjach. Wyszła o osiemnastej. To alibi też jest pewne. Podobnie rzecz się ma z mężczyznami. Sudański i Cichoń

rozładowywali paczki. Bulski natomiast miał awarię taksówki i musiał się udać do mechanika. Czysta sprawa.

- Musimy w takim razie sprawdzić innych znajomych z kręgu Miecznikowskiego. To ponad setka ludzi. Obawiam się, że długo tego śledztwa nie zamkniemy. - Kapitan Banasik miał wielce nietęgą minę.

Rozdział 12

Na stadion przy ulicy Armii Czerwonej weszli we trzech. Eustachy interesował się piłką incydentalnie. Oglądał mecze reprezentacji i czasem mecze pucharowe. Ligowy wymiar piłki nożnej nie interesował go wcale. Jednakże na mecze derbowe chodził z ciekawością, która wszelako nie miała absolutnie żadnego związku ze sportem. By ominąć tłumy i móc znaleźć miejsce do parkowania, Tadeusz zaordynował wyjście na stadion dużo wcześniej. Nie bez znaczenia była też lokalizacja zajmowanego miejsca. Eugeniusz lubił siedzieć na głównej trybunie, na wprost linii środkowej boiska. Gdy weszli na stadion, Kosteckiemu ukazał się niemiły widok. Na trybunie pod zegarem, gdzie zawsze siedzieli najzagorzalsi kibice RTS-u, ulokowali się fani ŁKS-u. Na wiosennym wietrze łopotały biało-czerwone sztandary. Tadeusz pomyślał, że feeria wzajemnych oszczerstw zacznie się dziś wcześniej niż zwykle. Na moment przestał myśleć i zatkał nos. Od strony tak zwanych toalet powiał wiatr. Byli na stadionie niemal sami i teoretycznie z szaletów nie miało prawa póki co śmierdzieć. Teoretycznie.

- Czy oni nigdy, kurwa, nie czyszczą tych kibli? - zapytał sam siebie szeptem.

Ich wejście na trybunę zbiegło się z wkroczeniem na stadion zwartej grupy widzowskich kibiców, wzmocnionych kontyngentem tak zwanych przyjaciół z BKS Bielsko-Biała. Gdy ujrzeli zajęty przez ełkaesiaków sektor

pod zegarem, zareagowali w charakterystyczny dla siebie sposób.

- ŁKS jude, jude, jude! - wyrwało się z gardeł chwackich młodzieńców.

- Żydzew, Żydzew, łódzki Żydzew, ja tej kurwy nienawidzę! - odparowali dżentelmeni z drugiej strony.

Po wstępnej wymianie uprzejmości rozpętała się obustronna kakofonia wyzwisk, przekleństw i inwektyw.

- Uwielbiam ten moment - zaśmiał się Eustachy. - Synowie czerwonej Łodzi przy ulicy Armii Czerwonej w państwie rządonym przez komunistów, w mieście o wybitnie lewicowej tożsamości wyzywają się od Żydów. Słowo Żyd jako obelga. Najgorsza z możliwych. Czy dla starego endeka może być piękniejszy widok?

Eugeniusz nie zareagował na zaczepkę. Eustachy kontynuował:

- Rządzicie czterdzieści lat. W rękach macie całe szkolnictwo, harcerstwo, organizacje młodzieżowe, kluby i stowarzyszenia. Nie wspomnę o wojsku, które przecież też, jak to lubicie mawiać, prowadzi pracę wychowawczą. Pięknie wam wychodzi wychowywanie młodzieży w duchu socjalistycznych wartości.

Eugeniusz znowu nie zareagował. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Jak patrzę na tę wyjąca do siebie z nienawiścią tłuszcę, to zastanawiam się, czy w ogóle w tym państwie jest jakieś ministerstwo oświaty. Zdajecie sobie sprawę, że wasze wychowanie młodego pokolenia to triumf Dmowskiego? Dmowskiego, o którym nie można napisać, że był wybitnym politykiem. Cała wasza narracja historyczna jest skrajnie

antyendecka. Nie znalazłem żadnego zdania, które by chociaż siliło się na obiektywizm w ocenie narodowców. A z drugiej strony składacie hołd całej antyżydowskiej endeckiej twarzy. I to w mieście, gdzie chyba żadna kamienica nie powstała bez udziału Żydów. Gdzie każdy kamień mówi w jidysz. W poniedziałek ukążą się relacje z meczu. Będą informacje, kto kogo kopnął w kostkę, ale nikt nie zająknie się nawet na temat tej antysemitkiej litanii. Nie odbędzie się żadna lekcja wychowawcza, nikt nie rzuci hasła, by zamalować antyżydowskie napisy, od których aż bolą oczy. Żaden aktyw organizacji młodzieżowych nie zajmie stanowiska. Zdumiewa mnie ta wasza wybiórczość ideologiczna.

Eugeniusz znowu nie zareagował, tylko spocił się solidnie, mimo że naprawdę trudno było się zgrzać, siedząc na odsłoniętej trybunie w dniu 30 marca 1983 roku. Zaś Eustachy dalej monologował:

- W marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku musiało wyjechać z Łodzi ponad tysiąc lekarzy. Tysiąc. Ktoś zareagował? Jakies rady zakładowe zabrały głos? Jacyś liderzy, pożał się Boże, związków zawodowych zwrócili uwagę na fakt, że ileś setek robotniczych dzieci nie będzie miało w terminie operacji? Że iluś emerytowanych ludzi pracy nie będzie miało postawionej diagnozy?

W odpowiedzi Eugeniusz zapalił papierosa.

- Co za paradoks. Najpierw zatrudniony w imieniu państwa żydowski oprawca katował mnie po nerkach. Kiedy po latach żydowski nefrolog mnie leczył i był bliski sukcesu, ta sama władza wygnała go z kraju. Bo dziadek chodził do synagogi. Co za absurd.

Kostecki uwielbiał rozmowy i dyskusje obu przyjaciół, ale dziś szkoda mu było ojca. Eugeniusz nic nie mówił, bo wiedział, że argumentów nie ma żadnych. Nie odbije piłeczki żłobkami i przedszkolami. Nie zbije argumentu ośmiogodzinnym dniem pracy i prawem do urlopu. Nie zaszachuje interlokutora darmowymi obiadami w szkolnej stołówce. Eustachy miał tego świadomość i dlatego raz w roku wybierał się na derbowy mecz.

Tymczasem obie drużyny przy nieprawdopodobnej wrzawie wybiegły na boisko. Widzew – jak na czołową ekipę Europy przystało – grał koncertowo. Wynik trzy do jednego był najmniejszym wymiarem kary dla lokalnego rywala. Smolarek, Wójcicki i Tłokiński pokonywali Bakę w równych odstępach czasowych. Na początku jednak był wolny dla Widzewa.

W okolicach pola karnego Mirosław Bulzacki sfaulował Smolarka. Widzewska część trybun zatrzęsała się z oburzenia. Do wykonania wolnego przymierzył się Surlit.

Przed trójką przyjaciół siedział jakiś jegomość, który teraz wyraźnie się ożywił.

- Pierwsza w mur! Pierwsza w mur! – krzyczał głośno.

- Panie, uspokój się pan. – Eugeniusz próbował go mitygować.

- Pierwsza w mur! – Jegomość nie tylko krzyczał, ale i wstał, zasłaniając widok.

- Siadaj pan. – Tym razem wstał młodszy Kostecki, by uciszyć delikwenta.

Na widok prawie dwumetrowego faceta o szerokich barach i bicepsach, które uwypuklała obcista koszulka, jegomość się uspokoił.

- Wszyscy wiedzą, że pierwsza w mur. - Tadeusz próbował załatwić sprawę polubownie.

Tymczasem Surlit już ustawił piłkę. Mur rywali był dziwnie skąpy, tworzyło go raptem trzech piłkarzy w białych koszulkach. Czwarty niby w tym murze stał, ale jednak w bezpiecznej, metrowej odległości. Widzewiak wziął krótki rozbieg i kopnął. Głuchy łoskot, który rozległ się, gdy piłka uderzyła w korpus piłkarza ŁKS, było słyhać nawet w oknach okolicznych bloków, z których ludzie oglądali mecz. Trafiony piłką Bulzacki padł jak rażony pociskiem. Z trybun usłyszał głosy moralnego wsparcia.

- Ty chuju jebany!

- Twoja stara daje dupy pod Centralem!

- Wstawaj, to nie plaża, kutasie!

Oprócz indywidualnych gestów ludzkiej życzliwości bohater z Wembley usłyszał też formę bardziej zorganizowaną. Kilkanaście tysięcy ludzi zaśpiewało okolicznościową piosnkę:

- Wstawaj, wstawaj, chuju, nie udawaj!

Tymczasem Bulzacki wcale nie palił się do wstawania. Wił się z bólu na murawie. Raz po raz słysząc pokrzepiające go okrzyki. Dodające wsparcia zawołania. Ta iscie prasłowiańska życzliwość okazywana była w sposób dość specyficzny. Od alfonsów był wyzywany ojciec piłkarza. Matka, rzecz jasna, od kurwy, dodajmy, żydowskiej. Sam uszkodzony był nazywany Żydem, bękartem albo - swojsko - cwelem. Jak widać, tysiąc lat krzewienia chrześcijańskiej miłości bliźniego nie poszło na marne. Ludzkie odruchy, których przejawy były widoczne na stadionie, były tym wartościowsze, że płynęły

ze szczerego serca - najgłębszych zakamarków człowieczej duszy. Nie miały posmaku agitacji politycznej czy religijnej. Nie były spowodowane chęcią zarobku. Ot, jak to mawiano ongiś: co w sercu, to na języku.

Bulzacki wstał dopiero wtedy, gdy do wjazdu na boisko szycowała się karetka pogotowia. Jego podniesienie się z ziemi kibice skwitowali pełną optymizmu drugą zwrotką piosnki:

- Wstałeś, wstałeś, chuju, udawałeś!

Osobliwie największym wygranym całego incydentu był jegomość siedzący przed Kosteckimi i Eustachym.

- Se kurwa żydowska przez dwa dni nie porucha - skwitował boleść obrońcy ŁKS-u.

Dla jegomościa mecz już był wygrany. Końcowy wynik był sprawą absolutnie drugorzędną. On już był moralnym zwycięzcą.

Z wolnymi Surlita mieli problemy nie tylko rywale Widzewa. Pewnego razu podczas treningu piłka odbiła się od poprzeczki i uderzyła Młynarczyka w głowę. Reprezentacyjny bramkarz stracił przytomność. Do miana legendy klubowej urosły opowieści, gdy Surlit gołymi rękami wyciągał korki z butów Smolarka. Nielubianym przez siebie kolegom pomocnik Widzewa bardzo długo i serdecznie ścisnął rękę na powitanie. Nie wiadomo, kto wpadł na pomysł, by pierwsza piłka bita z wolnego szła w mur przeciwników. Grunt, że pomysł się sprawdzał. Trafiony piłką przeciwnik do końca meczu miał problem ze złapaniem oddechu i ze sprawnym poruszaniem się na boisku. Przed meczami u siebie Surlit spośród piłek typu P-5 wybierał najłżejszą. I nią właśnie rozgrywany był mecz.

Po pierwszej bramce strzelonej przez „Sołtysa” kibice ŁKS-u postanowili bardziej wesprzeć drużynę.

Literka Ł!

Literka K!

Literka S! Jak ŁKS!

La, la, la, la, la, la, la, la, ŁKS!

Widzewiacy długo nie czekali z ripostą. W rytm szlagieru Perfectu kibice zawodzili:

Śpiewam wam, ja wiem,

Widzew mistrzem dla mnie jest!

Jeszcze raz, śpiewam wam, Widzew mistrzem jest.

Tam przyjaciół kilku mam od lat,

z nimi zawsze jeżdżę, z nimi chlam.

Jeszcze raz śpiewam wam,

Widzew mistrzem jest.

Po tych pełnych subtelnej poezji wzruszeniach na chwilę wrócili do prozy.

- Sędzia chuj - zaakcentowali wątpliwości co do kompetencji arbitra Widzewiacy.

- Sędzia, łobuzie, wsadzimy ci chuja w buzię! - Ełkaesiacy też mieli swoje żale do prowadzącego spotkanie.

Doping fanów ŁKS-u przyniósł oczekiwany rezultat. Gajda strzelił na jeden - jeden. Huk radości z sektoru ŁKS-u zmieszał się z erupcją wściekłości, która szła od strony entuzjastów Widzewa. Nad płytą boiska zawisła gęsta chmura hałasu wymieszanego z papierosowym dymem i oparami alkoholu.

Widzew ruszył do ataku niesiony pieśnią zwycięstwa.

Glory, glory alleluja!

Widzew wygra, nie ma chuja!

Tuż przed przerwą Wójcicki strzelił kolejnego gola dla Widzewa. W przerwie tysiące kibiców poszło odwiedzić przybytek, którego chyba nigdy nie wizytowali przedstawiciele sanepidu. Kostecki się w duchu modlił, by wiatr przestał wiać od strony ustępów. Po chwili po raz kolejny przekonał się, że Boga nie ma. Fetoru uryny – tej starej, zasklepionej na ścianach, wymieszanej z tą nową, świeżo zbryzgującą cegły i sypiące się pisuary – nie był w stanie przykryć nawet dym ekstramocnych. Kostecki sięgnął po prezent od majora Błochina.

Gdy porucznik ratował się wódką przed odruchem wymiotnym, Eustachy wrócił do tematu sprzed trzech kwadransów.

- A jak Lutek na to wszystko reaguje?

- Nigdy o tym nie mówi – odparł Eugeniusz.

- Jest prezesem Widzewa i nie komentuje tej antysemitkiej hucpy? Nie przeszkadza mu, że słowo Żyd jest używane jako inwektywa?

- On nigdy o tym nie mówi – powtórzył Eugeniusz. - Jeżeli chcesz pogadać z nim o tym, jak przeżył wojnę, to lepiej wykreśl z notesu jego numer telefonu.

- I nie komentuje tego całego antyżydowskiego... chuligaństwa?

- Nie.

- Ale przecież znacie się dobrze. Nawet bardzo. U towarzyski Tatarkówny nie raz coś wespół załatwialiście.

- Ale ja załatwiałem dla siebie, dla Tadka czy dla ciebie, ty endecki capie, a on zawsze załatwiał dla Widzewa.

- Dziwny człowiek. Ty pepeesowski łapserdaku.

Eustachy miał problem z odpowiedzią na endeckiego capa, bo nie używał żadnych słów, które przystoją raczej chamom i fornalom. Za najcięższe przekleństwa uznawał „do diabła” i „u licha”. Dlatego musiała minąć chwila, nim znalazł w głowie słowo „łapserdak”.

- Naprawdę dziwne to wszystko. Aż dziw bierze, że nie chciał wyjechać po marcu. Z jego głową do interesów. Z taką wyobraźnią i fantazją mógłby na Zachodzie zrobić karierę. Prawdziwą forszę mógłby zarabiać. Prawdziwym klubem zarządzać. Myślisz, że nie poradziłby sobie w Barcelonie? Jak z takiego, za przeproszeniem, Widzewa zrobił potęgę w warunkach realnego socjalizmu, to na Zachodzie każdy klub otwierałby przed nim drzwi. Powiadam: każdy. Z Realem Madryt i Bayernem Monachium na czele. Przecież tu, w tym żalonym kraju, byle partyjny kacyk może go strącić. Może nie od razu, ale za kilka lat... Ta kasa za Bońka aż kusi. A przecież jeszcze wyjechał Żmuda do Werony. Za chwilę wyjadą Rozborski, Tłokiński, Surlit, Grębosz. Za parę lat świat upomni się o Smolarka i Młynarczyka. Tu za bardzo pieniędzmi pachnie. Nawet jeżeli COS i GKKF zabierają Lutkowi osiemdziesiąt procent zarobku, to i tak zostaje z tego przyzwoity pieniądz. Licząc po kursie rynkowym, a nie oficjalnym, bardzo przyzwoity. Jak na warunki tego państwa: po prostu ogromny. Mówię ci, Gienek, za kilka lat Sobolewskiego załatwią. Byle partyjny

cwaniak go wykiwa. A jak jego zabraknie, to będzie koniec wielkiego Widzewa. Bo jak się Polak dorwie, to zaraz wszystko rozkradnie, zaprzepaści, połaszczy się na byle co. Dziwni są ci Żydzi. Nigdy ich nie zrozumie. Tkwią w tym państwie z uporem maniaka. Pracują dla niego. Im bardziej ich nie chcemy, tym bardziej się starają, byśmy zmienili zdanie. A przecież jest tyle cudownych krajów. Piękniejszych, bogatszych, gdzie ludziom Żyd nie przeszkadza.

Tadeusz skonstatował, że Eustachy nie zmienił zdania i nigdy w kontekście PRL nie używa terminu Polska. „To państwo”, „W tym państwie”... Niezmienna była też jego niechęć do Żydów, aczkolwiek była to niechęć nasycona podziwem i specyficznym szacunkiem.

- Tak, Gienek, Widzew to on, Lutek, a nie ta swołocz wyjąca. - Eustachy skończył, bo na boisko wybiegli piłkarze.

W drugiej połowie Widzew grał jeszcze lepiej. Po rewelacyjnej akcji Świątka Tłokiński wbił kolejnego gola. Tymczasem na trybunach trwał festiwal pieśni kibicowskiej. Eustachy nie omieszkał podzielić się swoimi refleksjami z Kosteckimi.

- Poziom godny Kołobrzegu. Te jakże przemyślane teksty piosenek, w których pobrzmiwa nuta patosu. Te wyśpiewujące brednie usta na nieskalanych myślą twarzach. Tylko Mikulskiego brakuje, by pobudzał publikę do energiczniejszych wrzasków. Mówią, że Festiwal Piosenki Żołnierskiej to przeżytek, że to wyalienowana impreza. Wcale nie. Posłuchajcie. Te przaśne przyśpiewki to esencja kołobrzesckiej nuty. Tyle że pod strzechami.

Jakby w odpowiedzi na słowa starego endeka ze strony

kibiców „Ełksy” poszły dźwięki, które na pierwszy „rzut ucha” można było wziąć za miauczenie.

*Ole, ole, ole!
Biel, czerwień oraz biel,
te barwy mieniają się,
w tych barwach siła jest,
o jakiej wam nie śniło się!*

Zamiast zasłużonych braw, w stronę sektora ŁKS-u posypały się wyzwiska, które po chwili ułożyły się w popularny na Widzewie skrót myślowy: „ŁKS chujem jest”. Chcąc przeskoczyć wysoko postawioną poprzeczkę, kibice Widzewa wzniesli się na wyżyny swoich wokalnych możliwości. Z gardeł solidnie naoliwionych wiadomą substancją poszła skoczna nuta.

*Jakiś tłum przez miasto gna,
to dziś Widzew mecz swój gra,
w kasach już biletów brak,
cały stadion pęka w szwach.*

Przy maksimum dobrej woli można było z linii melodycznej wyłowić rytm *Żółtej łodzi podwodnej* The Beatles. Przy złej woli można było przedstawić występ kibiców Widzewa jako parodię Chóru Aleksandrowa.

Popisy wokalne widowni skłoniły Eustachego do kolejnych refleksji.

- Czy my jesteśmy jakimś narodem przeklętym pod względem muzycznym? Byłem w cerkwi pod Iwanowem. Pięknie śpiewali. Przed wojną te bestie banderowskie też

potrafiły cudnie nucić. Jak słońce nad Wołyniem zachodziło, a ta dzicz wracała z pól, to piękny śpiew niósł się aż do dworu. Byłem w Londynie i Glasgow – tam też mogą śpiewać. Nie w operze czy teatrze, ale tak po prostu. Nawet Niemcy na Oktoberfest potrafią się spiąć i ładnie pośpiewać te ich „hajli, hajlo”. A my? W katedrze zawodzą. U Jezuitów ryczą. U świętej Teresy wrzeszczą, u Świętego Krzyża jęczą. W Matki Boskiej Zwycięskiej piszczą. Serce krwawi. Ostatnio słyszałem, jak pewien młodzian pytał matkę o „tą” Kiepurę.

Kostecki się zaśmiał. Przypomniała mu się opowieść Piotrusia Gruchota, który kiedyś powiedział, że dostał na lekcji muzyki uwagę: „Uczeń śpiewa na lekcji muzyki”. Na muzyce nigdy nie zaśpiewali żadnej piosenki. Pani wyszła romansować z wuefistą i wtedy Piotruś z kolegami zaśpiewali: „My, kibice Łodzi, wódka nam nie szkodzi”.

Tymczasem mecz zbliżał się do końca. ŁKS-u nic nie mogło już uratować. Gdy do ostatniego gwizdka sędziego zostały minuty, kibice wstali i z powagą zaintonowali pieśń żałobną.

*Dnia trzeciego grudnia roku pamiętnego
zabiła nam Legia kibica łódzkiego.*

*Cała Łódź płakała, smutną piosnkę niesie,
nie ma już Mariusza w naszym ŁKS-ie,
Mariusza już nie ma, Legię zajebimy,
stadion podpalamy, kibiców wyrzniemy.
Cała Legia płonie, cała Legia gaśnie,
pamięć o Mariuszu nigdy nie zagaśnie!*

Kibole Widzewa w czasie rekwiem milczeli. Gdy pieśń dobiegła końca, wsparli rywali zza miedzy pojednawczą fraszką: „Legia to stara kurwa”. Przez stadion przetoczył się ryk frustracji, poczucia niższości i dojmującej biedy. Mecz był skończony. A dogrywki kibiców już w kuluarach zapowiadały ciężką noc dla milicyjnych patroli.

Rozdział 13

Był wieczór 3 kwietnia 1983. Siedzieli w lokalu o pięknej nazwie Czarny Kot. Knajpka ta dziwnym zbiegiem okoliczności przetrwała w niemal niezmienionym kształcie od przedwojnia. Od czasów II RP lokal był w rękach rodziny Lowczyńskich. Za sanacji, a przedtem za demokracji, ulica Lipowa - przy której wznosił się wyszynk - była, podobnie jak sąsiednie: Struga, Zielona i Żeromskiego, wizytówką miasta. Może nie miała takiej renomy jak Piotrkowska, ale prezentowała poziom godny drugiego co do liczebności miasta w Polsce. W pięknych kamienicach, których fronty były majstersztykami sztuki kamieniarskiej, mieszkali lekarze, prawnicy, odpowiedniej rangi urzędnicy i nauczyciele najlepszych szkół w mieście. Dominowali Żydzi, których podczas okupacji, przy wielkiej uciechu niemieckich sąsiadów, hitlerowcy wymordowali w Chełmie nad Nerem. Nielicznych Polaków mieszkających w tym rejonie miasta wysiedlono do Generalnego Gubernatorstwa lub zamordowano w lasach wokół Lućmierza. Nielicznym udało się zostać w Łodzi. Taki był los Lowczyńskich, którym Niemcy zabrali knajpkę, ale nie wygnali z Litzmannstadt. Tym sposobem rodzina Lowczyńskich, doznawszy licznych cierpień i upokorzeń, przetrwała w rodzinnym mieście, aczkolwiek w nieco innej dzielnicy. Mieszkając na tak zwanej Zelinówce, przeżywała grozę okupacyjnych dni, handlując bimbrem. Mieli piekielne szczęście, gdy w 1942

Niemcy zrobili obławę na piłkarzy drużyny Cytadela, która rozgrywała mecz konspiracyjnej ligi z ekipą Wichra. Niemieccy übermenschowie gonili nie tylko piłkarzy, ale i kibiców. Do mieszkania Lowczyńskich wpadł jak bomba pięcioletni Włodek Gruchot, a za nim żandarm. Niemiec był tak przejęty koniecznością wytargania za ucho małego kibica, że nie zauważył, iż w mieszkaniu produkuje się bimber. Zważywszy, że działo się to podczas święta Matki Boskiej Zielnej, Lowczyńscy w podzięce ofiarowali swoją córkę - Halę - Matce Chrystusowej. Od tej pory mała Hala każdego dnia chodziła w niebieskiej sukience. A rodzina hojnie obdarzała łódzkie kościoły. Pobyt na Zelinówce przyniósł rodzinie Lowczyńskich także drugiego patrona. Zupełnie nieświętego. Gdy w styczniu 1945 roku lotnictwo radzieckie bombardowało niemieckie obiekty wojskowe położone nieopodal kamienic na ulicy 6 Sierpnia, ani jedna bomba nie spadła na żadną z famuł. Ciec, Antoś Gotkiewicz, okazał się zadeklarowanym bojowcem Armii Ludowej. Jego meldunek: „Nie bombardujta tu, bo tu same robotniki są” był przepustką do stopnia porucznika UB. Mieszkańcom zaś pozwolił dotrzeć do końca wojny.

Ciec Antoś - już teraz obywatel porucznik - zapewniał porządek w kamienicy także po awansie. Z tej opieki skwapliwie skorzystali Lowczyńscy. Po pierwsze: odzyskali dawne mieszkanie na Lipowej; po drugie: także knajpkę. Dzięki protekcji Antosia mieli możliwość wręczania odpowiednim urzędnikom łapówek, i tym sposobem przetrwali szykany komunistów oraz bitwę o handel. Po październikowym przełomie mieli już łatwiej. Władza zezwoliła na będące w prywatnych rękach usługi

gastronomiczne o ograniczonym zasięgu. Były lata, że Lowczyńscy zarabiali godnie. Pana Bronisława nęciła myśl rozwinięcia skrzydeł i budowy dużego lokalu w centrum miasta, ale zawsze wygrywała obawa. Pan Bronek hołdował zasadzie: ciszej jedziesz, dalej zajedziesz. Toteż lokal zachował charakter małej knajpki, a Lowczyńscy lokowali oszczędności w złoto. Rzecz jasna, zachowali okupacyjne kontakty ze światem bimbrownictwa i dzięki temu biznes kręcił się niezależnie od stanu gospodarki PRL.

Tym sposobem Czarny Kot stał się miniskansenem w nowych, socjalistycznych czasach centralnej Łodzi. Po wojnie całkowicie zmieniły się społeczne uwarunkowania ulicy Lipowej i jej sąsiadek. Podobnie zresztą było w całym mieście. Żydów wymordowali Niemcy, Niemców wygonili komuniści. Nieliczne polskie elity wykosili hitlerowcy jeszcze jesienią 1939 roku. Łódź stała się niemal nowym miastem. Do robotniczego grodu zaczęły napływać masy z okolicznych wsi. Na Lipowej, zamiast prawników czy lekarzy, zaczęli pomieszkiwać dotychczasowi mieszkańcy Chąsna tudzież Białej. Kamienice, w których przyszło im żyć, stały się własnością miasta rządzonego przez komunistów. Ludzie spod znaku PPR, a potem PZPR wychodzili z założenia, że nie warto remontować dawnej kapitalistycznej własności. Piękne ongiś budynki zaczęły podupadać. Po czterdziestu latach władzy ludowej wyglądały jak slumsy. Miasto podzieliło się na zaniedbane centrum i otaczające je nowoczesne betonowe pustynie blokowisk. Próba sensownego łączenia historii z nowoczesnością miała miejsce chyba tylko w rejonie trasy W-Z. Na Piotrkowskiej w otoczeniu kamienic wyrosło

innowacyjne osiedle nazywane Manhattanem.

Nowe władze Łodzi z uporem maniaka odcinały się od swoich korzeni. O Żydach nie mówiono prawie wcale, robiąc wyjątek dla Tuwima, a potem Rubinsteina. Zaczęto o nich mówić więcej w 1968, podczas antyżydowskiej nagonki. Oczywiście mówiono źle. Prym w gadzinowej propagandzie wiodł szmatławiec satyryczny „Karuzela”. Z miasta wyjechało ponad tysiąc dwustu Polaków żydowskiego pochodzenia. W znakomitej większości: lekarzy, naukowców i prawników. Dla miasta był to kolejny cios w jego społeczną strukturę. Polski Manchester doczekał się wyższych uczelni dopiero po wojnie. Niemal cała łódzka inteligencja nie przeżyła wojny i wcielenia do Reichu. Po wojnie narodziły się nowe intelektualne elity. Ci, którzy korzystali z możliwości kształcenia i dysponowali ponadprzeciętnym ilorazem inteligencji, mieli jedno marzenie: wyjechać z Łodzi. W PRL-u powtarzała się sytuacja z II RP. Łódzkie zakłady wrzucały do wspólnego państwowego kotła bardzo dużo. Z kursem w drugą stronę było już gorzej. Do Łodzi spływały ochłapy. Zakłady przemysłowe nie były modernizowane od czasów carskich. Warunki pracy w wielu z nich były koszmarnie. Potworny hałas i zapylenie podkopywało zdrowie łodzian. Łódzcy mężczyźni należeli do najkrócej żyjących w skali kraju. Regres demograficzny tutejszych rodzin rozpoczął się – w przeciwieństwie do reszty kraju – jeszcze w latach osiemdziesiątych. Sytuacja Łodzi zaczęła się nieco poprawiać za rządów prezydenta Niewiadomskiego, jednak nie powstrzymało to degrengolady miasta. Fatalne warunki życia, kiepskie zaopatrzenie, trudy dnia codziennego rodziły

frustrację i bierność. Frustracja rodziła agresję i wandalizm. Bierność była matką niewiary we własne siły. Prawie milionowa aglomeracja łódzka dosyć pasywnie podeszła do karnawału Solidarności. Jakież strajki były. Podobnie jak manifestacje. Bardzo dużą aktywność wykazali studenci. Łódzki NZS był jednym z najsilniejszych w kraju. Jednak na tle Warszawy, Gdańska czy Wrocławia opozycja była rachityczna. I to nie dlatego, że Palka był mniej waleczny niż Frasyński.

Nieznosnej szarości miasta barw dodawały sukcesy Widzewa. Było to jakimś ponurym żartem, że w mieście, gdzie słowo Żyd było inwektywą, Lutek Rozenbaum zbudował jeden z najlepszych klubów w dziejach polskiej piłki nożnej. Stworzył go od podstaw. Kiedy stawał się prezesem Widzewa, na boisku zamiast kosiarki bywały owce. Drużyna piłkarska grała w niemal najniższej z możliwych lig. Po kilkunastu latach pracy Widzew znalazł się w czwórce najlepszych ekip piłkarskich Europy. Sobolewski zbudował wielki klub bez wielkich pieniędzy z górnictwa, bez których nie funkcjonowałyby kluby na Śląsku. Nie miał poparcia armii, bez którego bezradna byłaby Legia i wrocławski Śląsk. Budował klub metodycznie, wykorzystując przede wszystkim siłę swojego intelektualnego kapitału. Dobierał sobie współpracowników, których słuchał. Wyciągał wnioski. Dostrzegał możliwości tam, gdzie inni ich nie widzieli. Był wytrawnym psychologiem. Potrafił budować zespół z ludzi cokolwiek skomplikowanych, zadziornych i mających różnorakie problemy życiowe. Pucharowe przewagi Widzewa stawały się dla łodzian okazją do oddechu od nieznosnej

rzeczywistości. Dawały chwilowe poczucie dumy z miasta, w którym żyli. Jednoczyły zatowizowaną masę.

W Czarnym Kocie na gości, a szczególnie na stałych klientów, czekały - prócz zacnych trunków - wyborne zakąski. Wiele ze specjałów lokalu zachowało jakość rodem z czasów wyzysku mas pracujących przez obcych i rodzimych kapitalistów. Nic przeto dziwnego, że we wtorkowy wieczór trzech przyjaciół siedziało w wydzielonym pokoju i piło.

- To się musiało tak skończyć, Stefan. - Sierżant Jurga nie bardzo potrafił pocieszyć przyjaciela.

Refleksja Jurgi była tak oczywista, że nikomu nie chciało się jej specjalnie komentować. Miał tego świadomość także sam Pająk, i był to wystarczający powód, by sięgnąć po flaszkę.

- Będziemy cię odwiedzać. Lato się zbliża, to ładne okolice są. - Tadeusz próbował pocieszać kamrata.

- Może na interwencje do pegeeru w Bogdanie pozwolą ci rowerem jeździć. Będiesz miał wycieczkę. - Jurga próbował być poważny, ale wizja Pajaka jadącego na interwencję rowerem była zbyt zabawna.

- A i bimberk z Brzeziny pewnie niczego sobie - dorzucił Tadek.

Pająk nie odpowiedział, bo na stole pojawiły się zakąski. Kostecki sięgnął po pasztetową. Delikatna masa powoli rozplýwała się w ustach. Przyprawy subtelnie głaskały podniebienie. Doznaniem podzielił się z przyjaciółmi.

- Ja nie wiem, dlaczego to sklepowe ścierwo też nazywają pasztetową.

- Spróbuj kiełbasy - rzekł Jurga.

Pachnąca kiełbasa z chrzanem smakowała równie wybornie. Wprowadzony w dobry nastrój przednim wiktem Tadeusz wrócił do sedna rozmowy.

- Spójrz na to z innej strony. Na wsi łatwiej o wyzerkę. Załatwisz dobry salceson, to my z miasta jakiego mydła przywieziemy. My się najemy, ty umyjesz. Czasem warto. Zobacz, jakie korzyści. A ten bimber? Sam widzisz, że w tej Łodzi to już się nie da żyć.

Jurga próbował z innej beczki.

- Poznasz jaką pannę. Ustatkujesz się. Tam na prowincji łatwiej o dziewicę. Pierdoliłeś kiedyś dziewicę?

Pająk pokręcił głową, że nie.

- No widzisz, same kurwy miałeś. To teraz czas to zmienić. Dzieci sobie zrobisz.

Pająk nic nie powiedział, tylko podlał kolegom. Wypili. Lekko piekący trunek subtelnie rozgrzał wnętrzości.

- Kapitalna ta wódka. - Tadeusz był pod wrażeniem okowity.

- A wiadomo, kto przychodzi na moje miejsce? - wreszcie odezwał się podporucznik.

Jak zawsze najlepiej poinformowany był Jurga.

- Jakiś frajer z Turku, to znaczy z Warszawy, ale pochodzi z Turku. Podobno kawał chuja.

- To nie ten totumfacki Banasika?

- Nie. Podobno samemu Moczkowskiemu go narzucili z góry.

- Ktoś musiał polecieć. A że ani Moczkowski, ani Banasik za tobą nie przepadali, to padło na ciebie - Jurga tłumaczył logicznie.

- Trzeba było pisać te głupoty dalej. Miałybyś teraz spokój i podwójną pensję - wtrącił Kostecki.

- Chuja tam. Nie można się kurwić całe życie. Nie żałuję. Wypijmy.

Wypili. Pająk rzucił hasło, że chce ostatni raz pójść na dziwki do Hotelu Centrum. Poszli.

Rozdział 14

Wizyta w Hotelu Centrum uchroniła ich przed nadmiernym spożyciem wódki. Rano Kostecki z Jurgą zameldowali się na Lutomierskiej we względnie dobrej formie. Pająk w tym czasie szykował się do przeprowadzki. Nie miał za dużo przedmiotów, toteż dosyć szybko mógł znaleźć się w Brzezinach.

- Przedstawiam wam nowego pracownika zespołu - Zdzisław Banasik dokonał entrée.

- Porucznik Sławoj Złamaś. - Nowy pracownik wyprężył się służyć.

- Porucznik Złamaś jest zapoznany z materiałem zebrany podczas śledztwa.

Banasik zaprosił wszystkich do stołu i rozpoczął zebranie.

- Po świętach wiosennych rozpoczynamy wielką akcję o kryptonimie „Posesja”. Milicja będzie kontrolować całe kwartały miasta. Tysiące mieszkań zostaną odwiedzone przez funkcjonariuszy. Akcja ma charakter bardziej porządkowy i prewencyjny niż kryminalny, ale jest dla nas okazją. Wszyscy dzielnicowi i dowódcy patroli otrzymali dokładny opis srebrnej zastawy. W miarę możliwości Czołczanieccy opisali obraz z pijanymi zakonnikami. Może akurat podczas rutynowych kontroli uda się na coś wpaść. Musimy wykorzystać każdą szansę. Oczywiście nie zasypiamy gruszek w popiele. Od przyszłego tygodnia wzywamy na przesłuchanie znajomych i dalszą rodzinę

Czołczanieckich. Krok po kroku. Metodycznie. Złapiemy przestępców. Zakładam, że jutrzejszy mecz dostarczy nam tylko sportowych emocji.

Mecz rzeczywiście budził ogromne emocje. Od kilkunastu lat żadna polska drużyna nie grała na takim poziomie rozgrywek w europejskich pucharach. Dodatkowego smaczku dodawał fakt, że przeciwnikiem Widzewiaków miał być ich niedawny kolega. Boniek nie ukrywał, że mecz będzie dla niego dużym przeżyciem. Zainteresowanie spotkaniem było niesłychane. Na rewanżowy mecz w Łodzi bilety rozeszły się w ciągu kilku godzin. Kibice przed kasami ustawiali się w nocy. Nie odstraszały ceny rzędu pięciuset złotych. Mecz w Turynie przed telewizorami miało obejrzeć ponad miliard widzów. Transmitować spotkanie miały telewizje z Algierii i Tunezji. Żadna klubowa drużyna polska nie zgromadziła do tej pory takiej widowni. Żadnej polskiej drużynie klubowej nie kibicował papież. Odkąd ponad miesiąc wcześniej pobłogosławił Widzew, został uznany za duchowego patrona drużyny. Jego słowa skierowane do Wragi - „Taki mały, a już gra w piłkę” - stały się przedmiotem żartów i kpin do momentu, gdy namaszczona osobiście przez Jana Pawła II głowa Wragi wbiła Liverpoolowi gola. Karol Wojtyła publicznie ogłosił, że będzie oglądać mecz Juventusu z Widzewem. Skoro z okazji meczu zawirowanie sięgnęło Watykanu, trudno się dziwić mieszkańcom Łodzi.

Kostecki próbował załapać się na orbisowską wycieczkę na mecz, ale bezskutecznie. Musiał zadowolić się transmisją w TV.

Siedzieli we trójkę w mieszkaniu Eustachego.

Na okoliczność meczu stary endek wyfasował butelkę autentycznego koniaku.

- Za dobry na twoje proletariackie gardło, Gienek. - Nie mógł powstrzymać się od złośliwości w swoim stylu.

Eugeniusz nie cierpiał tego zdrobnienia. Od prząsnego Gienka wolał dostojnego Eugeniusza. Ale w środowy wieczór był tak przejęty, że nawet nie dostrzegł złośliwostek przyjaciela.

Zanim rozpoczęła się transmisja, w magazynie sportowym telewizyjnego dziennika poszła przebitka ze Stadio Comunale.

- Mój Boże, miliard widzów. - Eustachy był pod wrażeniem.

Westchnął podrapał się po łysiejącej głowie i kontynuował:

- Miliard widzów. Juventus reklamuje firmę AGD. Jeżeli z tego miliarda pralkę lub lodówkę kupi tylko co tysięczny widz, to i tak będą z tego krociowe zyski. Część owych zysków firma Ariston przekaze klubowi. Każda firma chciałaby być dostrzeżona przez miliard potencjalnych klientów. Jak się Rossi z Cabrinim zestarzeje, klub ściągnie najlepszych młodych Włochów. Jak Platini z Bońkiem stracą formę, to kupi się młodego Scifo czy Maradone. A Widzew? Nikogo nie reklamuje. Bo niby po co? A kto bogatemu zabroni? A przecież choćby tę musztardę mógłby reklamować, co to jest teraz w sklepach.

- Tuby jej zaraz zabrakło. - Kostecki logicznie odparował zarzuty Eustachego.

- Ale za zarobiony grosz można by było kupić kiełbasy. - Endek nie dał się zbić z tropu.

- Ale byś narzekał, że kiełbasa jest, a musztardy nie ma. -
Eugeniusz wsparł syna.

- Czyli Widzew dzisiaj będzie oglądać miliard widzów, ale tak naprawdę to tak, jakby nikt nie oglądał. Powiedz mi, Gienek, jaki sens ma ten niby-pierwszy etap reformy gospodarki?

- Masz musztardę w sklepie.

Dalszą rozmowę o ekonomii przerwał sędzia Ponnet, który rozpoczął mecz. Widzew był jakby onieśmielony. Schowany za podwójną gardą chciał zrobić rozpoznanie walką. No i zrobił. Już w szóstej minucie Marco Tardelli wbił gola Młynarczykowi. Widzew walczył, na bramkę Zoffa sypały się strzały, ale rzadko który zmuszał nobliwego golkipera do wysiłku. Z przodu brakowało kontuzjowanego Filipczaka, który może nigdy nie był mistrzem techniki, za to imponował walecznością. Gdy swego czasu przybył do Widzewa, trzeba było ograniczyć liczbę treningów na głównej płycie. Filipczak z taką zaciętością walczył o miejsce w składzie, że murawa po jego wślizgach nadawała się tylko do reanimacji. Teraz wyraźnie go brakowało. Gdy u schyłku meczu weteran Bettega dobił Widzew, szanse na awans stopniały jak śnieg w maju.

- Cholera. - Eustachy był zde gustowany.

Rozdział 15

Andrzej Pudlarz w najśmielszych snach nie przypuszczał, że będzie tak intensywnie fotografowany. Jego zwłoki były obiektem pełnego skupienia zainteresowania ze strony milicyjnego fotografa. Szczególną uwagę przykuwał jego wzrok. W oczach denata zapisany był cień katuszy, których doznał przed śmiercią. W martwych źrenicach odbijało się cierpienie pomieszane z zaciętością czy wręcz nienawiścią. Obok niego leżały zwłoki jego żony Danuty. Jej oczy – w przeciwieństwie do oczu męża – nie budziły aż takiego zainteresowania. Pani Danuta zastygła z twarzą skierowaną do podłogi.

Kostecki czuł niewymowną chęć ulżenia sobie poprzez wymioty. Nie był specjalnie wrażliwy. Niejeden raz widział miejsce zbrodni po użyciu siekiery. Był przyzwyczajony. Ale teraz siekiery nie było. Była wiertarka. Na wiertle zachowały się reszki tkanek. Ich odrobinami usiane były też ściany pokoju, w którym rozpętało się piekło. Jednak wiertarką nie dokonano zabójstwa. Małżeństwo Pudlarzy miało porozwierane kolana. Z goleni buchały jamy, w których zastygła krew. Na szyjach wyraźne były pamiątki po poderżnięciu gardła. Podłoga pochlapana była gęstą, zastygłą już posoką.

Doktor Andrzejewski nie miał wątpliwości co do przyczyny zgonu. Była ona aż nadto widoczna. Całe mieszkanie Pudlarzy zostało wywrócone do góry nogami.

Sprawcy - lub sprawca - czegoś szukali lub chcieli, by myślano, że czegoś szukali.

Blady jak ściana Jurga krótko zraportował:

- Małżeństwo Pudlarzy. Andrzej: rocznik trzydziesty piąty. Danuta: rok młodsza. Nienotowani. W mieszkaniu na Kasprzaka mieszkali od wprowadzenia, czyli roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego. Sąsiedzi nigdy się na nich nie skarżyli. Brak związku z opozycją. No, być może jakieś śladowe związki. Wierzący i praktykujący. Tyle na ten moment.

- Oczywiście nikt niczego nie słyszał? - Kostecki znał odpowiedź. Zapytał pro forma.

- Wszyscy oglądali mecz. Najbliższy sąsiad denatów, który ewentualnie mógł coś słyszeć, był w Turynie.

- Kto zawiadomił MO?

- Roznosiciel mleka. Niechcący nacisnął klamkę. Zobaczył rozgardiasz w przedpokoju. Zawołał. Gdy nie było odzewu, wszedł do środka. Jest w szoku, to jakiś student jest. Dorabia do stypendium.

- Jakaś rodzina? - Kostecki dopytywał Jurgę.

- Syn. Studiuje w Warszawie. Sąsiedzi twierdzą, że historię sztuki.

Do rozmowy włączył się doktor Andrzejewski.

- Śmierć nastąpiła między godziną dwudziestą a dwudziestą drugą trzydzieści.

Nie musiał mówić. Porucznik to doskonale wiedział.

- Musimy koniecznie powiadomić syna i dalszą rodzinę. Rozgardiasz sugeruje motyw rabunkowy. Tylko po co ta wiertarka? - Kostecki czuł, że to śledztwo będzie dla

niego prawdziwym wyzwaniem.

Następnego dnia zebrali się u Banasika w gabinecie. Sierżant przedstawiał uzupełnione dossier ofiar.

- Andrzej Pudlarz, inżynier zatrudniony w zakładach Anilana, konserwował maszyny. Jego żona Danuta, chemik. W zakładach Eskimo zajmowała się przygotowywaniem farb. Oboje mieli w pracy dobrą opinię. Oboje byli członkami zdelegalizowanej Solidarności. Po stanie wojennym nie podjęli działań sprzecznych z prawem. Kontakty z opozycją iluzoryczne. Andrzeja znaleziono na zdjęciach sprzed kościoła Jezuitów raptem trzykrotnie. Nie znał Czołczanieckich ani nikogo z najbliższego grona współpracowników Miecznikowskiego.

- Słowem: nic ciekawego. - Banasik był rozczarowany.

- Jeżeli chodzi o denatów, to rzeczywiście szczyt przeciętności, ale jest sprawa z ich synem. Wczoraj został bardzo ciężko pobity w Warszawie. Walczy o życie w szpitalu.

- Złapano napastników? - Złamaś się zaciekawił.

- Nieznani sprawcy.

- Ciekawych spraw jest więcej. Na wiertarce znaleziono odciski palców. Wprawdzie nie mamy ich w rejestrach, ale trop jest. To najważniejsze - wtrącił się Tadeusz.

- No to mamy naprawdę dużo. W przeciwieństwie do zabójstwa Czołczanieckiej. Narzędzie tortur z odciskami palców. Jest poważny punkt wyjścia - powiedział z ulgą Banasik.

- Pytanie zasadnicze. - Kostecki potarł ręką czoło. - Po co zabójca zostawił narzędzie tortur z odciskami palców?

- I po co w ogóle torturował? - zapytał Jurga.

- Zostawił wiertarkę, a zabrał nóż - dorzucił Złamaś.

Banasik zaczerpnął głęboko powietrza.

- Sprawa cokolwiek skomplikowana. Pytanie pierwsze - motyw. Rabunkowy? W domu był ogromny rozgardiasz. Jakby zabójca czegoś szukał. Dolarów? Złota? Musimy ten wątek sprawdzić. Czy ofiary były zamożne? I czy tortury miały związek z chęcią znalezienia pieniędzy w jakiejś skrytce? Druga sprawa. Czy wczorajsze zabójstwo ma jakiś związek ze śmiercią Czołczanieckiej i Gryglaszewskiej?

- Nie znaleźliśmy związku między poprzednimi zabójstwami. Teraz też nic nie wskazuje na powiązanie. Czołczanieccy nie znali Gryglaszewskiej. Należy sprawdzić, czy znali ją zamordowani - powiedział Kostecki.

Odezwał się Złamaś:

- Po zapoznaniu się z materiałami ze śledztwa nie widzę żadnego związku. Łódź z miastami przyległymi liczy ponad milion mieszkańców. Prawdopodobieństwo, że w głowach różnej maści przestępców pojawił się pomysł, by wykorzystać czas meczu do działań przestępczych, jest duże. Transmisje telewizyjne cieszą się ogromnym zainteresowaniem. Wszyscy są skupieni na zawodach sportowych. Jeżeli dodamy, że mecze w Łodzi wymagają szczególnej uwagi milicji, to mamy jasny obraz. Po prostu czas meczu to dla bandytów idealna okazja.

- Mam nadzieję, że Widzew nie zagra w finale. - Żart Banasika nie rozbawił nikogo.

Wtorkowa odprawa przyniosła kolejne informacje o ofiarach. Fakt, że na wiertarce znaleziono odciski palców, stanowił ogromną motywację do działania. Kostecki czuł, że wracają normalne śledztwa, w których motywem jest

zemsta, spór o to, kto kogo pierwszy nazwał chujem i tak dalej. Porzucenie jednego z narzędzi zbrodni wskazywało na zabójstwo w afekcie. A takie zabójstwa dawały się z reguły całkiem szybko wyjaśnić.

Dzień był słoneczny. Wiosna atakowała. Kapitan Banasik z lubością myślał o sobotniej wycieczce do lasu w Łagiewnikach. Od kiedy nabył książeczkę Wojciecha Lipońskiego zatytułowaną Jak biegać po zdrowie?, stał się zagorzałym admiratorem joggingu. Co prawda każda próba biegania zimą kończyła się katarem, ale w porze wiosennej z radością wdychał tlen w Lesie Łagiewnickim lub w którymś z łódzkich parków. Z Wojciechem Lipońskim łączyła Banasika niechęć do tak zwanego wyczynowego sportu. Z abominacją myślał o gigantycznych pieniądzach, reklamach, kontraktach i rekordach. Piłki nożnej nie cierpiał głównie ze względu na jej komercyjny charakter. Nie mógł się pogodzić z faktycznym zawodowstwem, które istniało w Polsce przykryte listkiem figowym pozornego amatorstwa. Z obrzydzeniem podchodził do handlowania meczami, do szewskiej pasji doprowadzała go wiedza, że rzekomi amatorzy pobierali pensję z kilku zakładów pracy. Fakt, że zawodowstwo w Polsce jest utrzymywane z pracy robotników, uważał za skandal. Jego gorycz łagodził fakt, że sekcje piłkarskie często utrzymywały drużyny juniorów, młodzików i trampkarzy. Czyli dawały szansę na uprawianie sportu szerokim kręgom młodzieży. W blasku piłki grały się też inne sekcje, gdzie naprawdę można było spotkać amatorów.

Po wejściu do gabinetu otworzył okno. Ześlanie Pajaka do Brzezin zaowocowało rozpoczęciem zebrania

o wyznaczonej porze. Pełen energii kapitan zaczął spotkanie zespołu.

- Jak stan zdrowia pobitego syna denatów?

- Jest w stanie śpiączki - odpowiedział porucznik Złamaś.

- Został pobity na koncercie zespołu Kult. Lider zespołu, Kazimierz Staszewski, syn Stanisława, to popularny wodzirej w subkulturze tak zwanych punków. Podważanie norm społecznych i negacja zasad socjalistycznego państwa jest treścią tej, pozał się, muzyki. Powyższe kręgi rekrutują się głównie z rozwydrzonej młodzieży zapatrzonej w pożałowania godne wzorce z Zachodu. Fakt, że syn denatów został pobity przy okazji takiej imprezy, nie powinien nas dziwić.

- A co w sprawie tego studenta, co znalazł zwłoki?

O roznosicielu mleka informacje zebrał Jurga.

- Mariusz Sieńczewski. Typ wiecznego studenta. Facet dobiega trzydziestki, a nadal bawi się w studia. Mówię „bawi”, bo trudno to nazwać poważnym traktowaniem obowiązków. Politycznie niezaangażowany. Nienotowany. Żyje z dnia na dzień bez większego celu. Pracę roznosiciela mleka podjął, by zarobić pieniądze na bilet. Oczywiście chodzi o mecz Widzewa z Juventusem. Ogólnie spokojny. Nieskłonny do awantur. Właściwie - poza nieodpowiedzialnym trybem życia - normalny człowiek.

Banasik stracił humor. Starał się być młody duchem. Pukającą do drzwi sześćdziesiątkę przeganiał nader chwacko, jednak nie był w stanie zrozumieć współczesnej młodzieży. Dla niego w młodości nie było szansy na studia lub była ona iluzoryczna. Miał świadomość, że maturę i szlify oficera milicji zrobił dzięki władzy ludowej.

Oczywiście władza dała mu szansę, którą wykorzystał. Wykorzystał, bo ciężko pracował, by nadrobić brak kapitału kulturowego, który inni wynosili z domu. Świadomość tego braku ciążyła mu przez lata, ale jednocześnie dopingowała do wytężonej pracy nad sobą. Banasik bardzo dużo czytał. Miał na rozkładzie całą klasykę europejskiej literatury. To, co przeczytał, zawsze starał się poddać gruntownej analizie. Wieloma rzeczami się interesował. Możliwość bezpłatnej edukacji na wszystkich szczeblach uważał za największy sukces państwa. Był przekonany, że moralnym obowiązkiem każdego młodego Polaka i każdej młodej Polki jest rzetelna nauka. Celem nauki zaś jest znalezienie pracy, by móc spłacić dług wobec społeczeństwa i socjalistycznej ojczyzny. Postawę reprezentowaną przez obywatela Sieńczewskiego uważał za naganną. Natomiast organizowanie za państwowe pieniądze różnych podejrzanych koncertów, podczas których młodzi ludzie wykrzykują jakieś godzące w ustrój socjalistyczny hasła, odbierał jako ewidentną głupotę i zwyczajne marnotrawstwo.

Po ochłonięciu kapitan zwrócił się do Kosteckiego:

- A co udało się ustalić w sprawie majątności denatów?

- Nic nie wskazuje na to, by byli zamożni. Oboje mieli pochodzenie robotniczo-chłopskie. Chociaż nie wpływało to specjalnie na kręgosłup światopoglądowy. Oboje byli bardzo religijni. W młodości byli dosyć luźno związani z duszpasterstwem akademickim. Znali Miecznikowskiego, ale z tego, co ustaliłem, ich znajomość wygasła, gdy duchowny wyjechał do Kalisza. Po jego powrocie do Łodzi nie utrzymywali już kontaktów.

Nie otrzymali spadku. Nie posiadali dewizowego konta.

Żadne z nich nie było nigdy na Zachodzie. To znaczy Andrzej był w Finlandii, w Tampere. Ale to był wyjazd służbowy. Raptem trzy dni. Pobyt dotyczył planu instalacji sauny w Łodzi. Sprawy techniczne. W ramach współpracy między Łodzią a Tampere. Zresztą nie wiem, czy Finlandię można uznać za Zachód. Nie mają za granicą krewnych ani znajomych. Nic też nie wskazuje na to, by rodzina Pudlarzy była bardziej zamożna od rodziny Kowalskich czy Nowaków.

- Czyli motyw rabunkowy mało prawdopodobny.

- Raczej tak. Ale jest jeszcze jedna bardzo ciekawa sprawa. Otóż dwa tygodnie temu Pudlarze zgłosili włamanie. Mieli niewiele, toteż skala kradzieży była znikoma. Złodzieje ukradli dziesięć tysięcy złotych oraz pierścionek zaręczynowy denatki. Do tego zabrali jeszcze zegarek o nikłej wartości. Rodzi się pytanie, czy włamania dokonali drobni złodziejaskowie, czy rzeczywiście Pudlarze mieli coś cennego, o czym nie wiemy. Jeżeli drugie założenie jest prawdziwe, to być może ma to związek z zabójstwem.

Banasik potarł ręką łysinę. Intensywnie myślał.

- A jakaś zemsta? Romanse? Zdrady? Zawiedziona miłość?

- Ten wątek raczej nie wchodzi w rachubę. Koledzy z pracy nie wspominali, by małżonkowie byli konfliktogenni. Wręcz odwrotnie. Oboje uchodzili za stonowanych i koncyliarnych. Wspólnie spędzali czas wolny. Oboje byli zaangażowani w działalność PTTK Łódź-Polesie. Wyjeżdżali na rajdy i wycieczki. Nie ma podstaw, by sądzić, że któreś z nich było kiedykolwiek uwikłane w romans. Chyba że dawno temu. Tego wykluczyć nie możemy.

- Czyli o co mogło chodzić? - Banasik zasepił się.

Do rozmowy włączył się Złamaś:

- Wydaje mi się, że w powyższej sytuacji należy bardziej skupić się nie na ofierze, lecz na sprawcy. Rzadko się zdarza, by zbrodniarz zostawił na miejscu przestępstwa narzędzie zabójstwa. W tym przypadku mamy do czynienia z sytuacją jeszcze bardziej specyficzną. Bandyta zostawił narzędzie, którym torturował, ale nie zabił.

- Jest to rzecz zastanawiająca. Od razu zwróciłem na to uwagę.

- Logicznie rzecz ujmując, zbrodniarz zwiększył nasze szanse na jego złapanie. Zostawił narzędzie zbrodni z odciskami palców. Jeżeli go dopadniemy, żaden adwokat mu nie pomoże. Czy zrobił to przez przypadek? Nie chce mi się wierzyć, że zabrał nóż, a zostawił wiertarkę, bo... Nie wiem, bo się zamyślił. Zrobił to specjalnie. Chce z nami grać. Takie zachowanie jest charakterystyczne dla maniaków. Chce, byśmy go podziwiali, by gazety o nim pisały. Zbrodnię traktuje jak dzieło sztuki.

- Zakładacie, że to psychopata?

- Tak mi się wydaje. Motyw rabunkowy mało prawdopodobny. Tło obyczajowe również. Zostaje zbrodnia, która narodziła się w głowie szaleńca. Te tortury... Przyznacie, że zwyczajny bandzior użyłby mniej wyszukanych metod. Wiercenie w kolanach nie jest specjalnie popularnym działaniem.

Złamaś klarował logicznie. Wszyscy z uwagą analizowali jego słowa.

- Sugerujecie - Kostecki użył formy oficjalnej - że sprawca jest jeden i jest psychopata. Nie wykluczam takiej możliwości, ale zwracam uwagę na drobny szczegół.

W chwili śmierci, a zakładam, że także tortur, małżonkowie byli związani. Jeden człowiek miałby problem ze związaniem jednej osoby, a my mamy dwie!

- Myślałem o tym. Wychodzę z założenia, że ofiary znały mordercę. Po włamaniu Pudlarze wymienili zamek w drzwiach wejściowych. Nowy zamek nie nosił śladów włamania. Czyli małżeństwo musiało znać zabójcę. To oznacza, że związanie mogło być dokonane za zgodą ofiar.

- Dziwne. - Kostecki nie był do końca przekonany.

- Oczywiście, że dziwne. Ale jeżeli przyjmiemy, że mordercą jest psychopata, to słowo „dziwne” powinniśmy odłożyć ad acta.

Banasik bardzo uważnie przysłuchiwał się rozmowie. Nie był sprawcą ściągnięcia do zespołu Złamasia, jednak teraz dostrzegał wartość nowego pracownika.

- To, co mówicie, ma sens, poruczniku. Przyjmuję tę hipotezę za najbardziej prawdopodobną. Jakie proponujecie działania?

- Po pierwsze: kierunek medyczny. Tacy popaprańcy często inspirują się kolegami po fachu. Mniej lub bardziej interesują się podobnymi przypadkami. W grę mogą wchodzić psychiatrzy, a szczególnie ich studenci, doktoranci, stażyści. Drugi kierunek to szeroko pojęte zagadnienia prawne. Należy uważnie sprawdzić studentów prawa piszących prace magisterskie. Powinny nas zainteresować tematy o psychopatach i niesamowitych zbrodniach. Podobna tematyka może się pojawić na historii, a nawet na pedagogice. W grę wchodzi także etnografia. Fascynacja demonami i ludowymi wierzeniami. Tropy mogą

być różne. Od biedy z taką tematyką można się spotkać na filologii polskiej lub obcej. A może morderca specjalizuje się na przykład w niemieckich lub angielskich horrorach? To jest szeroka gama ewentualnych możliwości. Należy także zbadać artykuły pisane przez ostatnie lata. Jeżeli jakiś dziennikarz uporczywie pisze o jakichś zbrodniach z dawnych lat, powinno nas to zainteresować.

- Dużo tego. A przecież mamy jeszcze niezłałatwioną sprawę z Czołczaniecką.

Banasik znowu się zamyślił. Zastanawiał się, któremu śledztwu dać pierwszeństwo. Morderstwo Pudlarzy miało zdecydowaną przewagę. Istniało narzędzie zbrodni z odciskami palców. Ten argument przeważał.

- Całą energię inwestujemy w morderstwo małżonków. Sprawa Czołczanieckiej nie ucieknie. Na spokojnie będziemy przesłuchiwać szeroki krąg znajomych. Teraz najważniejsza jest sprawa podwójnego morderstwa. Mamy odciski palców. Dopadniemy drania. Kostecki, zajmiecie się wątkiem medycznym. Jurga, wy weźmiecie na cel kierunki uniwersyteckie. Poruczniku, was poproszę o zajęcie się żurnalistami. Proponuję analizę nie tylko łódzkich periodyków, ale także ogólnokrajowych. Pierwsze dane chcę mieć za dwa dni.

Kostecki z niechęcią popatrzył na nowego współpracownika. W ciągu dwóch dni owinął sobie Banasika wokół palca. Do tej pory kapitan zawsze najbardziej liczył się ze zdaniem Tadeusza. Dzisiaj porucznik Złamaś zdecydowanie grał pierwsze skrzypce. Kostecki sam nie wiedział, jak odnieść się do hipotezy nowego kolegi. Ogólnie trzymała się kupy. Jednak Kostecki czuł, że wcale nie musi

być to właściwy trop. Rozmowa zmęczyła go. Chciał się napić, ale poskromił zgubne przyzwyczajenie. Postanowił rzucić się w wir pracy. Rozstanie z Kingą było dla niego takim szokiem, że oprócz wódki i meczów Widzewa najbardziej pomagała mu praca. Postanowił kuć żelazo, póki gorące. Godzinę później był już pod szpitalem psychiatrycznym na ulicy Aleksandrowskiej. W okołoszpitalnym parku wiosna pyszniła się całą gamą zieleni. Kostecki pomyślał, że na krótki czas chętnie dałby się zamknąć w przybytku sztuki psychiatrycznej.

Na porucznika czekał już profesor Andrzej Bukowczyk. Był on doświadczonym lekarzem o bogatych kontaktach w świecie nauki. W narzuconym na plecy kitlu lekarskim przywitał porucznika w swoim skromnym gabinecie. Bordową koszulę przykrywała ciemnozielona marynarka z grubego sztruksu. Profesor nie był przesadnie zainteresowany swoim wyglądem.

- W czym mogę pomóc? - zapytał.

Tadeusz wyłuszczył lekarzowi cel wizyty.

- Więc chce pan zapytać, czy znam kogoś, kto interesuje się spektakularnymi zbrodniami popełnianymi przez psychopatów?

- Tak. O to chodzi.

- Świat psychiatrii takimi sprawami musi się interesować. Tak jak milicja musi wlepić mandaty piratom drogowym. Powiem panu szczerze, że po tylu latach praktyki lekarskiej muszę przyznać, że psychopaci wcale nie są największym wyzwaniem dla psychiatrii. O wiele bardziej skomplikowana jest psychika tak zwanych ludzi normalnych.

Lekarz pogładził się po niewielkiej brodzie, a następnie

poprawił okulary.

- Pod moją opieką specjalizację robi doktor Ubaka. Obywatel Gabonu. Zajmuje się zbrodniami popełnionymi przez psychopatów. Obok specjalizacji robi doktorat, a to jest jego obiekt badań.

Kostecki poczuł w głowie miły szmer.

- Czy doktor Ubaka jest...

- Tak. Jest rdzennym mieszkańcem afrykańskiego interioru.

- Mieszka w Polsce?

- Tak. Mieszka w Łodzi od kilku lat. Poznał Polkę i z tego, co wiem, planują ślub. Doktor Ubaka po zakończeniu specjalizacji i doktoratu ma zamiar wrócić do Afryki.

- Będę potrzebował jego adresu.

- Oczywiście. Ale w tej sprawie proszę użyć drogi służbowej. Są odpowiednie procedury i instytucje.

- Naturalnie.

- Mam nadzieję, że się pan nie obraził.

Kostecki uśmiechnął się w ramach odpowiedzi. A następnie zapytał:

- Czy dysponuje pan może jakimiś fragmentami prac doktora Ubaki?

- Dysponuję, ale sam pan rozumie, że udostępnić je mogę tylko na drodze formalnej. Przestrzegam zasad etyki lekarskiej. Natomiast mogę odesłać pana do wydanej już publikacji doktora. Znajdzie ją pan w bibliotece uniwersyteckiej.

Psychiatra wyjął kartkę i zamasztył ruchem napisał na niej potrzebne informacje. Kostecki uściśnął dłoń

profesora, po czym ruszył do samochodu. Jak najszybciej chciał się znaleźć w bibliotece.

Budynek Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego mieścił się przy ulicy Matejki. Brać uniwersytecka używała w stosunku do niego popularnego zwrotu „Buła”. Kostecki był w niej teraz po raz pierwszy, gdyż studia skończył w dalekim Szczytnie, a na co dzień wystarczały mu biblioteki dzielnicowe. Pani, która przyjęła jego zamówienie, sprawiała wrażenie ciężko doświadczonej przez życie. Na jej twarzy malowała się niechęć do wszystkich, którzy mieli czelność zawracać jej głowę w pracy. Nie odpowiedziała na przywitanie. Z jej zaciśniętych ust wydobył się dźwięk zbliżony do ludzkiej mowy:

- Usiądzie i poczeka.

Tadeusz zastosował się do polecenia. Czekał długo, gapiąc się w ekranik, na którym wyświetlały się numerki. Cyfry zmieniały się, ale jego „79” było wyraźnie niechcianym dzieckiem. Zdenerwowany podszedł do stanowiska bibliotekarskiego.

- Przepraszam, ale ponad godzinę temu złożyłem zamówienie.

Dyżurująca bibliotekarka nic nie powiedziała. Z miną osoby cierpiącej wstała i zaczęła przeglądać stos czasopism, który czekał na odbiór przez czytelników. Po chwili wróciła i rzuciła Tadeuszowi przed nos karteczkę, którą wcześniej wypełnił. Obok numeru sygnatur była pieczętka z napisem „Zapraszamy do magazynu”.

- To dlaczego nie wyświetlił się mój numer? - zapytał z irytacją w głosie.

- Bo nie dostał gazet, tylko musi zejść do magazynu.

Z Łęczycy przyjechał?

Kostecki już dalej nie pytał. Wychowany w Polsce, był przyzwyczajony do tej jedynej w swoim rodzaju mieszaniny pogardy i zniechęcenia, jakimi raczyli się wzajemnie rodacy niemal na każdym kroku. Szczególnie w miejscach, gdzie jeden Polak miał coś podać drugiemu Polakowi. Poganiany jadowitym wzrokiem przez bibliotekarkę zszedł do podziemi.

W magazynie przywitał go jegomość ubrany w nylonowy fartuch, przypominający fartuszek szkolny, tyle że odeń dłuższy. Kosteckiemu przypomniało się, jak rok temu Jurga biegał jak kot z pęcherzem, szukając granatowego fartuszka. Córka jego siostry poszła do pierwszej klasy i nie chciała chodzić w fartuszkach fioletowych. A tylko taki był w sklepie w Żytnie. Problem był na tyle poważny, że Jurga w zamian za pomoc oferował damskie perfumy o intrygującej nazwie „Być może”. Tadeusz pomyślał, że fioletowe fartuchy mogłyby mieć pracownicy bibliotecznych magazynów. Materiał granatowy odpowiednie władze mogłyby z kolei rzucić na front walki z ciemnogrodem i zabobonem.

- Proszę.

Magazynier rzucił na stolik kilka roczników „Psychiatrii Polskiej”. Krótkie słowo „proszę” Tadek błyskawicznie rozszyfrował jako skrót od następującej zbitki słownej: P jak „pierdol się”, R jak „ruchaj się”, O jak „odpierdol się”, S jak „spierdalaj”, Z jak „zajebę cię”. Na literkę „ę” nie było w języku polskim słowa. Gdyby było, na pewno byłoby ono słowem niecenzuralnym.

„Psychiatria Polska” była wychodzącym co dwa miesiące periodykiem o ściśle naukowym charakterze. Zamieszczali

w niej artykuły najlepsi polscy psychiatry. Redaktorem naczelnym od 1978 roku był Adam Bilikiewicz. Artykuł doktora Ubaki pojawił się w periodyku niemal rok temu. Tytuł brzmiał: *Uwarunkowania rodzinne sprawców zbrodni o podłożu psychotycznym*. Kostecki przeczytał z uwagą. W kupionym zeszycie poczynił stosowne notatki. Po wnikliwej lekturze przejrzał inne numery pisma. Wytotował dwie pozycje. W roku 1980 artykuł o zachowaniach przyszłych morderców w szkole zaprezentowała Małgorzata Zaradzka. Rok później na łamach pisma ukazał się artykuł *Zmiany chemiczne w mózgu zachodzące u ofiar tortur*. Autorką była Dorota Kalinowska. Pierwsza autorka pochodziła z Wrocławia, druga - z Krakowa. Zapisawszy skrupulatnie ich dane, Kostecki oddał pisma i z ulgą wyszedł z budynku. Na dworze było już chłodno. Zmierzch czaił się w pobliskim parku. Porucznik w głowie miał mętlik. Zapalił silnik. Po dwudziestu minutach był już na Retkini. Znowu miał ochotę się napić. Z braku możliwości zadowolił się wypaleniem klubowego. Z przykrością stwierdził, że popalanie okolicznościowe zmieniło się w codzienny przymus. Paczka, którą otworzył rano, teraz była już pusta.

W nocy Kosteckiemu śniły się koszmary. Był na jakimś gigantycznym dworcu. Dziwny to był dworzec. Stał na miejscu dworca Łódź Fabryczna, ale nie było tam ludzi ani pociągów. Na pustym peronie stała Kinga, która mówiła, że z dworca można pojechać tylko do Koluszek i Białegostoku. Po chwili przyszedł Jasina i twierdził, że czeka na pociąg do Białegostoku. Według prokuratora Widzew miał w owym Białymstoku grać mecz pucharowy.

Ale nie w Pucharze Polski z Jagiellonią, tylko ze Spartą Praga. Kiedy Jasina wreszcie pojechał, przyszła jakaś kobieta. Ona z kolei mówiła, że ten dworzec jest, owszem, dla ludzi, tylko że oni nie chcą jeździć.

Kiedy nastał ranek, Kostecki dziękował losowi, że może już wstać. Dziwna kobieta jeszcze nie zniknęła z koszmarnego snu, a porucznik już zaczął analizować wydarzenia wczorajszego dnia. Intensywnie myśląc, zaparzył kawę. Na szczęście mógł liczyć na Eustachego. Jakiś znajomy z zagranicy poznany podczas targów w Lipsku przesłał mu paczkę z zapasami kawy. Kostecki pił z namaszczeniem. Pobudzony kofeiną mózg pracował niczym Piotr Romke podczas meczów Widzewa. Czyli prawdziwie, bez żadnych przestojów.

Porucznik rzucił okiem na zdjęcie Romkego. Obok widniały fotki Bońka, Żmudy, Janasa i innych, byłych i obecnych gwiazd drużyny. Chwilę się zastanowił, a potem zadał sam sobie pytanie:

- Kibic kolekcjonuje zdjęcia piłkarzy, a turysta?

Pięć po ósmej porucznik był już w milicyjnym magazynie. Po okazaniu dokumentów odebrał dwa pudełka po butach, w których Pudlarze trzymali zdjęcia. Na półce w ich domu zauważył aparat Zenit. Zamordowani byli wagabundami. Aparat służył im do upamiętniania turystycznych eskapad. Kostecki w zapale bojowym lubił do siebie mamrotać.

- Jeżeli przyjmiemy, że morderca był ofiarom znany, a wszystko na to wskazuje, to jest szansa, że uwiecznili go na jakiejś fotografii. Jeżeli na przykład znali Ubakę, to jest bardzo prawdopodobne, że jest on gdzieś na zdjęciu.

Wątpliwe, by Pudlarze w gronie znajomych mieli dwóch Murzynów. Jeżeli myślę logicznie, to w ciągu dwóch godzin może się okazać, czy on w ogóle był ich znajomym.

Pudlarze - jakby chcąc ułatwić funkcjonariuszowi MO pracę - podzielili pudełka wedle chronologii. W pierwszym pudle, po butach z Chełmka, były fotografie wykonane do roku 1975 włącznie. Drugie opakowanie, będące pamiątką po obuwiu z Myszkowa, skrywało zdjęcia wykonane później. Rzecz jasna porucznik zaczął przegląd od tego drugiego.

Na setkach fotografii widać było oboje małżonków. Pozowali na tle gór, jezior, zamków, skałek jurajskich. Byli uwiecznieni na tle zabytków Poznania, Gdańska, Krakowa, Szczecina. Niektórych miejsc na fotografiach Kostecki nie był w stanie rozpoznać. Na szczęście prawie na każdym rewersie był podpis. Na przykład: „Kowary, maj 1977”. Tadeusz z uwagą oglądał każde zdjęcie. Na żadnym z nich nie było nikogo, kto by przypominał przedstawiciela rasy negroidalnej.

Mocno zawiedziony porucznik sięgnął po drugie pudełko. Podniecenie pracą wyraźnie klapnęło. Kostecki z lekką nonszalancją przeglądał fotki, których historia sięgała końca lat pięćdziesiątych. Nagle serce uderzyło z przytupem. Porucznik patrzył na zdjęcie z roku 1967. Andrzej trzymał za rękę kilkuletniego chłopca. Podobieństwo do matki było widoczne. To musiał być syn Łukasz. Zresztą chłopiec, tyle że starszy, przewijał się już przez odbitki z pierwszego pudła. Na odwrocie był podpis „Komańcza”. Kostecki przyglądał się uważnie, ale nie Andrzejowi i dziecku. Na zdjęciu był ktoś jeszcze. Tadeusz nie był pewien.

Z fotografii uśmiechał się do niego ktoś, kogo porucznik chyba znał albo raczej kojarzył. Nie miał pewności. Zdjęcie wykonane prawie szesnaście lat temu mogło być mylną wskazówką. Kostecki natychmiast zaczął szukać zdjęć zrobionych w roku 1967. Miał dosyć rozległą wiedzę geograficzną, by wiedzieć, że Komańcza leży na pograniczu Bieszczadów i Beskidu Niskiego. Czyli podpisy mogły dotyczyć Cisnej, Wetliny, Ustrzyk Dolnych lub Górnych, Czystogarbu i innych wiosek. W grę mogły wchodzić zdjęcia z Leska, Sanoka czy nawet Przemyśla. Interesującą go postać znalazł jeszcze na trzech fotografiach. Na pięciu innych zobaczył zdjęcie młodego Miecznikowskiego. Przypomniał sobie. W latach sześćdziesiątych Pudlarze utrzymywali z jezuitą kontakty. Kostecki z powrotem poczuł przyływ adrenaliny. Teraz przyglądał się zdjęciom z jeszcze większą uwagą. Jednak żadne z nich nie przykuło jego wzroku tak, jak poprzednie znaleziska. W pudle, obok fotek plenerowych, liczne były zdjęcia ze ślubu, chrzcina, pierwszej komunii Łukasza. Kostecki schował wybrane fotografie do portfela i oddał pudła dyżurującemu funkcjonariuszowi. Z ulgą przywitał się z wiosennym słońcem.

Po wyjściu z magazynu Kostecki zorientował się, że pobyt w magazynie depozytowym zajął mu prawie cały dzień roboczy. Zaatakował go wściekły głód. Wszedł do pierwszego z brzegu sklepu. Wędlin nawet nie szukał wzrokiem. Od razu podszedł do stoiska z nabiałem i kupił serek z Żychlina. Na stoisku z pieczywem pałętała się wczorajsza bułka. Zapłaciwszy, rzucił się na wiktuały i w ciągu kilku chwil wszystkie pochłoniął. Odetchnął. Jego pełny brzuch wysłał do mózgu sygnał. Głowa znowu zaczęła

pracować.

Godzinę później Kostecki po raz kolejny siedział w czytelni czasopism. Tym razem na dyżurze była inna pracownica niż wczoraj. „Inna” nie znaczy „bardziej miła”. Kostecki poprzysiągł, że jeżeli ktoś kogoś kiedyś zamorduje w bibliotece, to on będzie prowadzić śledztwo tak, by wsadzić do paki – choćby na czterdzieści osiem godzin – jak największą część personelu. W magazynie sytuacja wyglądała podobnie. Tadeusza nie obsługiwał ten sam pracownik co wczoraj. Za to miał taki sam fartuch i był tak samo opryskliwy. Porucznik wyszedł z przybytku wiedzy niemal jako ostatni czytelnik.

W nocy po raz kolejny gnębiły go koszmarne sny. Pierwej śnił mu się obskurny dworzec w Kutnie. Na tym dworcu, w przeciwieństwie do tego z poprzedniego snu, byli ludzie i były pociągi. Z jednego wyszedł wokalista grupy Kult. W rękę trzymał nóż i wygrażał nim Łukaszowi Pudlarzowi. Pieśniarz wykrzykiwał, że mieszka w Polsce. Potem wrzeszczał o jakiejś burzy włosów, co to każdy ma ją znać. Następnie przyjechał kolejny pociąg. Wsiadła z niego ta sama kobieta, która przyśniła mu się wczoraj. Krzyczała, by wracał do Łodzi, bo jest inny, lepszy rozkład jazdy tramwajów i autobusów. Mówiła, że teraz na tramwaj czeka się tylko pół godziny, a niektóre z nich nie kursują w soboty i niedziele. Dlatego jest lepiej. Tłumaczył, że ma samochód i komunikacją miejską nie jeździ. Ona wtedy powiedziała, że na pewno jest w spisku.

Po przebudzeniu Kostecki zaklął. Umył się. Napił kawy i wyszedł do pracy. Czuł, że dawno nie był na treningu judo. Postanowił, że musi się zmobilizować.

Rozdział 16

Na komendzie panował intensywny ruch. Mijał kolejny dzień akcji „Posesja”. Miała być ona czytelnym sygnałem wysłanym do społeczeństwa. Stan wojenny jest zawieszony, może niedługo go zniesiemy. W kraju trwa normalizacja. Milicja wraca do swoich zadań. Wrogowie socjalizmu zostali pokonani. Kraj jest silny. Milicja czuwa, radzi i ostrzega. Akcja „Posesja” miała mieć charakter porządkowy. Od tygodni trąbiły o niej gazety. Mówiono w radiu i telewizji. Na klatkach schodowych były odpowiednie plakaty informujące. Jak to w PRL, miały odbyć się niezapowiedziane wizyty, rzecz jasna: gospodarskie, o których wszyscy wiedzieli. Jakby na przekór władzom obywatele kompletnie się tymi działaniami nie przejęli. Już pierwszego dnia akcji w ręce milicjantów wpadli poszukiwani od ponad półtora roku bandyci. Milicja ze zdumieniem stwierdziła, że bez najmniejszego problemu można złapać ściganych listem gończym gwałcicieli, złodziei, paserów czy wytwórców kompotu, czyli polskiej heroiny. Funkcjonariusze bez najmniejszych trudności rozbili gangi okradające kioski, grupy spekulacyjne, zorganizowane zespoły zawodowych bimbrowników. Bandyci zakuci w kajdanki pomstowali na inteligenckich mądrali, którzy szybko złożyli broń w swojej walce o jakąś tam demokrację. Czasy prosperity zdawały się kończyć, niebiescy znowu zaczęli interesować się bandziorami.

Zebranie w gabinecie Banasika rozpoczęło się punktualnie. Pierwszy zdał relację Jurga. Sierżant miał podkrążone oczy. Dostał chyba najtrudniejsze zadanie. Sprawdzenie tematów prac magisterskich, które mogły mieć jakiś związek ze sprawą Pudlarzy, było zajęciem niemal katorżniczym.

- Zacząłem od wydziału prawa. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym niejaki Michał Kucharski napisał pracę doktorską o zbrodniach psychopatów w USA. Rok temu obronił się magistrant Rafał Stręk. Zajmował się zbrodniami z okresu międzywojennego. Nad obiema pracami opiekę naukową sprawował profesor Zbigniew Wardak. Wszystkich tych obywateli sprawdziłem. Kucharski jesienią wyszedł z więzienia. Działalność antysocjalistyczna. Stręk nielegalnie pozostał za granicą. Wardak był promotorem wielu innych studentów i pod jego okiem powstało bardzo dużo różnorodnych prac. Zawodowo zajmuje się kryminalistyką.

- Znam go - wtrącił Banasik.

Jurga wziął oddech i kontynuował:

- Na etnografii znalazłem jakiegoś Szmita. Paweł ma na imię. Dwa lata temu napisał pracę doktorską o wierzeniach demonologicznych. Specjalizuje się też w tematyce składania ofiar wśród różnych ludów. Natomiast na historii jest niejaki Bogusław Świt. Interesują go krwawe ofiary Azteków i Majów. Ma opinię ekscentryka. Filologii polskiej i innych nie zdążyłem sprawdzić.

Banasik pokiwał głową.

- Szmita i Świta zgarniemy i pobierzemy im odciski palców. Wóz albo przewóz. Wardaka nie podejrzewam.

Na razie damy mu spokój.

Kapitan wymownie spojrział na Kosteckiego.

- Chyba coś mam. Obywatel Gabonu, doktor Ubaka. Robi u nas specjalizację i pisze doktorat. Jego artykuł, do którego dotarłem, może być jakimś punktem zaczepienia. Tematyka związana z psychopatami. Podobnej treści artykuł napisał do renomowanego „Psychological Medicine”. Z innych postaci mogą jeszcze wchodzić w grę dwie badaczki: Zaradzka i Kalinowska. Pisywały artykuły nie tylko do polskich wydawnictw, ale również do „British Journal of Psychiatry”. Być może jest ktoś jeszcze. Nie sprawdziłem pism psychiatrycznych ze Związku Radzieckiego.

Banasik był zadowolony. Kiwnął głową Kosteckiemu.

- A wy, poruczniku? - zwrócił się do Złamasia.

- Cóż. Sytuacja polityczna w ostatnich trzech latach nie sprzyjała podejmowaniu w prasie tematu psychopatów. Znalazłem interesujące nas artykuły, ale pojawiły się one w ubiegłej dekadzie. Do tego autorzy rekrutowali się spoza aglomeracji łódzkiej. Moja praca chyba poszła na marne.

Banasik splótł dłonie.

- Cóż. Mamy komfortową sytuację. Narzędzie tortur z odciskami palców. Sprawdzamy: Szmita, Świta, Kucharskiego i tego Murzyna. Albo go będziemy mieć, albo szukamy dalej.

Rozdział 17

Poniedziałek dla Kosteckiego rozpoczął się osobiście. Zaraz po wejściu do komendy spotkał Złamasia.

- Brawo, brawo! Panie kolego, mamy go! Dzięki koledze.

Kosteckiego w nocy znowu męczyły koszmary. Nie bardzo rozumiał słowa nowego współpracownika.

- Kogo mamy?

- Tego asfalta. Badania nie zostawiły żadnych wątpliwości. To jego odciski palców były na wiertarce.

- Ubaki? - do Tadeusza dopiero teraz w pełni dotarło, co powiedział porucznik Złamaś.

- Tak. Został zatrzymany do naszej dyspozycji. Postawienie zarzutów prokuratorskich to właściwie formalność. Gratuluję.

W pokoju przesłuchań był już obecny prokurator Jasina. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

Tadeusz był oszołomiony. Nie spodziewał się, że jego praca tak szybko przyniesie efekt. Wraz z porucznikiem rodem z Turku poszedł na przesłuchanie.

W pokoju przesłuchań już czekał doktor Ubaka. Na jego twarzy perliły się grube krople potu. Gdyby miał jaśniejszą karnację, byłby błady jak ściana. Ze zdenerwowania pocierał rękami o zgięte kolana.

Kostecki zaczął od najbardziej oczywistego pytania:

- Co pan robił wieczorem w dniu szóstego kwietnia bieżącego roku między godziną dwudziestą a dwudziestą

drugą trzydzieści?

- Miałem być u kolegi. Ale oni nie przysiedli.

- Pytam, co pan robił i gdzie pan był.

- No, jak ich nie było, to ja wraciałem do domu.

- Czyli był pan na ulicy? Jechał pan autobusem?

- Tak.

- Co to za koledzy?

- Jacek Kowal i Cezary Tąder. Mieli my... Mieliśmy oglądać mecz Widziewa. Ale oni nie byli.

- Umówił się pan z nimi na wspólne oglądanie meczu w telewizji?

- Tak.

- Czy ktoś pana widział na ulicy, kiedy pan wracał do domu?

- Nie. Autobus był pusty.

- A może ktoś widział, jak pan wchodził do domu? Było pewnie około dwudziestej pierwszej. Plus minus, rzecz jasna.

Ubaka nie rozumiał zwrotu plus minus. Trzeba było mu wytłumaczyć. Po polsku mówił dosyć składowo. Pewne błędy językowe, które popełniał, wynikały ze stresu. Tadeusz obawiał się, że będzie gorzej. Ktoś Ubace w pisaniu artykułu musiał pomagać, ale chyba tylko trochę.

- Nie, nikt mnie nie widział. Wszyscy patrzyli na mecz.

- A ci koledzy? Kim oni są?

- Poznali się ze mną na studiach. Kolegujemy się. Lubimy.

- Często pan się z nimi spotyka?

- Tak.

- I co robicie razem?

- Chodzimy na disco. Na imprezy, czasem do kina.

- Pije pan alkohol?

Ubaka się zmieszał. Znów się spocił i zaczął pocierać dłońmi o kolana.

- Tak. Trochę...

- Ale nie jest pan wyznawcą islamu? Może pan pić?

- Tak. Jestem chrześcijaninem.

Kostecki uznał, że nie ma Ubaki o co dalej pytać.

Po kwadransie znaleźli się u Banasika. Kapitan był wyraźnie zadowolony.

- No to wygląda na to, że to śledztwo mamy z głowy.

- Wszystko na to wskazuje - odezwał się Kostecki.

- Ubaka nie ma żadnego alibi. Twierdzi, że w czasie meczu był na ulicy, w autobusie. Następnie w domu. Podobno umówił się na wspólne oglądanie meczu. Jednak kolegów nie było w domu - dopełnił informacji Złamaś.

- Twierdzi, że nikt go nie widział.

- Sprawa wydaje się oczywista. Na wszelki wypadek należy przesłuchać tych dwóch. Kowala i tego drugiego. Może ich zeznania ułatwią nam wyjaśnienie okoliczności morderstwa. Musimy wystąpić do Bukowczyka o udostępnienie materiałów, nad którymi pracował podejrzany podczas swych badań naukowych, może zrozumiemy lepiej pobudki mordercy. No cóż. Wypada się cieszyć, że wracamy do formy.

Banasik był bardzo zadowolony. W ciągu niecałych dwóch tygodni sprawa została wyjaśniona, a morderca pojmany. Jeszcze trochę rutynowych działań i Ubakę będzie

można przekazać do pełnej dyspozycji prokuratora.

Po wyjściu z komendy Kostecki czuł radość. Jednak trudno powiedzieć, by był w pełni usatysfakcjonowany. Coś mu w tej sprawie skrzypiało i charczało. Za łatwo to wszystko poszło.

- Ty to, kurwa, zawsze musisz szukać dziury w całym.

Jurga zanurzył usta w piwie i z lubością pomlaskał. Siedzieli w parku 3 Maja. Ta ogromna zielona połać ciągnęła się od ulicy Kopcińskiego niemal do stadionu Widzewa. W wielu miejscach park miał półdziki charakter i przypominał las. Był ładny, chociaż nie jakoś wyjątkowo ciepły dzień. Jurga bilety na mecz rewanżowy Widzewa z Juventusem zamienił na okazałe zapasy okocimskiego piwa. W tym celu odbył długą podróż do Brzeska. Nabycie piwa z okocimskiego browaru poza okolicami Tarnowa było rzeczą trudną. Ogromna część produkcji szła na eksport. Większy kłopot był chyba tylko z nabyciem piwa żywieckiego.

Kostecki nic przyjacielowi nie odpowiedział, tylko przechylił flaszkę do ust. Za jednym zamachem wypił prawie pół butelki. Chłodny trunek masował kubki na języku. Lekka gorycz rozlała się po jamie ustnej.

- Przednie. Naprawdę przednie to piwo. - Tadeusz przez moment poczuł się jak na urlopie.

- Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Czarnuch nie ma alibi. Jego odciski palców są na wiertarce. Sprawa jest czysta jak dupa niemowlaka. Bardziej mnie martwi ten nowy. Ten Złamaś. Nie ufam mu. Ma gębę kapusia. Musimy przy nim uważać.

- To ty musisz uważać. Ja nie przemycam mięsa z nielegalnego uboju. I nie handluję bimbrem spod Radomska.

- To, kurwa, oddawaj.

Jurga sięgnął po butelkę piwa znajdującą się w rękach Tadeusza.

- Żartowałem, barania głowo. Pewnie, że trzeba uważać. Wiesz coś o nim?

- Nie bardzo. Na pewno nie jest człowiekiem Banasika. Przez lata pracował w Warszawie. Kumpel mi mówił, że jest świnią i kutasem. Ale nic więcej nie potrafił mi powiedzieć.

- Hmm. No to napijmy się. Zdrowie.

- Ciekawe, co tam u Pajaka.

- Trzeba go będzie odwiedzić. Może w sobotę. Masz więcej tego piwa?

- W sklepie se kup, jak ci kontrabanda cuchnie.

- No przecież mówiłem, że żartowałem.

Głośne „psssss” oznaczało, że z kolejnych butelek ulotnił się dwutlenek węgla. Słońce bardziej dziarsko wyjrzało zza chmur. Jurga wystawił swoją pucułowatą twarz do promyków.

- Ech, tak sobie myślę, że może kiedyś będę mógł mieć własną knajpę. Kurczaki będę serwował. Kotlety. Ile kto chce. Zarobię prawdziwe pieniądze. Może gdzieś wyjadę. Na przykład na Grenlandię.

- Na Grenlandię? Po chuj?

- Tak po prostu. Zobaczyć, jak tam jest. Podobno Eskimosi, jak walną lufę, to już są pijani w trupa.

- W PRL-u powinni żyć. Suchym chlebem też się objedzą

jak świnie?

- Nie wiem. Ale chciałbym na Grenlandii być. A ty gdzie byś chciał pojechać?

- Nie wiem. Nie myślę o tym.

- Jak już wrócę z Grenlandii, to pojedę do Afryki.

- Do Gabonu?

Obaj się zaśmiali. Powoli nadchodził zmierzch. Był poniedziałek. Za dwa dni Widzew miał grać rewanżowe spotkanie.

Rozdział 18

Akcja „Posesja” zakończyła się pełnym sukcesem milicji. Stróże prawa skontrolowali czternaście tysięcy sto dwadzieścia budynków oraz tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć placówek handlowych. Rozbito tysiąc trzysta sześćdziesiąt pięć melin przestępczych. Zatrzymano sześćdziesięcioro dziewięcioro sprawców przestępstw i sto pięć osób poszukiwanych. Wszczęto trzydzieści jeden postępowań przygotowawczych. Bumelantów, alimenciarzy wymigujących się od płacenia należności nikt nie liczył. Natomiast prawdziwą dumą napawało funkcjonariuszy zlokalizowanie trzynastu bimbrowni. Wszystko to w ramach akcji, o której społeczeństwo było poinformowane.

- Następną taką akcją trzeba zrobić bez zapowiedzi - skonkludował Jurga logicznie.

Siedzieli w gabinecie kapitana. Banasik na chwilę przeprosił podwładnych i wyszedł. Wrócił po kilku minutach.

- Podczas kontroli respektowania przepisów sanitarnych i przeciwpożarowych w ramach „Posesji” znaleziono ikonę. Na pierwszy rzut oka - cenną. Była ulokowana w pomieszczeniu gospodarczym wynajmowanym przez Łukasza Pudlarza. Stan sanitarny i przeciwpożarowy komórki budził wątpliwości, toteż funkcjonariusze poprosili dozorcę o otwarcie pomieszczenia. Mieli na uwadze, że jesteśmy zainteresowani obrazem, więc postanowili sprawdzić. Co prawda my szukamy pijanych zakonników,

ale na wszelki wypadek przyjrzeni się znalezisku.

Kostecki pochylił się na krzesło.

- Łukasza Pudlarza?

- Tak. Dlatego wam o tym mówię. Na marginesie: nie znaleziono obrazu z zakonnikami ani zastawy Czołczanieckich.

Informacja była na tyle niespodziewana, że wszyscy siedzieli w milczeniu. Banasik uzupełniał informację.

- Ikona przedstawia twarz Jezusa. Nie jest zbyt duża. Wezwałem pracownika Desy, by dokonał wstępnego ustalenia jej wartości. Być może to jakiś landszaft. Albo lipna podróbka. Zważywszy na okoliczności, musimy to wyjaśnić. Za kilka minut powinien już tu być. A tak poza tym, to funkcjonariusze podczas akcji wykryli aż tysiąc dwieście osiemnaście przypadków karygodnych, powtarzam, karygodnych przypadków, nieprzestrzegania przepisów sanitarnych i przeciwpożarowych.

- Wynika z tego, że akcja „Posesja” powinna trwać permanentnie - skwitował Jurga.

- I być niezapowiedziana - dodał Kostecki.

- O tym, że była zapowiedziana, nie decydował pułkownik Moczkowski, tylko sam Kiszczak. Myślicie, że codziennie jestem na linii z towarzyszem generałem?

Nikt nie odpowiedział. Banasik wypił łyk wody z sokiem marki Herbavit i zagaił z innej beczki:

- Przez tego maniaka z wiertarką nie mogłem uczestniczyć w przeglądzie kina hiszpańskiego. Zależało mi na *Portrecie rodzinnym* Antonio Giméneza-Rico. Chciałem obejrzeć też *Celestynę* Césara Ardavina. No i najbardziej nie mogę przeboleć *Łazika z Tormesu*.

To ekranizacja anonimowej powieści z szesnastego wieku. Gdybyście słyszeli, że gdzieś te filmy będą grać, to mówcie.

- A jeśli Ardavin wysługiwał się generałowi Franco? - Kostecki uwielbiał podpuszczać zwierzchnika.

W odpowiedzi Banasik rzucił pełne dezaprobaty spojrzenie. Zbierał się do riposty, ale sekretarka zaanonsowała przybycie pracownika Desy. Kapitan zadzwonił i zażądał przyniesienia ikony.

Po kilku minutach milicjanci obserwowali człowieka, który pochylał się nad malunkiem. Magister Zaborowski z uwagą przyglądał się desce z wizerunkiem Jezusowej twarzy.

- Wygląda na autentyk. To tak zwany mandylion. Tego typu ikony wisiały nad carskimi wrotami w ikonostasie. Najprawdopodobniej wiek siedemnasty, ewentualnie osiemnasty, początek. Raczej z Podkarpacia niż z Białostockiego. Więcej nie jestem w stanie powiedzieć.

- Jest cenna? - zapytał Złamaś.

- Dosyć cenna. Na cenę ma wpływ nie tylko stan, ale także walory artystyczne. Znajomość autora też ma znaczenie. Jeżeli nie jest to fałszywka, to jest wartościowa.

- Jak wartościowa? - dopytał Jurga.

- Trudno powiedzieć bez dogłębnej analizy. Na pewno kilka tysięcy dolarów. Najmniej. Natomiast konieczna jest szczegółowa ekspertyza. Macie w Warszawie specjalistów. Powinni to ustalić.

Banasik podziękował ekspertowi, a następnie zawyrokował:

- Jutro, poruczniku Kostecki, wraz z sierżantem Jurgą

pojedziecie do Warszawy. Zabierzecie ikonę i przekażecie ją do ekspertyzy. Uzyskacie pełne informacje na jej temat. Zaraz polecę wypisanie odpowiednich dokumentów.

- A nie możemy jechać w czwartek? - Kostecki czuł, jak nóż otwiera mu się w kieszeni.

- Powiedziałem „jutro”. Mecz obejrzyjcie sobie w Warszawie. W telewizji. Nie polecam towarzystwa sympatyków Legii czy Gwardii. Jeżeli telewizor będzie popsuty, to zachęcam do lektury. Polecam *Historię literatury hiszpańskiej* Marii Strzałkowej. Sporo pisze o *Łaziku z Tormesu*. Na polski dzieło to przełożył Maurycy Mann. Bodajże w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim. Jest pochowany na Powązkach. Polecam. Treść utworu jest wybitnie postępową. Bohaterowie łamią zasady feudalnego społeczeństwa. Obijają się. Włóczą. Najchętniej piją wino. Przez lata utwór był na indeksie ksiąg zakazanych. Generałowi Franco na pewno się nie podobał.

Kostecki był tak wściekły na szefa, że nie tyle chciał, ale musiał iść na trening judo. Przed wejściem do hali Gwardii czaili się Kafel i Posejdon. Gdy tylko Tadeusz wysiadł z auta, natychmiast do niego dopadli.

- Królu złoty! - zawołał Posejdon.

- Co jest, kurwa?

- Pomocy!

- Czego?

- Chcą nas wypierdolić z naszej izdebki. Meldunku nie mamy. Milicja chodziła po kamienicach. Sprawdzali wszystko. Okazało się, że ja jestem meldowany w Łęczycy, a Kafel w Ozorkowie. Mamy się wynieść z naszego świata całego. Na dodatek zwinęli Fuńka i zamkli mu bimbrownię.

Koniec świata. Do proletariatu się dobrali. Nas, dzieci tego miasta, wygonić chcą! Bimbrownia Fuńka przepadła. Ratuj, królu złoty!

Kostecki popatrzył z obrzydzeniem na obydwu meneli. Nienawidził żuli. Większym szacunkiem darzył normalnych bandytów. Ci mieli przynajmniej jakiś iloraz honoru. Jakiś kodeks i jakieś aspiracje. Kradli lub zabijali, by lepiej jadać, sypiać w lepszych warunkach. Srać w czystszych klopach. Popelniali czyny karalne, by chędożyć ładniejsze kobiety i chlać wykwintniejsze wódki. Menele nie mieli żadnych potrzeb wyższego rzędu. Byli jak pasożyty. Jak kleszcze na psie. Kostecki gardził nimi w stopniu całkowitym. Jak patrzył na te napuchnięte lub wysuszone gęby, miał chęć się wyrzygać. Jego wrażliwy węch wyczuwał ten lekko słodkawy odór. Nie mógł patrzeć na resztki niemytych zębów wystających z przegniłych dziąseł.

Tymczasem Posejdon zawodził dalej:

- I co my tera zrobimy? U Fuńkowej kobity będziemy mieszkać. Chłopa jej zamkli. Tam młody chłopyszek jest, ojcowskiej ręki mu trzeba.

Kostecki oczami wyobraźni zobaczył, jak Posejdon dobiera się do Fuńkowej kobity. Żółć napłynęła mu do gardła. By nie wyrzygać obiadu, chwycił z całej siły łeb Posejdona i huknął nim w głowę Kafla. Zaskoczenie było równie wielkie jak siła porucznika. Obaj przedstawiciele łódzkiego lumpenproletariatu przewrócili się na trotuar.

- Spierdalać, ścierwa!

Kostecki poszedł do klubu. Na chodniku jęczał Posejdon. Na trawniku obok krew z czerepu Kafla użyźniała glebę.

Rozdział 19

Podróż do Warszawy nie była dla sierżanta Jurgi miłym przeżyciem. Towarzystwo Kosteckiego było ciężkie do zniesienia. Wściekły porucznik aż do Rawy Mazowieckiej pomstował na Banasika. Z ust Tadeusza płynęła pod adresem przełożonego kaskada inwektyw. Co prawda bilet na mecz Widzewa z Juve od ręki znalazł nabywcę, który w dodatku zapłacił w dolarach, jednak tak naprawdę była to marna pociecha. Kostecki był na wszystkich pucharowych meczach Widzewa. Pamiętał łzy piłkarzy Manchesteru City, a później wściekłość zawodników United. Nie mógł zapomnieć zszokowanych lic piłkarzy Juventusu, gdy Widzew rozbił ich trzy do jednego. Przeżywał zwycięstwo nad Saint-Étienne. Marzył, gdy RTS poprawiał nastrój kibicom, w rewanżu pokonując Ipswich. Był nawet na rewanżu z Hiberniansem, który to rewanż był właściwie formalnością. Teraz miało go zabraknąć na najważniejszym meczu w historii. Dopiero w okolicach Rawy nerwy zaczęły odpuszczać.

Jurga nigdy nie mógł Tadeusza zrozumieć. On wszystkie bilety na mecze Widzewa w umiejętny sposób zamieniał na konkretne dobra. Te na mecz z Juve wymienił na dużą ilość nieosiągalnego w Łodzi piwa okocimskiego. To, co posłużyło za pretekst do biesiady z Tadkiem, było drobnym ułamkiem partii, którą ściągnął z południa. Esencja towaru wylądowała u jednego z badylarzy, który

wyprawiał córce wesele. Badylarz dysponował zagranicznymi lekami na dosyć rzadką chorobę. Na tę chorobę chorowała wnuczka ordynatora szpitala w Sieradzu. Ordynator zapłacił niemieckimi markami, które Jurga natychmiast zamienił na złoto, które z kolei zakopał pod jednym z drzew w lesie koło Polichna, skąd pochodził.

Sierżant był praktyczny i głupotami się nie zajmował. Mimo że w porównaniu z Tadeuszem i Stefanem Pajakiem był człowiekiem młodym, myślał bardzo dojrzałe. Miał dwie córki, którym musiał zapewnić przyszłość. Miał marzenia o podróżach. Miał plany założenia knajpy z najlepszymi kurczakami w okolicy. Miał po co żyć. Nijak nie mógł zrozumieć przyjaciół, którzy sprawiali wrażenie, że żyją z dnia na dzień. Nie był w stanie pojąć skomplikowanych afer sercowych, w które wpakowywał się Kostecki. Romans Tadeusza z Kingą był dla Jurgi trudny do wyobrażenia ze względu na brak jakiegokolwiek logiki. Jednak to, co wyczyniał ze swoim życiem Tadek, było niczym w porównaniu z breweriami Pajaka. Gwiazda milicji z Brzezina wiodła żywot, który mógłby stać się inspiracją do drugiego tomu *Łazika z Tormesu*. Sierżant się zastanawiał, czy gdyby taka książka powstała, to też trafiłaby na indeks książek zakazanych przez władze PRL.

Za Rawą Jurga, który prowadził, zjechał w boczną asfaltówkę. Zatrzymali się przy niewielkiej gospodzie.

- Odpoczynek - zakomenderował kierowca.

Lokal był typowy dla ludowej ojczyzny. Na stolikach leżały ceratowe obrusy w czerwono-białą kratę. W wazonikach tkwiły zakurzone sztuczne kwiatki. Na widok sierżanta bufetowa wyraźnie się ożywiła.

- Co tam sływać, panie sierżancie?
- Wiosna! - Jurga odpowiedział z radością.
- To, co zwykle?
- Tak. Dwie lornety i meduzę. Dwa razy, proszę.

Usiedli przy stoliku. Nikogo w lokalu nie było. Po chwili kelnerka przyniosła zamówione potrawy.

- Lorneta, żeby było dwa do zera. A meduza, żeby w karnych Młynarczyk był lepszy od Zoffa.

- Jan Sebastian.

- Bach!

Brzdęknęły kieliszki. Kostecki poczuł, że już zbliżenie wódki do ust przyniosło ulgę. Zagryźli galaretką. Była pyszna. Tadeusz nieco się uspokoił. Po drugim kielonku było naprawdę nieźle. Jurga otarł usta serwetką i złożył koledze propozycję nie do odrzucenia.

- To co? Ja prowadzę, to repety nie wezmę. Ale ty?

Pięć minut potem kolejna meduza z lornetą wylądowały w brzuchu Tadeusza. Humor wyraźnie mu się poprawił.

- Idziemy - zakomenderował sierżant.

- Nie płacimy?

- Za co ty chcesz płacić? Za miejsce tuż przy ołtarzu papieskim w Warszawie? Są sprawy w tym kraju, których nie wolno profanować mamoną.

- Szczęść Boże - rzucił na pożegnanie rozpromienionej bufetowej.

Po miłej przerwie usiedli w samochodzie i ruszyli w dalszą drogę.

Po mniej więcej godzinie jazdy zameldowali się w stolicy. Oddali ikonę do ekspertyzy, wypełniając przy tym mnóstwo

dokumentów. Była dopiero dziesiąta rano. Kosteckiemu kuracja wybitnie pomogła. Wyciszył się, a mózg zaczął lepiej pracować.

- Słuchaj. Może, jak już jesteśmy w Warszawie, to pogadamy z lekarzami młodego Pudlarza?

- Po co?

- W końcu to on wynajmował komórkę, w której była ikona.

- Ale przecież mamy tego bambusa.

- Mamy, ale to nie znaczy, że mamy mordercę. Cały czas myślę nad tym, że Pudlarze byli związani. Sam Ubaka by ich nie związał. Ktoś mu musiał pomagać.

- Nie słyszałem, by psychopaci mieli pomagierów. Chyba że za okupacji.

- Ja też nie słyszałem. Dlatego coś mi tu nie gra.

Sierżant wolał pochodzić po sklepach. Te w Warszawie były lepiej zaopatrzone niż te w Łodzi. Ale przystał na propozycję kolegi.

- Banasik nie będzie zachwycony - powiedział sierżant.

- Jak znajdziemy coś ciekawego, to będzie.

Obaj w miarę dobrze znali stolicę. Obaj byli w niej kilkakrotnie. Po dwóch kwadransach zameldowali się w szpitalu, gdzie leżał pobity.

Mieli szczęście, w pracy był lekarz opiekujący się Pudlarzem.

- Stan jest bardzo ciężki. Pacjent cały czas znajduje się w śpiączce. Szanse, że się z niej wybudzi, są bardzo nikłe.

Doktor Chwałkiewicz był życzliwie nastawiony do obu milicjantów.

- Bardzo poważne pobicie. Rzadko się zdarzają takie skutki.

- Sugeruje pan, że skala pobicia była zaplanowana?

- Niekoniecznie. Wie pan, czasem człowiek spada w domu ze schodów i umiera albo zostaje kaleką. Czasem jest zupełnie inaczej. Miałem kiedyś pacjenta, murarza, który spadł z czwartego piętra. Oczywiście był wypity. Poza stosunkowo drobnym urazem kolana i obtarciami nic sobie nie zrobił. Natomiast rzeczywiście można założyć, że napastnicy chcieli bić tak, by prawie zabić. Tym bardziej że Łukasz Pudlarz był pobity też i tydzień wcześniej.

- Słucham? - Tadeusz jakby nie dosłyszał.

- Mówię, że został pobity wcześniej. Mniej więcej tydzień przed tym drugim skatowaniem. Świadczą o tym wyraźne ślady na ciele.

- Nie ma pan wątpliwości? - Jurga wołał się upewnić.

Chwałkiewicz spojrzał na niego ze złością.

- Przepraszam - wybąkał Jurga.

- Tamto pobicie nie było tak poważne w skutkach jak to drugie. Ciekawy tryb życia wiodą współcześni studenci historii sztuki.

- Ta dzisiejsza młodzież...

Jurga mrugnął do Kosteckiego po udanej imitacji głosu Banasika. Ale ten wcale się nie uśmiechnął.

Pożegnawszy się z doktorem, wyszli przed szpital.

- Co robimy? - zapytał Jurga.

- Jedziemy do akademika.

Miasteczko studenckie było dosyć blisko szpitala, toteż podróż nie zajęła im dużo czasu. Adres mieli

od Chwałkiewicza.

W dyżurce czuwała starsza pani, która była gotowa do natychmiastowego skoku, by niczym Rejtan zacząć bronić wejścia.

- Jesteśmy z milicji. - Kostecki powiedział to takim tonem, że kobieta natychmiast stanęła na baczność.

Jurga pro forma mignął dokumentem, ale nie było to zupełnie potrzebne.

- Jesteśmy zainteresowani obywatelem Pudlarzem.

- O Jezus, taka tragedia! Taki dobry chłopak. Taki dobry. Co by te łotry smażyły się w piekle!

- Rozumiem, że znała pani obywatela Pudlarza - stwierdził Jurga.

Starsza pani nie mogła się uspokoić. Po dłuższej chwili odpowiedziała.

- Znałam. Znam! Przecież on żyje! - zawołała z godnością.

- Oczywiście. Żyje. I miejmy ufność w Panu, że się obudzi.

Kostecki pokiwał z uznaniem głową. Robiąc przeróżne interesy w interiorze PRL-u, sierżant znał szereg powiedzonek księżowskich. Zresztą skoro urodził się w Polichnie, musiał je znać niemal od urodzenia.

- To dobry chłopak. Zawsze kulturalny. Dobrze się uczył. Mało pił. Często, jak koledzy libację robili, to przychodził do dyżurki i się uczył. Dużo wiedział. Dużo czytał. Taki syn to skarb, nie jak ci...

Strażniczka kluczy do akademika pogroziła pięścią jakimś wyimaginowanym osobnikom.

- Czy mogłaby pani nam otworzyć jego pokój? - zapytał uprzejmie Tadeusz.

Po chwili byli w pokoju Łukasza. Kąt pobitego zwracał uwagę dużą liczbą książek. Znaczna ich część dotyczyła historii sztuki. Poza tym pokój niczym się nie wyróżniał.

- Jak się nazywa kolega z pokoju? - zapytał sierżant.

- Dariusz Chętkowski. Z Koszalina. Dzisiaj ma krótko zajęcia, niedługo powinien być.

- Mówiła pani, że Łukasz nie lubił pić i był spokojny.

- Czasem coś tam wypił, ale raczej mało. Nigdy się nie awanturował. Spokojny.

- Nigdy? Nie wracał nocami? Nie bił się?

- Nigdy! Spokojny chłopak, powiadam.

- Milicja nigdy o niego nie pytała?

- Nigdy!

Zapadła cisza.

- To może zrobię panom herbaty?

- Chętnie. Poczekamy na tego Dariusza.

Po mniej więcej godzinie do akademika wrócił Chętkowski, kolega Łukasza z pokoju. Był raczej wysokim młodzieńcem. W okularach i z dwudniowym zarostem.

- Dobrze pan znał Łukasza Pudlarza? - zaczął Jurga.

- Tak. Lubimy się. To straszne, co się wydarzyło.

- Czy pana kolega lubił się bić?

- Skąd! Jest spokojnym człowiekiem.

- Tydzień przed feralnym zdarzeniem został pobity. Wie pan coś o tym?

- Pierwsze słyszę.

- Nie mówił nic panu?

- Teraz rzeczywiście coś kojarzę. Twierdził, że dostali wycisk na zajęciach wuefu. No tak, mówił, że ma zakwasy i go mięśnie bolą.

- Co pan studiuje?

- Polonistykę. Łukasz dużo czytał. Lubiliśmy dyskutować.

- Wie pan, co Łukasza najbardziej interesowało? Interesuje. - Tadek cały czas myślał o pobitym jak o denacie.

- Tak. Dużo o tym mówił. Chciał się specjalizować w malarstwie ikonowym. Wiele na ten temat wiedział, pasjonowało go to. Twierdził, że to będzie temat jego pracy magisterskiej.

Kostecki wymienił z Jurgą wymowne spojrzenie.

- Czy miał może jakąś sympatię?

- Kiedyś tak. Nazywa się Katarzyna Bednarek. Chyba germanistykę studiuje, ale nie wiem dokładnie. Od ponad roku się nie spotykają. Czy jest ktoś inny w jego życiu? Nie mam pojęcia. O prywatnych sprawach mało rozmawialiśmy.

- A czy ktoś mu groził? Miał jakichś wrogów?

- Nie. Nie kojarzę, by się z kimś pokłócił. Spokojny był bardzo.

- A ta muzyka? Chyba agresywni ludzie tam chodzą. Na takie koncerty.

- Nie jestem ekspertem. Najbardziej lubię Bruce'a Springsteena. Ale z tego, co wiem, to raczej normalni ludzie tam chodzą. Fakt, czasem po łbie można dostać. Czasem po ryju gitowcy dadzą. Ale oni na hipisów polują. Zresztą ilu tych gitów jest? Nie to, co kiedyś. Tak parę lat temu...

- Zna pan kogoś, kto z Łukaszem na te koncerty chodził?

- Niestety nie znam. Zresztą Łukasz bywał na tego typu imprezach incydentalnie. Przynajmniej tak to wyglądało z mojej strony.

Pożegnawszy studenta z Koszalina, wyszli z akademika. Powoli zbliżała się pora późnego obiadu. Jurga twierdził, że nawet spóźnionego.

Jadąc do milicyjnego hotelu, gdzie mieli być zakwaterowani, nagle ujrzeni tłum. Ludzie kłębili się wokół przyczepy campingowej. Instykt Jurgi nakazał się zatrzymać.

Od budki odchodzili szczęśliwi ludzie z hot dogami w rękach.

- Ja pierdołę. - Sierżant stał jak zahipnotyzowany.

- Przecież nie mamy kartek. - Tadeusz próbował zachować zimną krew.

- One nie są na kartki.

Rzeczywiście. Hot dogi były dostępne bez kartek.

Natychmiast stanęli w kolejce. Jurga z niepokojem obserwował znikającą górę parówek. Gdy przed nimi było jeszcze pięć osób, zaczął nerwowo liczyć kiełbaski. Zaciskał zęby i gryzł palce. Gdy stanął za ladą, usłyszał wyrok.

- Skończyły się. - Sklepiarka bezlitośnie wbiła sztylet w serce sierżanta.

- Nie, błagam, chociaż jednego.

- Nie ma.

Nagle z głębi przyczepy dosłyszeli głos.

- Sprzedaj mu. Mnie boli brzuch i dzisiaj nie zjem.

Oczy Jurgi, który chwilę później trzymał aż dwa hot dogi,

świeciły się jak jupitery na stadionie Videotonu. W ciągu chwili obie porcje poznały smak soków trawiennych w Jurgowym żołądku.

- To rozumiem! Stolica. Pierdolę tę Łódź. Jebana wiocha.

- Sierżant był bezlitosny dla prząsności miasta włókniarzy.

- Ciekawe, ile kurwy w Victorii biorą? - z innej beczki zapytał Tadek.

- Może biorą tylko dewizy? - Jurga nie był zorientowany.

- Jak by nie było, stolica.

Tymczasem niebo nad Warszawą robiło się ciemne. Zmierzchało. Pojechali wreszcie do hotelu.

Mimo że zjedli hot dogi, po całym dniu byli głodni. Toteż hotelowa kolacja zniknęła w błyskawicznym tempie. W pokoju wypili wódkę z pewexu, którą Kostecki nabył za dolary, które dostał wczoraj za bilet. Jurga został w pokoiku. Zaś Tadeusz zszedł do sali telewizyjnej. Przed telewizorem kłębił się tłum funkcjonariuszy z różnych części kraju.

Gdy Surlit strzelił pierwszego gola i dał Widzewowi prowadzenie, pojawiła się iskierka nadziei. Co prawda do końca meczu pozostało niewiele minut, lecz dla takiej drużyny jak Widzew nie było rzeczy niemożliwych. Czerwono-biało falanga zbierała siły do natarcia, gdy z trybun w kierunku bocznego sędziego poleciała butelka. Na nieszczęście trafiła go w głowę. Mecz przerwano. Mijały minuty. Widzewski animusz tracił na wartości. Gdy wreszcie sędzia wznowił mecz, gola strzelił Surlit, ale zaraz potem Platini. Rozczarowany Kostecki powlókł się do pokoju. Remis dwa do dwóch oznaczał, że w Atenach z HSV zagra Juventus. Szkoda.

Rano po śniadaniu z werwą udali się po ekspertyzę ikony. Od jakiegoś czasu MO wysyłała do społeczeństwa komunikat, że stoi na straży dobra narodowego. Ochrona zabytków miała poprawić wizerunek milicji w oczach społeczeństwa. Pojawili się eksperci z prawdziwego zdarzenia. O kradzieżach pisały media. Temat stawał się głośny, gdy cenzura przepuściła informacje o skali strat, jakie polskiej kulturze przyniosły rządy komunistów. Straty spowodowane przemytem i zwyczajnym rabunkiem były większe niż podczas II wojny światowej.

Gdy łódzcy milicjanci przyszli, czekał na nich major Świerczyński. Oprócz stopnia majora miał też naukowy stopień doktora.

- To autentyk. Nie budzi to żadnych wątpliwości. Ikona jest najprawdopodobniej dziełem Pawła z Radymna. To siedemnastowieczny malarz ikon. Jeden z wybitniejszych twórców z tego okresu. Jest bardzo cenna. Jej wartość na rynkach zachodnich może dochodzić do pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Zakładamy, że za dwadzieścia do trzydziestu tysięcy handlarze sztuki wzięliby ją od ręki. Nie jest kradziona. Nie ma w dokumentach śladu, by ktoś chciał ją przemycać.

- A skąd mogła się znaleźć w Łodzi?

- Nie mam pojęcia. - Major uśmiechnął się i rozłożył ręce.

Po południu wracali do Łodzi. Tym razem prowadził Tadeusz.

- Zupełnie nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - przyznał Tadek.

- Sądzę, że nałożyły się dwie sprawy. Ubaka zamordował

starych Pudlarzy. Ich syn zaś wszedł w posiadanie cennej ikony, którą od kogoś wydebił za grosze. Ten ktoś się zreflektował i mu przypierdolił. Nie wiemy, czy drugi łomot, ten na koncercie, też miał z tym związek. Może nie. Może to po prostu był przypadek.

- Za dużo tych przypadków. Przypadek był tylko jeden. Podczas akcji „Posesja” znaleźliśmy ikonę. Tak, to był prawdziwy przypadek.

- Co masz na myśli?

- Moją uwagę zwraca jeden ważny szczegół. Pudlarze byli związani. Ubaka nie wygląda jak jakiś King Kong. Nie byłby w stanie związać dwójki dorosłych i zdrowych ludzi przed pięćdziesiątką. To prostu niemożliwe. Andrzejewski twierdzi, że denaci nie zostali niczym otumanieni. Nie było eteru z chloroformem. Nie było żadnych substancji, które mogły ułatwić napastnikowi związanie. Czyli albo dali się związać dobrowolnie, co jest trudne do wytłumaczenia, albo zostali związani przez co najmniej dwóch napastników.

- Tymczasem została wiertarka z odciskami tylko jednego bandyty.

- Właśnie. To mnie zastanawia. Obejrzałem wszystkie zdjęcia Pudlarzy. Na żadnym nie było Ubaki. Ubaka twierdzi, że ich nie znał. Nie było nas w Łodzi. Byli przesłuchiwani sąsiedzi i znajomi ofiar. Może ktoś z nich potwierdzi, że zamordowani znali Ubakę.

- A może nie potwierdzą.

- Tak myślę. Że nikt nie potwierdzi.

- I co w związku z tym?

- Uważam, że bandyci torturowali Pudlarzy po to, żeby się dowiedzieć, gdzie jest ikona. Tydzień wcześniej się

włamali i jej nie znaleźli. Wrócili, by wydobyć informację za pomocą tortur.

- Pudlarze nic powiedzieć nie mogli, bo ikonę wziął syn.

- Który leży w śpiączce, a wcześniej był pobity.

- To się łączy. Ale pamiętaj o ważnej sprawie. Pudlarze musieli znać napastnika. Wpuścili morderców do domu. Nie było włamania. Więc jeżeli to włamanie dokonane tydzień przed śmiercią było rekonesansem, to po co w ogóle miało miejsce? Nonsens.

- Jesteśmy w dupie.

- Niezupełnie. Mamy Ubakę.

- Dobrze powiedziałaś. Zamiast mordercy mamy Ubakę.

- I wiertarkę z jego odciskami palców.

Rozdział 20

Sobota dwudziestego trzeciego kwietnia była pięknym dniem. Kostecki i Jurga zaparkowali samochód przed pegeerowskim blokiem. Państwowe Gospodarstwo Rolne w Bogdance prosperowało dobrze - przynajmniej oficjalnie - a mimo to wszystkie bloki wybudowane wśród pól i lasów były szare.

Po kilku minutach czekania weszli do kwatery Stefana Pajaka.

- Widzę, że sobie radzisz - powiedział Tadek, zrzucając z krzesła żeńskie majtki.

Pajak dopiero dochodził do siebie. Wizyta kolegów tyle go ucieszyła, co zdziwiła.

- Prezent. - Jurga zabrzączał butelkami z piwem z Okocimia.

Rzut oka na lokum podporucznika wystarczył, by stwierdzić, że Pajak nie zwykł zmieniać przyzwyczajień. Po łóżkiem obok kolejnych kobiecych majtek - większych niż te, które zrzucił z krzesła Kostecki - walały się butelki po tanim winie. Na stole kłębił się stos książek o tematyce wszelakiej. W kuchni dogasał żywot starego chleba z boczkiem.

- Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

- Ochujałeś? - wycedził Jurga. - Gliniarzami jesteśmy. A ty jesteś podporucznikiem MO, który mieszka w PGR Bogdanka. To chyba jedyny taki przypadek w PRL.

- No co? W Brzezinach nie mieli akurat służbówki. A tutaj ludzie mili. Serdeczni. Jajek przyniosą. Boczku, kiełbasy. A i do kiełbasy coś się znajdzie. Zostaniecie do jutra?

- Po to przyjechaliśmy.

- Złapałeś jakiegoś bandytę? - zapytał Tadeusz.

- Ta, jasne. Taki jeden rower podpierdolił. Powiedział, że do kobity się spieszył. To go puściłem. I tak od żony wałkiem dostanie. Co będę ludziom problemy robił.

- No i dobrze. Milicja powinna radzić i ostrzegać, a nie zamykać za podpierdolenie roweru.

- Poznasz nas z miejscowymi...

- Dziewicami - dorzucił Jurga.

- Spierdalajcie. Najpierw pokażę wam okolicę. A wieczorem idziecie ze mną na wesele. Tam poznacie dziewice i niedziewice. Ale najważniejsze, że napijemy się wódki.

- Słuchaj, Pająk. - KostECKI spoważniał. - Jedna sprawa. Poznajesz?

Pająk patrzył uważnie na zdjęcia. Drapał się po głowie.

- Oczywiście. To ten gość, którego przesłuchiwałem. Sudański? Jakoś tak się nazywał.

W pokoju Pajaka nastąpiła cisza.

- Jesteś pewien?

- Jasne. Na fotografii jest młodszy, ale to na pewno on.

KostECKI już chciał wracać do Łodzi. Jurga miał inne plany.

- I co ty w tej Łodzi będziesz robił? Zawsze jesteś w gorącej wodzie kąpany. Pójdziemy na wesele. Napijemy się jak ludzie. Pewnie dobry garmaż będzie. Pomyśl.

Argumenty Jurgi były logiczne. Kostecki został. Co nie zmieniało faktu, że intensywnie myślał. Powoli analizował wszystkie wątki śledztwa. Był jakiś wspólny mianownik dla śmierci Czołczanieckiej i Pudlarzy. Sudański.

Kostecki myślał. Z drugiej strony, to, że Sudański był na starych fotografiach, jeszcze o niczym nie świadczy. Znali się z duszpasterstwa. Jeździli w góry na obozy z Miecznikowskim. Po latach Sudański odnowił znajomość z jezuitą, a Pudlarze nie. To tyle. Jurga ma rację. Nie ma czym się podpalać. Jednak jeżeli Sudański odnowił znajomość z Pudlarzami... Jeżeli był w ich domu...

Kolejnym wątkiem, który łączy obie sprawy, jest motyw starych obrazów. U Pudlarzy w grę wchodziła cenna ikona. U Czołczanieckiej zginął obraz z zakonnikami. Nie znamy jego wartości. Zakładając, że jest o połowę mniej warty od ikony, to robi się z tego i tak ładny grosz. W sytuacji, gdy średnia pensja Polaka w PRL to dwadzieścia do trzydziestu dolarów, suma dwudziestu tysięcy dolarów przyprawia o zawrót głowy.

Kostecki myślał. Pająk opowiadał o nowych znajomych z Bogdanki i Brzezina. Zaś Jurga intensywnie się zastanawiał, jak może połączyć interesy księdza z Koluszek z potrzebami hodowcy pieczarek spod Polichna.

Zbliżał się wieczór. Zajrzeli do kościoła, gdzie młoda para zawierała związek małżeński. W rytmie kościelnych pieśni Kostecki układał plan działania. Gdy ksiądz składał nowożeńcom życzenia, porucznik miał już w głowie pewien szkic. O niektórych planach nie chciał mówić Banasikowi.

Z czystą głową poszedł na wesele.

Rozdział 21

W poniedziałek Banasik i Złamaś wysłuchali z uwagą rewelacji na temat ikony. Kostecki i Jurga zdali relację odnośnie do Łukasza Pudlarza. Na koniec powiedzieli o Sudańskim. Ten wątek budził najmniejsze wątpliwości.

- Cóż. Znali się z duszpasterstwa. Jeździli w góry z Miecznikowskim. Nie widzę związku - mówił Banasik.

- A jeżeli odnowił relację z Pudlarzami po latach? - Tadeusz drażył temat.

- To co, że odnowił?

- Sudański łączy obie sprawy. Wiedział o tym, że mecenas miał cenny obraz. Jeżeli wiedział, że Pudlarze byli w posiadaniu ikony, to...

- Ikona była w komórce, którą wynajmował syn Pudlarzy. Chyba tylko on o niej wiedział. Czyli Sudański nie mógł wiedzieć. To ślepy trop, poruczniku. Mamy mordercę. Jest narzędzie tortur z odciskami palców. Wątek ikony może mieć jakiś z tym związek, ale nie jest to związek główny.

- To w takim razie proszę o zgodę na analizę połączeń telefonicznych z zakładami pracy ofiar. Jeżeli Sudański do nich dzwonił, to być może nawiązali ze sobą kontakt.

Banasik westchnął. Cenił Kosteckiego, chociaż niespecjalnie go lubił. Czuł, że porucznik poczuł się zagrożony błyskotliwością Złamasia i za wszelką cenę chce zaimponować, cudując przy właściwie zamkniętym śledztwie. Ustalenie połączeń telefonicznych w miejscu

pracy denatów nie było specjalnie trudne. Banasik postanowił, że może to zrobić. Na wszelki wypadek.

- Jest jeszcze jeden problem. Ikona nie została ukradziona. Jest legalną własnością Pudlarzy. Łukasz Pudlarz, mimo beznadziejnego stanu zdrowia, żyje. Komórkę, którą wynajmuje, opłacił do końca roku. Musimy oddać ikonę.

- Co? - Złamaś niemal krzyknął. - Mamy oddać do komórki ikonę wartą pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

Kostecki wziął głęboki oddech. Popatrzył hardo na Złamasia i powiedział:

- Czy wyobrażacie sobie, co się stanie, gdy określone siły polityczne poinformują Wolną Europę i Głos Ameryki o tym, że milicja bezprawnie przywłaszczyła prywatne mienie zamordowanych obywateli, których syn, pobity przez nieznanych sprawców, leży w szpitalu? Przecież Kiszczak nam nogi z dupy powyrywa, a jemu urwie chuja Jaruzelski.

- Poruczniku Kostecki! - Banasik uderzył pięścią w stół.

- Zrozumiałem te wysublimowane wywody - z nutą wyższości w głosie odparował Złamaś.

- Jutro sporządzimy protokół i zawiesimy ikonę w komórce. Dura lex sed lex. - Banasik czasem lubił takie pompatyczne teksty.

Gdy odprawa się kończyła, Kostecki spojrzał w oczy Złamasiowi. Tadeusz nie był strachliwy, ale teraz strefił.

Rozdział 22

Ustalenie, kto telefonował do Andrzeja Pudlarza, było banalnie proste. Na polecenie milicji bilingi w ciągu godziny znalazły się przed Kosteckim. Pomagał mu Jurga. Sprawa szybko się wyjaśniła. Kilka dni po włamaniu Sudański dzwonił do Pudlarza. Dzwonił do pracy, gdyż Pudlarze, jak przyniatająca większość Polaków, nie mieli telefonu. Rozmowa trwała siedemnaście minut.

Poszukiwania tropów telefonicznych w przypadku Pudlarzowej nie przyniosły rezultatu. Sudański do niej nie dzwonił.

- A więc jednak miałem rację. - Kostecki był zadowolony.

- To, że po kilkunastu latach kumpel dzwoni do kumpla, o niczym nie świadczy. - Jurga był sceptyczny. Argumenty Tadeusza niespecjalnie do niego trafiały.

- A ja ci mówię, że ta sprawa mi śmierdzi. Nie twierdzę, że Sudański zabił, ale uważam, że ten telefon miał związek ze śmiercią Pudlarzy.

- Najlepiej sprawdzić: po pierwsze - alibi Sudańskiego, a po drugie - czy zna Ubakę.

- Rzeczywiście, gdyby znał Ubakę, sprawa by się kleiła. Sudański jest silny, postawny. We dwóch mogliby rozprawić się z Pudlarzami i ich związać. Szukali ikony. Pudlarze bywali w Bieszczadach, na Pogórzu Przemyskim, w Beskidzie Niskim, Sudański o tym wiedział. W Bieszczadach byli nawet razem. Może miał wiedzę, że

ta ikona u nich jest. To znaczy, że jest w rodzinie. Nie wiedział jednak o tym, że syn ukrył ją w komórce. Torturował ich wraz z Ubaką, a potem zabił.

- Tylko dlaczego zostawili wiertarkę? - Jurga wcielał się w rolę adwokata diabła.

- Kurwa, tego nie wiem. - Tadeusz czuł, że jego koncepcja ma luki.

Na chwilę zapadła cisza. Przerwał ją Jurga.

- Czy ty naprawdę chcesz odwiesić ikonę do komórki?

- Oczywiście. Zrobię to osobiście. Przygotowałem już dokumenty. Na wieczór jestem umówiony z przedstawicielem administracji. Muszą podpisać dokument. To ich nieruchomość. Takie są procedury. Takie jest prawo.

Po wyjściu z komendy Kostecki pojechał na Helską. Posejdon i Kafla spotkał w bramie. Pilnowali rozwalającej się framugi. Obaj się zjeżyli, ale zostali na miejscu. Po akcji „Posesja” mieli w rękach same dwójki.

Kostecki podszedł do nich wolno. Spojrzał na nich chojrackim wzrokiem i zakomunikował.

- Dzisiaj o dwudziestej pierwszej. Suwalska cztery. Spędzicie nocleg w pewnym pomieszczeniu. Zamknę was w nim. Rano wypuszczę. Jeżeli ktoś będzie chciał wejść do pomieszczenia, to macie zrobić wszystko, by zapamiętać jego ryj. Jeżeli nie dacie dupy, to załatwię wam powrót do waszej nory i uwolnię Fuńka. Nowy sprzęt do bimbru też załatwię. Ja też coś muszę pić. Zrozumieliście?

Menele byli tak zdziwieni, że nic nie powiedzieli.

- Jeżeli dacie dupy, to w ciągu godziny radiowóz zawiezie was do Łęczycy lub Ozorkowa. Ty, Posejdon, zamiast

Fuńkowej kurwy diabła Borutę wydymasz. A ty, Kafel, wiewiórki w Sokolnikach będziesz ruchać w dupę. Pytam po raz ostatni. Zrozumieliście?

- Zrozumieliśmy, panie poruczniku. Wszystko. - Posejdon był koncyliacyjny.

Wieczorem Kostecki dopełnił formalności z przedstawicielem administracji. Dokumenty zostały podpisane. Urzędnik zamknął komórkę na klucz i opieczętował drzwi. Dwie godziny później do pomieszczenia wślizgnęli się Kafel i Posejdon. Kostecki zaś zajął miejsce w suterenie z oknem na podwórko. Lokatorzy za część dolarów z biletu na mecz gotowi byli wynieść się z mieszkania nie tylko na jedną noc, ale na cały miesiąc. Tadeuszowi jedna noc w zupełności miała wystarczyć.

Ulica Suwalska wraz z pobliską Kruczą, Grabową i Sosnową były enklawą łódzkiej patologii. Do dwudziestej trzeciej niemal w każdym domu trwała impreza. Tutaj nikt nie martwił się brakiem kartek na alkohol. Denaturat robił za koniak, autowidol za wódkę, woda brzoza za ekskluzywne wino. Do północy biesiadnicy wychodzili na podwórko, by skorzystać z bardachy. Kostecki palił papierosa za papierosem, by zagłuszyć smród moczu, rzygów i gówna.

To, że balangi przechodzą w stan wyciszenia, można było wywnioskować z tego, iż lokatorzy, zamiast fatygować się na podwórko, srali, rzygali i szczali prosto z okien swoich przytulnych mieszkańek.

Około drugiej zrobiło się cicho. Kostecki, chcąc zdusić zmęczenie, sięgnął po prezent od majora Błochina. Alkohol

wyczulił zmysły. Tadeusz był pod wrażeniem przenikliwości Łukasza Pudlarza. Chłopak ukrył ikonę wartą fortunę wśród lumpiarni i wykolejeńców. Funkcjonariusze mówili, że komórka nie była nawet zamknięta na kłódkę. Genialne posunięcie. Ikona była ukryta wśród ludzi żyjących w permanentnym stanie kolizji z prawem. Jednocześnie nikt z tych bandytów, recydywistów i złodziei nie był w stanie docenić wartości dzieła. Ci, którzy szukali ikony, nigdy by nie wpadli, że jest schowana w siedlisku menelstwa.

Nagle na podwórku pojawiła się postać. Szła śmiało w stronę komórki, w której siedzieli Kafel z Posejdonem. Postać bez większego kłopotu wyrwała rachityczną kłódkę. Kostecki był już na podwórku. Skoczył ku postaci jak pantera. Ze środka dochodziły krzyki żuli, włamywacz w mig zrozumiał, że jest otoczony. Natychmiast wspiał się na niski daszek, skąd dalej przerzucił się na dach kamienicy. Był wysportowany. Tadeusz skoczył za nim, ale nie miał większych szans. Był spóźniony o kilkanaście sekund. Zeskoczył na podwórzec.

- Widzieliście go? - zapytał obrońców komórki.

- Nie. Ciemno było - Posejdon zaskamlał w swoim stylu.

- Nic nie szkodzi. Teraz idziecie do budki zadzwonić na MO. Byliście świadkami włamania. Zachowaliście obywatelską postawę. Przecież coś musicie zrobić, by zdobyć przychylność milicji. Budka z czynnym telefonem jest przy szkole muzycznej. Dzielnicowy pilnował jej cały dzień. Idźcie. Ja tu będę czekał.

Po mniej więcej kwadransie przyjechał radiowóz. Kapral Nita był bardzo zdziwiony, widząc porucznika u boku żuli w dzielnicy, w której po zmroku nikt normalny nie chodził.

- Próba włamania. Ci dzielni ludzie uratowali cenny obraz będący dziełem sztuki i pamiątką dziedzictwa narodowego. Akurat przechodziłem. Słyszając krzyki, udzieliłem wsparcia lojalnym obywatelom. Powinniśmy być dumni, my, milicjanci ludowej ojczyzny, że mamy takich obywateli. Swoją postawą społeczeństwo Łodzi pokazało, że popiera normalizację generała Jaruzelskiego.

Kapral Nita, olbrzym o niezbyt rozumnym spojrzeniu, był srodze zdziwiony. Bardziej się spodziewał karczemnej awantury niż obrony cennego dzieła sztuki przez ludzi o twarzach nieskalanych myśleniem.

Na polecenie Kosteckiego wszystko dokładnie zanotował. Następnie wraz z Kosteckim i dwójką bohaterów wsiadł do radiowożu.

- Najpierw jedziemy na Helską. Odwieziemy naszych obrońców dobra narodowego do domu. Potem na komendę. Musimy zabezpieczyć obraz. Rozumiecie, Nita.

Nita nie rozumiał ni w ząb, ale skrupulatnie wykonywał polecenia porucznika.

Po spisaniu wszystkich dokumentów Kostecki wreszcie znalazł się w swoim mieszkaniu. Było już widno, gdy odkorkował butelkę, którą dostał od gospodarzy sobotniego wesela. Wypił duszkiem jedną czwartą i położył się spać.

Rozdział 23

W komendzie na Lutomierskiej Kostecki zjawił się po kilku godzinach. Banasik żądał wyjaśnień. Tadeusz uczynił zadość potrzebom przełożonego.

- Wracalem od znajomych i na podwórku przy posesji na ulicy Suwalskiej usłyszałem hałasy i wzywania pomocy. Okazało się, że dwaj obywatele zauważyli, że miało miejsce włamanie do komórki i jakiś osobnik wynosi z niej obraz. Domyślając się próby kradzieży, postanowili napastnika zatrzymać i głośno wołali o pomoc. Wspólnie przepłoszyliśmy bandytę. Następnie nakazałem obywatelom zadzwonić pod numer dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem, a sam przypilnowałem ikony.

Banasik patrzył na Kosteckiego spode łba. Było oczywiste, że nie dowierzał słowom porucznika.

- Zadziwiający zbieg okoliczności - powiedział kapitan.

- Prawda? Na szczęście wszystko się dobrze skończyło.

- Teraz, gdy miała próba kradzieży ikony, sytuacja z jej ponownym zawieszeniem w komórcie wygląda inaczej.

- Tak. Mamy prawo ją zabezpieczyć. Komórkę do końca roku wynajmuje Łukasz Pudlarz. A skoro znajduje się on w stanie krytycznym w szpitalu w Warszawie, nie możemy go nawet przesłuchać na okoliczność włamania.

- Naprawdę tę całą hucpę zrobiłeś po to, żebyśmy mogli zabezpieczyć ikonę? - spytał Jurga.

Siedzieli w Parku Śledzia, który oficjalnie nazywał się parkiem Staromiejskim. Nazwy tej żaden z łodzian nie używał. Zaufana barmanka z budki z piwem stojącej nieopodal komendy dała cynk, że piwo jest. Co prawda było podłe, lokalnej proveniencji, ale było. Na okocimskie nawet się nie nastawiali. Trzymając trunek ukryty w małych butelkach, grzali się w słońcu.

- Nie tylko po to - odpowiedział Tadeusz.

- To o co jeszcze chodziło?

- Cały czas wracam do wątku związania Pudlarzy. Ubaka nie byłby w stanie tego zrobić. Jeżeli jest on rzeczywiście mordercą, to ktoś musiał mu pomagać. Tymczasem Ubaka nie przyznaje się do winy. Nic nie wspomina o ewentualnym współniku. Na Ubakę jest hak nie do podważenia w sądzie. Wiertarka z jego odciskami palców.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że nie wierzę w winę Ubaki. Ubaka nie jest wyznawcą islamu. Pije alkohol. Jego znajomi zeznali, że ma słabą głowę. Często się upijał niewielką ilością.

- Szczęściarz.

Kostecki zignorował żart Jurgi.

- Cóż jest prostszego od włożenia pijanemu Murzynowi wiertarki w rękę? Przecież dziury w ścianie czy w kolanie robi się nie samą wiertarką, ale wiertłem. Wyjęcie wiertła zajmuje kilka chwil.

- Myślisz, że Ubaka jest wrabiany?

- Ubaka to idealny kandydat na mordercę. Jest obywatelem Gabonu. Myślisz, że ambasada zainwestuje w dobrego adwokata? W takiego Głogowskiego albo Kerna? Gdyby Ubaka był uwikłany w sprawę polityczną, to pewnie

sami by się zgłosili. Ale mamy sprawę typowo kryminalną. Morderstwo z psychopatycznym tłem. Z torturami. Odciski palców na wiertarce. Ubaka nie ma alibi. Żaden adwokat się tym na poważnie nie zajmie. Jeżeli Ubaka będzie miał szczęście, może wybroni się od stryczka.

- Nie wiem, czy to takie szczęście. Wyobrażasz sobie Murzyna w naszym pierdłu?

- Masz rację. Dla samego Ubaki będzie chyba lepiej, jak go powieszą.

- Zostawmy Ubakę. Jaki jest związek z ikoną?

- Nie wierzę, że młodego Pudlarza aż dwa razy pobili gitowcy. Dwa razy w ciągu tygodnia, w tym raz ze skutkiem prawie śmiertelnym. Moim zdaniem bandyci torturowali Pudlarzy po to, by ci wydali, gdzie jest ikona.

- Warta fortunę. Jak na nasze realia - dopowiedział Jurga

- O tym, że gdzieś jest ukryta, wiedzieli, bo wcześniej się włamali.

- Tymczasem ikonę zabrał syn.

- I schował w tylko sobie znanym miejscu.

- Myślisz, że Pudlarze nie zdawali sobie sprawy z realnej wartości obrazu?

- Być może. Zawodowo zajmowali się sprawami niezwiązanymi ze sztuką.

- Przecież nawet pracownik Desy nie znał jej wartości.

- No właśnie. Dopiero w Warszawie ją ustalono.

- Na rynku jest dużo ikon, niektóre mają niską wartość.

- Tak, tych naprawdę cennych jest mało.

- Nic dziwnego, że Pudlarze nie traktowali jej z jakąś szczególną atencją.

- Dopiero ich syn, student historii sztuki, się nią zainteresował.

- Ciekawe, skąd ją mieli.

- Nie mam pojęcia. - KostECKI westchnął.

- Byli turystami. Zwiedzali kraj. Bywali w Bieszczadach i Beskidzie Niskim.

- Też o tym myślałem.

- Trofeum turystyczne?

- Być może. Zauważyli ją u jakiego chłopca i przejęli za flaszkę wódki.

- Traktując ją w kategoriach pamiątki z wyjazdu.

- Niewykluczone.

Nasączyli gardła piwem. KostECKI wrócił do rozmowy:

- W tej sprawie jest jeszcze coś, co mnie zastanawia.

- Ten Sudański?

- Tak. Znał Pudlarzy. Tuż przed ich śmiercią się z nimi kontaktował.

- Może po prostu chciał odgrzać znajomość.

- Może. Ale Sudański jest jedynym ogniwem, które łączy morderstwo Czołczanieckiej z zabójstwem Pudlarzy.

- Jedynym?

- Właśnie chciałem o tym powiedzieć. Drugim wątkiem jest ten obraz z osiemnastego wieku.

- Nasz punkt zaczepienia.

- Tak. Zwróć uwagę, jak mecenas i jego żona oszczędnie o tym obrazie mówili.

- Może nie był cenny - zasugerował Jurga.

- Gdyby nie był cenny, nie zostałby skradziony.

- Właściwie wiemy o tym obrazie tyle, że przedstawiał

pijanych zakonników.

- Twierdzili, że to rodzinna pamiątka. Tak jak zastawa ze srebra.

- I my to przyjęliśmy do wiadomości.

- Jeżeli był cenny i dla nich ważny, to dlaczego tak mało o nim mówili?

- Teraz to sobie uświadomiłem.

- Jak ktoś traci coś cennego, to raczej o tym dużo mówi.

- Raczej tak. Z drugiej strony najbardziej byli zszokowani zabójstwem staruszki.

- Oczywiście, jest to argument. Jednak jak by nie patrzeć, obraz i ikona nam się łączą.

- I ten Sudański.

Znowu zanurzyli usta w piwopodobnym płynie.

- Jest coś jeszcze. - KostECKI znowu zaczął temat.

- Co?

- Próba włamania się do komórki dziś w nocy.

- Kilka godzin po umieszczeniu tam ikony.

- Właśnie.

- Kto o tym wiedział?

- Dużo ludzi. W komendzie wiedziało sporo osób. Potrzebna była dokumentacja. Zresztą to, że znaleziono ikonę podczas akcji „Posesja”, było głośno komentowane. Wiedzieli pracownicy administracji budynku. Musieli też wiedzieć mieszkańcy kamienicy.

- A to specyficzna grupa ludzi.

- No właśnie.

- I zrobiłeś to całe przedstawienie, bo zdawałeś sobie sprawę, że zaraz ktoś tam się włamie.

- Byłem tego pewien.

- A rozpatrywałeś możliwość, że Ubaka morduje wraz z Sudańskim?

- Na początku rozpatrywałem. Jednak nic nie wskazuje na to, że się znają. Sprawdziliśmy bilingi z zakładu pracy Ubaki, nie ma śladów, że się kontaktował z Sudańskim. Nic o Sudańskim nie mówiła narzeczona Ubaki i jego znajomi. Nie miał żadnego kontaktu do Sudańskiego w notesie. Nie ma podstaw, by sądzić, że się znają. Bywali w różnych miejscach. Mają inne grono znajomych.

- Jednak Pudlarze wpuścili morderców do środka. Może jednak Sudański zamordował z kimś innym?

- Trzeba sprawdzić alibi Sudańskiego. Jednak to mało prawdopodobne.

- Dlaczego?

- Sudański kontaktował się z Pudlarzami. Nie wiemy, czy doszło do spotkania. Załóżmy, że umówili się na feralny dzień. Gdybyś zapraszał kumpla, z którym od lat się nie spotykałeś, to co byś zrobił?

- Nabyłbym wódkę.

- A oprócz wódki?

- Jakąś kolację bym przygotował.

- O jakieś lepsze żarcie byś się postarał.

- Jako żywo.

- Magda by upiekła ciasto.

- W rzeczy samej.

- Założyłbyś koszulę. Może nie garnitur, ale porządną koszulę i długie czyste spodnie.

- Tak bym zrobił.

- Każdy by tak zrobił.

- Ale dlaczego o tym rozmawiamy?

- Bo Pudlarze mieli w lodówce resztki obiadu. W barku nie było nawet wina. Pudlarz miał na sobie podkoszulek. Zamiast długich spodni miał turystyczne spodenki.

- Czyli nie spodziewali się gości.

- Właśnie. Oczywiście Sudański mógł się z nimi spotkać wcześniej, a wtedy przyszedł pod byle jakim pretekstem.

- Ale skąd miał wiertarkę z odciskami palców Ubaki?

Kostecki zaklął w duchu. Nic się nie trzymało kupy. Wszystkie hipotezy miały poważne wady.

- Nie wiem - odpowiedział zrezygnowany.

Zapadła cisza. W oddali słychać było odgłosy meczu. Chłopcy ustawili bramki z tornistrów. Piłka co prawda była do siatkówki, ale była. Zbliżał się czas majowych komunii. Ojcowie chrzestni wykupywali na pniu piłki do kopania. Tak zwane „biedronówki” znikwały z półek sportowych sklepów natychmiast po tym, jak się pojawiły. O ile się pojawiły.

- Musimy przekonać Banasika, że motyw zabójstwa miał charakter rabunkowy i że najprawdopodobniej jest jakiś związek z morderstwem Czołczanieckiej. To nie będzie proste. Banasik jest przekonany, że zabójstwa dokonał Ubaka z pobudek psychopatycznych - stwierdził Jurga.

- Wiem.

- Jest zachwycony Złamasiem.

- Wiem, kurwa.

Kostecki nie lubił nowego kolegi. Do tej pory kapitan - mimo rozlicznych zastrzeżeń do Tadeusza - liczył się z jego zdaniem. Teraz miejsce Tadka zajął Sławoj Złamaś.

- Co to, kurwa, za imię?

- Sanacyjne.

Obaj buchnęli śmiechem. Przed oczami mieli przedwojennego premiera, Sławoja Składkowskiego.

- Mógłby chociaż się Feliks nazywać. Jak Dzierżyński - rzucił Jurga.

- Albo Czesiek. Jak Kiszczak.

- A może jest w porządku?

- Może.

- Patrzymy na niego przez pryzmat Pająka. A przecież nie musi być kutasem.

- Sam mówiłeś, że to kawał chuja.

- Bo ktoś mi powiedział. Wiesz, jacy są ludzie. Utopią człowieka w szklance wody.

- Może masz rację.

Znowu wzięli po łyku ciepłego już piwa. Mecz nabierał rumieńców, czyli chłopcy przestali grać. Gruby, który stał na bramce, został ośmieszony przez mikrej postury oseska.

- Wiesiek Wraga chuj łamaga. - Gruby nie mógł się pogodzić ze stratą gola.

- Zioberek frajerek. - Mały uważał, że gola wbił prawidłowo.

Po chwili obie drużyny zaczęły okładać się pięściami. W ruch poszły kopniaki. Ci najbardziej zdesperowani zaczęli lać się grubymi kawałkami drewna.

Kostecki z niepokojem obserwował dwie puste butelki po jarzębiaku, które szachiści zostawili przy kamiennych szachownicach. Na szczęście chłopcy byli tak zajęci walką, że ich nie dostrzegli.

Na pobojowisko z dezaprobatą patrzył Felicjan Jurga.

- Dobrze, że mam dwie córki - skomentował.

Tymczasem walka toczyła się na całego. Kawalki połamanych ławek stawały się skutecznym orężem.

Kostecki przypomniał sobie słowa dyrektora Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego, Michała Baczyka. Dyrektor na łamach prasy żalił się, że działania parkowych wandalów przynoszą ogromne straty. Na oświetlenie parku Poniatowskiego miasto wydało sześć milionów złotych. Po kilku dniach wszystkie latarnie były zniszczone. Tadeusz pomyślał, że za taką kwotę Widzew mógłby ściągnąć dobrego obrońcę.

Dyrektor Baczyk nie podał, jakie straty przynoszą złodzieje, którzy kradną krzewy i drzewka.

Jurga zauważył, że w maju na poprawę bezpieczeństwa w parkach nie ma co liczyć. Milicja musiała zabezpieczyć nie tylko oficjalne święto 1 Maja, ale również obchody szykowane przez opozycję. By wytrącić z rąk elementów antysocjalistycznych argumenty trzeciomajowe, władza w ograniczony sposób aprobowwała postępowość Konstytucji 3 maja. Problem polegał na tym, że przeciwnicy władzy ludowej nie chcieli dostrzec dobrej woli PZPR i na trzeci dzień maja szykowali antypaństwowe wystąpienia. Teoretycznie czerwiec mógł poprawić statystyki MO w walce z parkowymi wandalami, ale na szósty miesiąc roku planowano pielgrzymkę papieża. Ekstrema Solidarności mogła to wydarzenie wykorzystać do niecznych celów. Milicjanci musieli więc czuwać, by grupki ekstremistów nie wznosiły okrzyków typu: „Dobraczyński do spowiedzi!”.

W lipcu był sezon urlopowy. Za to sierpień był miesiącem podwyższonego ryzyka. Najpierw piętnasty sierpnia, rocznica zwycięstwa nad Armią Czerwoną, potem rocznica porozumień sierpniowych. W tym miesiącu milicjanci po prostu nie mogli skupić się na walce z wandalami.

Zostawał wrzesień. Ale we wrześniu był dzień siedemnasty, który chuliganeria spod znaku tak zwanej opozycji mogła wykorzystać do szkalowania ZSRR.

Październik już raz zaburzył funkcjonowanie PRL.

W listopadzie wypadła rocznica dawnego sanacyjnego święta. A przecież pogrobowcy burżuazyjnej Polski dalej trwali.

W grudniu... Ten miesiąc w ciągu ostatnich trzynastu lat przyniósł dwie udane próby ratowania państwa przed antysocjalistycznymi siłami ciemnogrodu.

Styczeń mógł co poniektórym przypomnieć o wybuchu powstania styczniowego.

Luty zaś oznaczał rocznicę powstania reakcyjnej Armii Krajowej.

Marzec... był groźny niczym grudzień.

Kwiecień zaś, jako miesiąc pamięci narodowej, siły reakcji mogły wykorzystać do mącenia w głowach klasie robotniczej.

- Czyli nie możemy zagwarantować bezpieczeństwa w parkach przez cały rok.

Tę logiczną argumentację Jurgi Kostecki skwitował pociągnięciem ostatniego łyku piwa.

Tymczasem młodzieńcy, zjednoczywszy siły, zaczęli rozmontowywać betonową konstrukcję parkowych szachownic. Lamp rozbijać nie musieli, bo te od dawna były

rozbite. Zadowolili się wyrzuceniem zawartości koszy na śmieci do piaskownicy i wyrwaniem tablic ogłoszeniowych.

Wychodząc z parku, Tadeusz przypomniał sobie, że dyrektor Baczyk zachęcał młodzież szkolną i ZHP do pomocy w walce z wandalami.

Rozdział 24

W nocy Tadeusza znowu męczyły koszmary. Śniła mu się Gryglaszewska, która z wiertarką w ręku rozrywała kolano kapitana Banasika. Gryglaszewskiej pomagał Ubaka. Ubace zaś jego przyszła żona. Żonie Ubaki w sukurs przyszła Kinga. Banasik zamienił się w Tadeusza.

Rano Kostecki pojechał raz jeszcze obejrzyć zdjęcia Pudlarzy.

Tym razem wziął tylko jedno pudełko. To ze zdjęciami sprzed 1975 roku. Przeglądał uważnie. Pierwsze zdjęcia pochodziły z końca lat pięćdziesiątych. Młodzi, jeszcze niebędący małżeństwem Pudlarze dźwigali ogromne plecaki. Kostecki pomyślał, że dzisiejsze wory uzbrojone w lekki stelaż są wielkim sukcesem myśli technicznej Polsportu. Dziwił się materacom. Dopiero dłuższa analiza zdjęć uzmysłowiła mu, że były to materace zrobione ze starych dętek. Jednak i tutaj nastąpiły wyraźne zmiany w możliwościach zakupowych. Archaiczne śpiwory nie miały szans z nowoczesnymi, robionymi na bazie anilany. Butle gazowe... Tadeusz przypomniał sobie wściekłość Eugeniusza sprzed kilku dni. W całym mieście nie można było napęlić butli gazem. Prasa sugerowała, by turyści pomyśleli o maszynkach spirytusowych. Dziennikarze zapomnieli dodać, gdzie można kupić spirytus.

- A więc w temacie butli: plus dla lat pięćdziesiątych - mamrotał do siebie Tadek.

Na zdjęciach widnieli jacyś ludzie. Kostecki nikogo nie kojarzył. Na fotografiach pojawiał się dosyć często jakiś starszy od Pudlarzy człowiek. Kostecki myślał, że to przewodnik, ale postać widać było też na zdjęciach z Mazur i Jury. Na jednej fotografii jegomość stał przy ołtarzu. Był księdzem! Tadeusz przyjrzał się uważnie. To nie był Miecznikowski. Szybko stracił zainteresowanie. Przeglądał dalej. Kolejne zdjęcie ukazywało księdza na tle grupki wiernych. Wśród nich stała chuda jak patyk kobieta. Kostecki długo gapił się na odbitkę. Spojrzał na rewers: „Ogrodzieniec 1959”. Tadeusz nie był pewien, ale chuda panienka przypominała mu Gryglaszewską. Schował fotkę.

W komendzie na Lutomierskiej pokazał zdjęcie Jurdze.

- Chyba tak. - Jurga miał podobne zdanie jak Tadeusz.

- Czyli mamy kolejny związek. Jeżeli ten chuderlak jest Gryglaszewską, to znaczy, że Pudlarze ją znali. Byli razem na jakichś wakacjach z jakimś księdzem.

- Miecznikowski?

- Nie. To na pewno nie jest Miecznikowski. Nie kojarzę klechy.

- Może jakieś duszpasterstwo?

- Pewnie tak. Rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewięć. Mieli po dwadzieścia kilka lat. Studenci.

Potwierdzenie, że na zdjęciu rzeczywiście widnieje Gryglaszewska, zajęło im godzinę. Milicyjny fotograf porównał fotografie pośmiertne z tą z 1959 roku.

- To ona. - Jurga nie miał wątpliwości.

Obaj przyjaciele skonstatowali, że odkryli kolejny problem w śledztwie.

- Sudański łączy śmierć Czołczanieckiej z morderstwem

Pudlarzy. Pudlarze znali Gryglaszewską.

- Ale na pogrzebie nie byli.

Milicja podczas pogrzebu Gryglaszewskiej robiła zdjęcia. Żałobników nie było wielu. Dominowali znajomi z pracy. Żaden z nich nie przypominał Pudlarzy.

- Jaki z tego wniosek?

- Nie znali się dobrze. Być może na wakacjach spotkali się przez przypadek.

- Na innych zdjęciach Pudlarzy była?

- Nie. Tylko na tym jednym. Sprawdziłem bardzo dokładnie.

- Czyli kolejna zagadka: znali się czy spotkali się przez przypadek?

- Oprócz tego zdjęcia nic nie świadczy o tym, że się znali. Gryglaszewska nie miała ich danych w notesie. Sprawdziliśmy wszystkich. Namiaru do Gryglaszewskiej nie miał ani Pudlarz, ani Pudlarzowa. To zdjęcie jest jedynym tropem.

- Dosyć rachitycznym - skomentował Jurga.

Zapadła cisza.

- Mówimy o tym staremu? - odezwał się w końcu sierżant.

- Na razie nie. Błądzimy po omacku. Co mu powiem?

Znowu zamilkli.

- Jadę do mecenas - rzucił Kostecki.

Gabinet mecenas Czołczanieckiego mieścił się na parterze kamienicy przy ulicy Kościuszki. Bliskość prokuratury powodowała, że klientów mecenas szukać nie musiał. Jednak ostatnimi czasy klientela pana Stanisława

wyraźnie się zmieniała. Do 13 grudnia 1981 Czołczaniecki specjalizował się w prawach spadkowych, rozwodowych i temu podobnych aspektach prawa cywilnego. Od czasów wojny z Jaruzelskim musiał drastycznie zmienić swoje prawnicze priorytety.

Dla Kosteckiego mecenas znalazł czas, ale nie był do gościa serdecznie nastawiony.

- Kupa roboty, panie poruczniku.

- Tyle rozwodów?

Czołczaniecki roześmiał się sarkastycznie.

- Od kiedy wyrzucanie z pracy nazywamy rozwodem?

- Wydaje mi się, że w dzisiejszych czasach to praca szuka pracownika.

- Za dużo pan „Głosu Robotniczego” czyta, poruczniku.

Mecenas wskazywał na kupki z dokumentami i mówił:

- To dokumenty Krystyny Kowalczyk. Nauczycielka. Rok temu pana koledzy zgarnęli ją prosto z matury. Jest już na wolności, ale wyrzucili ją z pracy. Te obok to materiały w sprawie Andrzeja Sokołowskiego. Historyk. Też go chcą wyrzucić. Oficjalny zarzut to nieudolność pedagogiczna. Jego wychowawcza klasa w szkolnym konkursie zbierania makulatury zajęła ostatnie miejsce. Ten argument oficjalnie podano w wypowiedzeniu umowy. To tylko wierzchołek góry lodowej. W Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Przemysłu Bawełnianego pracę straciło kilkadziesiąt osób. W innych zakładach jest podobnie. Nie wyrabiamy się z pomocą prawną, a przecież maj za pasem. Pierwszy i - co gorsza - trzeci. Obawiam się, że w najbliższym czasie nie tknę żadnej sprawy rozwodowej.

Na chwilę przerwał. Potem mówił dalej:

- Zresztą co to za problem wyrzucić kogoś z pracy?
Tu jest problem.

Kostecki podążył wzrokiem za gestem mecenasa. Na stole leżał potężny plik dokumentów.

- To dokumenty Urszuli Kalinowskiej. Dostała trzy lata za ulotki. Poszła siedzieć, mimo że była jedynym opiekunem i żywicielem dwójki dzieci. Jedno miało wtedy sześć, a drugie siedem lat. Matce sąd odebrał prawa rodzicielskie, maluchy trafiły do domu dziecka. Ten młodszy dostał od dzieci ksywkę Strażak. Śmieszne, prawda? Matkę pewnie z pierdła wypuszczą, ale praw rodzicielskich nie oddadzą. Ile jest takich spraw w Polsce? Setki? Może tysiące. Być może historia łaskawie oceni Jaruzelskiego. Będą padać argumenty, że reżim był oględny. Będą porównywać go z Pinochetem i mówić, że tortury w Chile to nie to samo co represje w Polsce. Inni będą twierdzić, że zabici w Polsce to pojedyncze przypadki, a w takiej Argentynie były tysiące ofiar. Może nawet pochowają Jaruzela na Powązkach. Teraz niech pan to powie małemu Strażakowi, że generał jest dobry, bo nie zabił mamusi. Myśli pan, że mu to pomoże?

Kostecki nic nie powiedział. Nie czuł się powołany.

Tymczasem mecenas kontynuował:

- Tamta sterta dokumentów to kolegia. Wie pan, poruczniku, na ile w Polsce kolegium wycenia piętnastominutową przerwę w pracy? Na cztery tysiące złotych. Jedna trzecia pensji za piętnastominutowe zaniechanie obowiązków. Gdyby państwo było konsekwentne, to nasze zadłużenie wobec Zachodu spłacilibyśmy w pół roku. Każdy bumelant za każdy kwadrans obijania się w robocie płaciłby cztery tysiące.

Majątek. Ale u nas płacą tylko ci, co nieuzasadnione przerwy w pracy motywują hasłami politycznymi.

Kostecki znowu nic nie powiedział. Tymczasem adwokat podszedł do okna.

- Niech pan spojrzy.

Naprzeciw gabinetu mecenasa trwały prace przy naprawie chodnika. Mieszkający w pobliżu prezydent Niewiadomski dwa razy się potknął o krzywo położone płyty chodnikowe. Raz z tego powodu nie pojechał na polowanie. Mocą swojego urzędu sprawił, że chodnik zaczęto wreszcie naprawiać. Jednak ta niby prosta naprawa przedłużała się w nieskończoność.

Kostecki wyjrzał przez okno. Na miejscu pracy urzędowało dwóch robotników. Trzeci leżał przykryty kufajką.

- Ten leżący to od rana tak leży - odezwał się Czołczaniecki. - Myśli pan, że jest chory tak bardzo, że nie mógł pójść do lekarza?

Kostecki znowu nic nie mówił. Natomiast mecenas - owszem.

- Chodnik jest naprawiany od tygodnia. Ekipa się zmienia, ale nie co osiem godzin. Zmieniają się co dwie, trzy godziny. Wie pan, ile kranów zostało w tym czasie naprawionych? Ile rur powymienianych? Ile pokoi pomalowanych? O innych naprawionych usterkach nie wspomnę. Gdyby tak każde piętnaście minut nieprzepracowane przy chodniku obłożyć karą czterech tysięcy...

- Panie mecenasie. Myli pan adresy. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa.

Czołczaniecki wyciszył swoje żale do ludowej ojczyzny.

- Słucham. W czym mogę pomóc?

- Chciałbym raz jeszcze wrócić do sprawy obrazu. Tego, który ukradli mordercy pana teściowej.

- Już tłumaczyłem.

- Pamiętam, ale będę wdzięczny za jakieś nowe informacje.

- Nie mam nowych informacji.

Tadeusz wziął głęboki oddech. Był przygotowany na taką okoliczność.

- Panie Stanisławie, mogłem pana wezwać do komendy, ale przyjechałem osobiście. Nie chcę z panem rozmawiać jak milicjant z opozycjonistą, tylko jak człowiek z człowiekiem. - Tadeusz starał się nadać głosowi uprzejmy ton. - Prowadzę śledztwo w sprawie kolejnego morderstwa. Być może ono się łączy z zabójstwem pani Czołczanieckiej. Na ten moment mam za mało danych, by mówić więcej. Wiem jednak, że w areszcie siedzi niewinny człowiek. Jeżeli stanie przed sądem, grozi mu kara śmierci. Nie wierzę w Boga, ale ojciec wpoił mi coś, co można nazwać poczuciem przyzwoitości. Nie poradzę sobie z sytuacją, w której niewinny człowiek zawiśnie na stryczku. Dlatego proszę pana o pomoc.

Czołczaniecki z uwagą spoglądał na porucznika.

- Opowiadając panu o tym obrazie, mogę temu człowiekowi pomóc?

- Mam taką nadzieję.

- Tylko że ja naprawdę nie mam za dużo do powiedzenia.

- Interesował się pan wartością obrazu?

- Niestety nie. Przez lata zarabialiśmy z żoną dobre pieniądze. Klientów nie brakowało. Leokadia otrzymywała z Niemiec zadośćuczynienie za niewolniczą pracę podczas okupacji. Nie mieliśmy jakichś kłopotów finansowych. Dawaliśmy sobie radę. Nie interesowałem się, ile ten obraz jest wart. Miał dla nas wymiar rodzinnej pamiątki.

- A skąd się on właściwie wziął w waszej rodzinie? Carscy siepacze zostawili go jak sztućce?

Kostecki zauważył, że pytanie spowodowało zmianę na twarzy mecenasa. Postanowił lekko Czołczanieckiego wesprzeć.

- Panie mecenasie, ta informacja może mieć fundamentalne znaczenie.

Pan Stanisław wypuścił powietrze z płuc i powiedział:

- Nasza córka otrzymała ten obraz od księdza Dygasa z okazji chrztu.

Kostecki poczuł, jak ciężki młot spada mu na głowę. Minęła dłuższa chwila, nim do siebie doszedł.

- Słucham? Od kogo? Od Dygasa? Dlaczego pan nic o tym nie mówił wcześniej?

- Bo ani pan, ani żaden z pana kolegów o to nie pytali.

- No, ma pan rację. Nie pytaliśmy.

- Sam pan rozumie, że w obecnym układzie politycznym afiszowanie się ze znajomością Dygasa nie byłoby zręczne. Baliśmy się, że nasze dawne z nim kontakty zaszkodzą reputacji ojca Miecznikowskiego i jego współpracowników. Doszliśmy z żoną do wniosku, że nie będziemy o tym mówić. Dla dobra sprawy.

Kostecki czuł w głowie kompletny chaos. Nie mógł zebrać myśli. Doszedł jedynie do wniosku, że poziom

nieufności między państwem a społeczeństwem osiągnął już stopień całkowicie wymykający się logice.

Pożegnał się z mecenasem niczym w malignie. Chyba coś powiedział o absurdzie braku zaufania, ale nie był tego wcale pewien.

Na ulicy orzeźwił go wiosenny zefir.

Przed wejściem do klatki schodowej jakaś elegancka pani o niebanalnej urodzie strofowała dużo starszego męża.

- Zrób coś z nim, jest twoim synem!

Mąż sprawiający wrażenie naukowca odezwał się do około dziesięcioletniego chłopca:

- Juliuszu! Zachowuj się godnie.

W odpowiedzi chłopak o niemal identycznym nosie jak ojciec pokazał rodzicom język i pobiegł do wołających go kumpli.

- Ale go, Bożena, wychowałaś!

- A ty go nie wychowywałaś? Nic, tylko wykłady, referaty, artykuły, seminaria. Mam tego dosyć!

Kobieta nazwana przez męża Bożeną zaczęła się unosić gniewem. Czego mąż chyba nie lubił.

- Ależ Bożenko! Na majowe święto pojedziemy na działkę. Odpoczniesz.

- Odpocznę? Będę musiała sprzątać altankę po zimie. Wszystko na mojej głowie.

- My to zrobimy. Ja z Juliuszem. - Naukowiec wypowiedział te słowa z godnością.

Z ulicy Kościuszki do kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej można było dojść w kwadrans. Tadeusz nie omieszkał się przejść. To, co usłyszał, mogło mieć kluczowe znaczenie dla

śledztwa. Idąc, powoli układał scenariusz rozmowy, którą miał odbyć w kościele.

Parafia pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej miała dla łodzian znaczenie szczególne. Powstała w podzięce dla Matki Chrystusowej za pokonanie bolszewików w 1920 roku. Budynek nawiązywał do architektury starożytnych Greków i Rzymian. Imitował antyczną świątynię. Kosteki wszedł do środka. Panował tu półmrok. Okna nie pozwalały słońcu zagościć we wnętrzu. Jak na miejsce uświetniające zwycięską wojnę kościół był zbyt szary i smutny. Kosteki pomyślał, że gdyby świątynia nie była darem za bitwę wygraną, tylko przegraną, na pewno wyglądałaby ładniej i miała radośniejsze wnętrze.

W kancelarii zastał jowialnego kapłana.

- Szczęść Boże! - Znajomość z Kingą bardzo się teraz przydała.

- Szczęść Boże!

Tadeusz rozejrzał się po kancelarii. Byli sami. Nie kręciła się tu żadna siostra zakonna. Nie było też innego księdza.

Kosteki wyciągnął legitymację. Wysiłił się na uśmiech i zagaił:

- Proszę księdza. Pracuję w wydziale zabójstw. Nie jestem z SB. Nie jestem wrogiem Kościoła. Prowadzę śledztwo.

Kapłan popatrzył na porucznika uważnie. Nic nie powiedział.

- W areszcie znajduje się niewinny człowiek. Jeżeli stanie przed sądem, może stracić życie. Być może w waszym archiwum jest dowód na jego niewinność. Bardzo proszę o pomoc.

Ksiądz był zaskoczony wylewnością porucznika. Poczł do Tadeusza sympatię, ale nieufność była silniejsza.

- Przykro mi, ale sam pan wie. Wszystkie kontakty z waszą instytucją muszą być prowadzone na drodze oficjalnej. Chyba mnie pan rozumie?

- Rozumiem. Jednak jeszcze raz proszę o wyrozumiałość. Droga oficjalna bardzo wydłuży śledztwo.

- Nie mogę. Naprawdę nie mogę.

Kostecki zaczął intensywnie myśleć, jak przekonać księdza.

- Tylko bym zajrzał. Niczego nie wezmę. Rzucę okiem. Jak coś znajdę, to rozpocznę procedurę na drodze formalnej. Oficjalnie przyszedłem po zaświadczenie, że byłem chrzczony.

- A był pan?

- Byłem.

- Co pana interesuje?

- Ksiądz Dygas.

- Myślałem, że ta sprawa została zamknięta. Przecież był proces. Siedzi w więzieniu.

- Nie chodzi o jego działalność przestępczą.

- A o co?

- Niedawno zostali zamordowani jego wychowankowie z czasów duszpasterstwa.

- I jaki jest związek Dygasa ze sprawą?

- Po prostu ich znał, być może znał też jeszcze jedną kobietę, która zginęła w listopadzie.

Kapłan się zadumał. Kostecki wyczuł, że może mieć szansę.

- Niech ksiądz pomyśli. Cała sprawa będzie się ciągnąć. Procedury. Pisma. Decyzje biskupa. Wszystko będzie na księdza głowie. A tak? Może w pół godziny sprawa się wyjaśni.

Pocziwy ksiądz się ugiął. Po chwili byli w archiwum.

- To musi być przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych - powiedział Tadeusz.

Po kilku minutach dokumentacja była gotowa. Kostecki w asyście księdza wertował kartki grubego zeszytu.

- Jest! - krzyknął milicjant.

W dokumentacji było wyraźnienie napisane, kto i kiedy do duszpasterstwa uczęszczał. Gryglaszewska jako Barbara Koterba zaczęła uczęszczać w roku 1958. Pudlarze do grupy weszli rok wcześniej. Z dokumentów wynikało, że Gryglaszewska z domu Koterba udzielała się raptem rok.

- Pomogłem panu? - Ksiądz był zainteresowany.

- Bardzo.

- Mogę zamknąć archiwum?

- Jeszcze tylko sprawdzę, czy ksiądz Dygas chrzczył Agatę Gryglaszewską i Łukasza Pudlarza.

- To będzie w kancelarii.

Po kwadransie Kostecki miał już pełną gamę informacji.

- Dziękuję księdzu.

- Nie ma o czym mówić. Ale zakładam, że o naszej rozmowie nikt się nie dowie.

- Na ten moment nie. Jeżeli będzie potrzeba, wystosujemy oficjalne pismo. Sądzę jednak, że nie będzie takiej konieczności.

- Z Bogiem. Niech pan łapie bandziorów.

- Dziękuję. A to w ramach porozumienia między podziałami.

Na stole pojawił się bilet na mecz Widzewa z Legią.

- O nie!

- Jak to: nie? Przecież widzę, że Widzew.

Kostecki pokazał palcem na proporczyk Widzewa umieszczony przy obrazkach papieża i Maryi.

- Ale ma pan oko, poruczniku.

- W końcu jestem gliną.

- Naprawdę nie mogę tego przyjąć.

Kostecki westchnął.

- Ludzie, czy wy już wszyscy powariowaliście? Myślicie, że za sanacji nie było zabójstw? Nikt nie kradł? Czy jak Kojak prowadzi śledztwo, to wszyscy patrzą na niego jak na agenta wywiadu? Tak trudno zrozumieć, że nie każdy milicjant strzelał do górników w kopalni Wujek?

- Widzę, że ma pan z tym problem.

- Nie. Problem mam z tym, że Filipczak jest bez formy.

- Ale podobno Kajrys ją odzyskał.

Kostecki wreszcie się uśmiechnął.

- Jak Kajrys strzeli gola, to stawiam księdzu dobre wino mszalne.

- Trzymam za słowo.

Rozdział 25

Ksiądz Kaczor okazał się nie byle jakim znawcą piłki nożnej. Widzew wygrał z Legią dwa do jednego. Krzysztof Kajrys zaprezentował się jako najlepszy piłkarz meczu. Widzew nadal miał szansę na trzecie z kolei zwycięstwo w lidze.

Podczas meczu Kostecki wyglądał postawnego księdza, jednak tłum był tak wielki, że próba znalezienia kapłana kibica była jak szukanie igły w stogu siana.

Przed odprawą konsternację wywołał fakt rozbicia gangu włamywaczy. Od kilku miesięcy zgierska milicja usiłowała zrobić z nim porządek. Wreszcie się udało.

- Świat się wali. Gang zorganizował dwunastoletni chłopiec. - Banasik był zde gustowany.

- Dwanaście włamań. Ale milicjanci ze Zgierza wreszcie dopadli przestępców. - Tadeusz był w nastoju do krotochwil.

Banasikowi, w przeciwieństwie do jego podwładnego, nie było do śmiechu. Liczba przestępstw z udziałem nieletnich z roku na rok stawała się coraz większym problemem społecznym. Coraz trudniej było władzy ten fakt wytłumaczyć. Przecież w myśl teorii marksistowskiej liczba przestępstw powinna maleć. W PRL maleć nie chciała.

Rozpoczęło się zebranie zespołu. Kostecki zdał relację ze swoich odkryć. Zapadła cisza, którą zgodnie z obyczajem przerwał kapitan.

- Sugerujecie, poruczniku, że Ubaka miał pomocnika?

- Tak. Jestem przekonany. Sam nie byłby w stanie związać dwóch dorosłych, zdrowych osób. Ale twierdzę też, że to nie Ubaka jest mordercą. Uważam, że musimy zrewidować pogląd o motywie. Sądzę, że motyw był rabunkowy.

Głos zabrał Złamaś:

- Ustalenia porucznika Kosteckiego zasługują na uwagę. To może być nowe spojrzenie na śledztwo.

Tadeusz z Jurgą spojrzeli z ciekawością na nowego kolegę. Kostecki spodziewał się oporu z jego strony. Na Złamasia z zainteresowaniem zerknął także Banasik.

- Proszę przedstawić swoją koncepcję - powiedział do Tadeusza.

- Według mnie morderstwo Pudlarzy ma związek z zabójstwem Gryglaszewskiej i Czołczanieckiej. Motywem była chęć pozyskania dzieł sztuki. Na pewno tak było w przypadku morderstwa numer dwa i trzy. Niewykluczone, że morderstwo Gryglaszewskiej było również tym spowodowane. Dodatkowym łącznikiem w trzech sprawach jest postać księdza Dygasa. Kim był ksiądz Dygas w dziejach przestępczej Polski, nie muszę mówić. Od lat kilku siedzi w więzieniu za zorganizowanie największej w historii szajki przemytników dzieł sztuki. Obraz z pijanymi zakonnikami dostali Czołczanieccy od Dygasa z okazji chrztu córki. Pudlarze i Gryglaszewska byli zaangażowani w duszpasterstwo akademickie przy parafii Matki Boskiej Zwycięskiej. Chrztu córce Gryglaszewskiej i synowi Pudlarzy udzielał ten sam kapłan - Dygas. Zakładam, że ikona została podarowana jako prezent. Podobnie jak obraz.

Być może w tym kontekście jasny staje się motyw zabójstwa Gryglaszewskiej. Może jej córka też została obdarzona cennym prezentem?

Kostecki wziął oddech, napił się oranżady i kontynuował:

- Dodatkowym elementem w sprawie Czołczanieckiej i Pudlarzy jest postać Sudańskiego. Po pierwsze: jako jeden z niewielu ludzi znał miejsce ulokowania obrazu. Po drugie: kontaktował się z Pudlarzami. Dzwonił do Pudlarza do pracy. Uważam, że ma związek z obydwoma zabójstwami. W przeciwieństwie do Ubaki.

- Tadeusz sądzi, że Ubakę ktoś wrabia - dopowiedział Jurga.

Kostecki skończył. Uzupełnił szklanke oranżadą.

- O ile trop z dziełami sztuki wydaje się logiczny, to nie bardzo rozumiem, dlaczego wyklucasz Ubakę. Dlaczego bandyci mieliby go wrabiać? - Banasik nie potrafił konsekwentnie zwracać się do podwładnych. Raz używał formy oficjalnej, kiedy indziej mówił w drugiej osobie liczby pojedynczej.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. Na razie - odpowiedział Tadeusz.

- Drugi problem, który widzę, to kwestia udziału Sudańskiego. Jak dla mnie, sprawa jest miałka. Po pierwsze: nie wiemy, czy Sudański rzeczywiście spotkał się z Pudlarzami. Po drugie: nie mamy żadnej pewności, czy spotkanie nie było czysto przypadkowe. Ludzie po latach wznawiają kontakty. Dzieci rosną. Ludzie dobijają pięćdziesiątki i orientują się, że życie zaczyna przypominać pustkę. Jak będziesz w moim wieku, zobaczysz, jak to jest. Sprawa z Sudańskim jest według mnie naciągana.

W przeciwieństwie do sprawy Ubaki. Odciski palców na wiertarce są dla mnie koronnym argumentem.

- Zgadza się z porucznikiem Kosteckim, że sprawa, nazwijmy to: z wątkiem Dygasa, brzmi racjonalnie. Czy Sudański jest ogniwiem łączącym? Ja bym na ten moment tej hipotezy nie skreślał. - Tadeusza wsparł Złamaś.

- Zawsze możemy Sudańskiego wezwać na przesłuchanie - dorzucił Jurga.

- Wcześniej musimy przesłuchać ich sąsiada. To ten, który podczas feralnego wieczoru był w Turynie - odpowiedział Złamaś.

- Co nam może powiedzieć, skoro nic nie słyszał?

- Może rozpozna na zdjęciach Sudańskiego. Albo Ubakę.

- Idąc tym tropem, należałoby pokazać zdjęcia wszystkich, którzy znali miejsce, w którym wisiał obraz z zakonnikami - wtrącił Banasik. - Może oprócz Sudańskiego jest w to uwikłany ktoś jeszcze.

- No i co? Chyba jesteś zadowolony? - zapytał Jurga, gdy znaleźli się na dworze.

Końcówka kwietnia była piękna. Prognozy pogody zapowiadały upalny maj. Media straszyły sanepidem, który miał zakwestionować prawo do wystawiania saturatorów. Prezydent Niewiadomski obiecywał, że będzie w tej sprawie interweniował.

- Spodziewałem się problemów ze strony Złamasia.

- No widzisz, może za surowo go ocenialiśmy.

- Może masz rację.

- I na wódkę się umówił.

- Źle się współpracuje, gdy za każdym razem mówisz „panie poruczniku”.

- Tylko gdzie my go zaprosimy?

- Może do Czarnego Kota?

Felicjan Jurga zrobił kwaśną minę.

- Kurwa, może nie.

- Czemu?

- Gość przyjeżdża z Warszawy.

- Ale urodził się w Turku.

- No i co z tego? Ja urodziłem się w Polichnie.

- Nie chciałem cię urazić.

- Nie chodzi o urażenie. Po prostu uważam, że powinniśmy wystąpić godnie.

- Czyli?

- Proponuję Malinową. Do kurwy nędzy, zarabiamy lepiej niż inni. Może niedużo więcej, ale raz na jakiś czas możemy zaszaleć.

- Hmm.

Tadeusz zaczął w myślach robić bilans wydatków. Odkąd rozstał się z Kingą, w kieszeni zostawały mu pieniądze, które wcześniej przeznaczał na cele charytatywne. Czyli na paczki dla Palki, Słowika i Kropiwnickiego. Zresztą było to tylko jeden raz. W kwietniu wielkich wydatków nie miał. Bilet na mecz z Juventusem sprzedał z sześciokrotną prebitką. Wejściówki na mecze ligowe ojciec załatwiał za darmo, po starej znajomości z Sobolewskim. Piwo kilkakrotnie fundował Felicjan. Obiady jadał na stołówce w komendzie, zaś kolację często konsumował u ojca. Nie bywał w kinie. Nie kupował butów, bo i tak ich nie było.

Podobnie rzecz się miała ze spodniami czy koszulami. Miał w planach kupno zegarka z siedmioma melodyjkami, ale ten wydatek mógł poczekać. Przyzwyczał się do docinków Jurgi z tego tytułu. W sumie mógł iść. Reszta dolarów za bilet mogła stać się hojnym napiwkiem dla orkiestry.

- No dobra. Na kiedy się umówiliśmy?

- Na sobotę. Jak kulturalni ludzie.

Rozdział 26

Im bliżej maja, tym nastroje stawały się gorętsze. Władzy zależało, by obchodów pierwszego maja nie zakłóciły elementy antysocjalistyczne. Tym bardziej że już trzeciego maja szykowała się kolejna okazja do burd i zamieszek ze strony tak zwanej opozycji.

Spokój na początku maja miał być dobrym prognostykiem dla planów Jaruzelskiego. W czerwcu odwiedzał Polskę Jan Paweł II. Na wrzesień zaś PZPR i partie sojusznicze planowały wielkie show z okazji okrągłej rocznicy odsieczy wiedeńskiej.

Ale temperatura rosła nie tylko na scenie politycznej. Nadchodziła fala upałów. Widzew cały czas grał dobrze, lecz każdy punkt musiał zostać wybiegany w pocie i znoju.

- Kurwa, jak gorąco! - Kostecki nie lubił wysokich temperatur.

- Napij się shandy. - Jurga z głośnym sykiem otworzył butelkę.

Tadeusz wypił ciepły już napój. Nikt z przełożonych nie wpadł na pomysł, by wyposażyć komendę w lodówkę. Na szczęście były wiatraki. Kostecki otworzył gazetę i zagłębił się w lekturze.

- Kurwa, ja pierdołę.

- Czego się wściekasz? - Jurga nie lubił fochów Tadka.

- Przed meczem korzystali z pomocy bioenergoterapeuty.

- Kto?

- Przecież nie Włókniarz Pabianice. Widzew!

- To chyba dobrze.

- Dobrze? Mają grać jak mistrzowie, a nie się pierdolić z jakimś magikiem.

- Ale wygrali.

- No wygrali. Romke strzelił na trzy do dwóch siedem minut przed końcem.

- Ja bym się cieszył, że wygrali. A pomoc niekonwencjonalnych metod leczniczych? Założę się, że w Kijowie i Tbilisi też korzystają z różnych nieszablonowych metod.

- Jakiś Stanisław Nardelli.

- To ten „bioenergocudotwórca”?

- Tak.

- Może ci pomoże, nerwusie jeden.

Kostecki nie podjął przekomarzanki.

- Ta Stal gra w tym sezonie jak ostatnia wywłoka. Wszystkim daje dupy. Przyjeżdża Widzew i się wieśniaki spinają jak baranie jaja. Ostatnio podobnie było w Katowicach. Żałosny średniak, który nawet pralki nie ma na stanie, ale jak przyszło do gry z Widzewem, to trawę gryźli.

- Znasz powiedzenie: „Bij mistrza”? Albo: „Łatwiej zdobyć szczyt, niż na nim zostać”?

- Znam.

- To się ciesz, że nadal wygrywają i mają szansę na trzeci tytuł.

Kostecki nic nie odpowiedział. Fala upałów obudziła muchy i inne latające potwory. Zły na aurę dopił niemal

gorący już napój.

Zbliżała się jedenasta. O tej godzinie miało się rozpocząć przesłuchanie sąsiada Pudlarzy.

- Nazwisko? - Kostecki zadał pierwsze pytanie.

- Bartos. Jan Bartos.

- Adres?

- Bytom. Ulica Karola Miarki siedem.

- Co obywatel robi w Łodzi?

- Badam przyczynę wybuchu na Retkini.

- Słucham?

- Badam przyczynę katastrofy.

- Prasa podała, że to był przypadkowy wybuch.

- Wierzy pan prasie?

Kostecki aż się zapowietrzył. Nie musiał pytać. Inżynier Bartos kontynuował.

- Są poważne przesłanki, by twierdzić, że wybuch był wynikiem błędu konstrukcyjnego.

- Co to znaczy?

- Że każdy blok na Retkini może w każdym momencie eksplodować.

Tadeusz poczuł, jak gejzery potu buchnęły mu na plecach.

Tymczasem Bartos mówił dalej:

- Dlatego zażądałem od prezydenta Niewiadomskiego, by przyznał mi nowy lokal. Nie chciałem mieszkać na Retkini. Oficjalna wersja brzmiała tak, że z ulicy Kasprzaka będę mieć bliżej do miejsca składowanej dokumentacji.

Kostecki przystawił twarz do wiatraczka. Trochę

pomogło. Wyrównał oddech.

- Od kiedy był pan sąsiadem Pudlarzy? - Tadeusz zapomniał o formie obywatel.

- Od października.

- Znał obywatel dobrze denatów?

- Byłem ich najbliższym sąsiadem. W naszym bloku na klatce schodowej są tylko dwa mieszkania. Widywaliśmy się codziennie. To dobrzy ludzie byli.

- Bywał pan u nich w mieszkaniu?

- Tak. Chyba ze trzy razy.

- Zaprzyjaźniliście się?

- To za dużo powiedziane. Ale kolegowaliśmy się. Myślę, że tak to można określić.

Tadeusz sięgnął do przygotowane fotografie.

- Zna obywatel tego człowieka?

- Nie.

- Na pewno?

- Nigdy go nie widziałem. Jestem pewien.

- A kogoś z tych ludzi?

Inżynier uważnie przyglądał się fotografiom bliskich znajomych Czołczanieckich.

- Nikogo nie znam. Nikogo z nich nigdy nie widziałem.

- A tę postać?

- Tak. Widywałem tego człowieka.

Tadeusz czuł, że upał sięgnął granic jego wytrzymałości. Bił obuchem po czerepie.

- Na pewno?

- Jestem przekonany. Tylko jeden Murzyn przychodził do Pudlarzy.

- Wie pan, jak się ten Murzyn nazywa?

- Nie mam pojęcia.

Kostecki czuł się jak dziecko, któremu ktoś zabrał ulubioną zabawkę.

- Ile razy pan widział tego człowieka u Pudlarzy?

- Kilka. Dosyć często. Z pięć, sześć razy na pewno.

- Kojarzy pan, kiedy u nich był?

- Jeżeli chodzi o konkretną datę, to nie pamiętam.

- A co pan pamięta?

- Okoliczności.

- Czyli?

Inżynier ze Śląska zrobił się purpurowy. Tadeusz wyczuwał delikatny śląski akcent. Wszystko wskazywało na to, że był rdzennym Ślązakiem.

- Trochę mi niezręcznie.

- Niech pan mówi. Zeznaje obywatel w sprawie o morderstwo.

Bartos znowu poczerwieniał.

- Nie chciałbym szkalować pamięci zmarłych.

- Jest pan na przesłuchaniu, a nie na stypie.

- Otóż jak ten obywatel, znaczy się Murzyn, przychodził, to wtedy było słyhać przez ścianę.

- Co było słyhać?

- No ten tego, odgłosy.

- Jakie odgłosy?

- Spólkowania.

Kostecki poczuł, jak gorąca lawa wlewa mu się do mózgu.

Zaraz po przesłuchaniu zebrał się zespół śledczych.

- A więc mamy coś zupełnie nowego. - Banasik był podekscytowany.

Kostecki, Złamaś i Jurga siedzieli cicho.

- Mamy rzeczywiście nowy motyw. Tło seksualne.

- Wyjaśniła się chyba zagadka związanych Pudlarzy. Po prostu to lubili. - Do dyskursu przyłączył się porucznik rodem z Turku.

- Czego to ludzie nie wymyślą. - Jurga był zdegustowany.

- Wychodzi na to, że sprawa wyglądała w ten sposób. - Banasik wypił łyk cytronety. -- Wieczorem w dniu meczu Ubaka przyszedł do mieszkania Pudlarzy w celach lubieżnych. Dlaczego zabił, to wyjaśnią biegli. Jak dla mnie sprawa jest zamknięta.

- A wątek obrazów? - Kostecki bronił tropu jak Burowie niepodległości.

- Obawiam się, że takowego nie było. Ikoną zaopiekował się syn, którego następnie pobili gitowcy na jakimś podejrzanym koncercie. Nie ma żadnego związku między zabójstwem Pudlarzy a śmiercią Czołczanieckiej. Tam był motyw rabunkowy. Nieszczęsnej Gryglaszewskiej należy dać spokój. Jej śmierć to jedna wielka zagadka. Motywu brak. Nie mamy żadnej pewności, że w ogóle dostała coś od Dygasa poza srebrnym medalikiem. To koniec.

Nikt nic nie powiedział. Logika wyводу kapitana była nie do podważenia.

Rozdział 27

Była sobota wieczór. Z każdym dniem żar lał się z nieba coraz bardziej. Prasa z radością informowała o tym, jak zakłady pracy dbają o robotników. Pracujący obywatele mogli liczyć na wodę mineralną, oranżadę, a nawet mleko. Saturatory mimo obiekcji sanepidu pracowały na najwyższych obrotach. Sanepid nie czepiał się zresztą saturatorów jako takich. Wątpliwości budziły szklaneczki nazywane literatkami. Po wypełnieniu literatki wodą gazowaną z sokiem lub bez soku klient oddawał szklanę obsługującemu maszynę. Ten zaś obmywał szklanę wodą i napełniał ją następnemu spragnionemu. Stacja sanitarno-epidemiologiczna alarmowała, że taka forma mycia jest niewystarczająca. Władze z sanepidem się zgadzały, ale tłumaczyły, że na rynku nie ma plastikowych kubeczków jednorazowych. Jedynym sukcesem bakteriologów było wymuszenie na sprzedawcach wody noszenia białych kitli.

Między Jurgą a Kosteckim dochodziło do scysji. Sierżant był oburzony na władze. Tadeusz byłby na nie z kolei wściekły, gdyby saturatory w ogóle na ulice nie wyjechały.

Kiedy tylko mogli, skrywali się w cieniu pachnących majem drzew.

- Loda bym zjadł - rozmarzył się Kostecki.
- To se kup.

Lody teoretycznie być powinny. Producenci solennie zaklinali się, że składniki są. Nie było za to papieru

na opakowania do lodów.

- Albo rybka, albo pipka - filozoficznie skomentował problemy na froncie lodziarskim Jurga.

Oprócz lodów brakowało piwa.

Szefostwo browaru łódzkiego informowało, że zakłady na ulicy Orlej produkowały pięćdziesiąt pięć tysięcy butelek piwa dziennie. Zaś te na ulicy Północnej - dwieście pięćdziesiąt tysięcy. W sklepach jednak piwa nie było. A jak się pojawiała, to tak zwani spekulanci natychmiast je wypijali. Na szczęście zapobiegliwy sierżant zawsze miał na podorędziu jakąś skrzynkę złocistego trunku.

Szykowali się na wieczór. Pierwotnie mieli się spotkać ze Złamasiem w czwartek. Wtedy to odbywały się w restauracji Malinowa wieczory taneczne. Jednak Złamaś powiedział, że jego małżonka jeszcze załatwia sprawy w Warszawie. Do Łodzi wraz z dziećmi miała się przenieść po zakończeniu roku szkolnego. Tadek nie otrząsnął się jeszcze po rozstaniu z Kingą. Toteż tylko Jurga mógł przyjść na tańce z partnerką.

Drugim argumentem przeciw czwartkowemu uciechom był fakt, że w piątek musieli się stawić w pracy. Złamaś bardzo nie chciał podpaść kapitanowi.

Stanęło zatem na sobocie. Oczywiście w sobotę też można było tańczyć. Grała orkiestra. Po prostu przerwy między piosenkami były dłuższe.

Malinowa uchodziła za najbardziej wykwintny lokal Łodzi. Co prawda Grand Hotel, w którym się mieściła, nieco stracił ze swojego prestiżu na rzecz nowszego Hotelu Centrum, jednak bywanie w „grandce” nadal miało swoją towarzyską wartość.

Obaj milicjanci wbili się w najlepsze garnitury. Kostecki skropił ciało wodą toaletową Wars, zaś sierżant peweksowskim old spice'em.

- Tylko się nie łajdaczcie - rzuciła na pożegnanie żona Felka, Magda.

- Bierzemy taryfę? - zapytał Felicjan.

- Jak szaleć, to szaleć.

Jednak skorzystanie z usług taksówkarza było rzeczą bardzo trudną. Na postoju kłębił się tłum. Samochodu nie było żadnego.

- Kurwa.

Komentowanie celnej konkluzji sierżanta nie miało sensu.

- Zadzwoń po radiowóz. Podrzuć nas na róg Traugutta i Sienkiewicza. Dojdziemy kawałek.

Pomysł porucznika był sensowny. Na szczęście budka telefoniczna była czynna i po kwadransie pojawił się kapral Nita wraz z niebieskim autem marki Nysa.

Zasiedli przy zarezerwowanym stoliku. Porucznik Złamaś miał przyjść dopiero o dwudziestej drugiej. Jako gospodarze powinni być wcześniej.

Malinowa zachowała sznyt dawnej epoki. Kostecki był w niej po raz pierwszy. Oczami wyobraźni widział lodzermenschów, którzy w towarzystwie pięknych dam zamawiali wykwintne dania i trunki. Obecnie zamiast dawnych fabrykantów i wysokich rangą urzędników prym wiedli cinkciarze, prostytutki, badylarze i ci łodzianie, którzy w jasnych i niejasnych okolicznościach dorobili się większych pieniędzy. Cinkciarze z badylarzami zachowywali

się swobodnie. Ci, którzy swoje dolary zarobili w pocie czoła na libijskich, syryjskich i irackich inwestycjach, byli bardziej speszeni. Na szczęście kolejną kategorią bywalców byli studenci z krajów arabskich, które dokonały u siebie postępowych zmian. Ci nie ukrywali, że ich bytność w lokalu jest związana głównie z Korpusem Obsługi Cudzoziemców, czyli, mówiąc wprost, polskimi dziwkami.

Ale tego dnia jeszcze ktoś zwracał uwagę kurtyzan. Może nawet bardziej niż Arabowie. Przy kilku stolikach siedzieli przedstawiciele wielu ligowych klubów zachodnich. Świetna gra Widzewa przywiodła tu menedżerów z całej Europy. Ich uwagę przykuwała gra Tłokińskiego, Surlita, Rozborskiego i Grębosza. Cała czwórka osiągnęła już odpowiedni wiek, by móc poddać się rychłemu transferowi na Zachód. Odejście tych piłkarzy, prawdziwych legend klubu, było przesądzone. Zachodni biznesmeni najchętniej ściągnęliby młodziutkiego Wragę. O wychowanku Błękitnych Stargard mówiono, że to talent na miarę Bońka. Oferowali sumy z sześcioma zerami. Niestety przepisy były takie, że Wraga musiał czekać, aż osiągnie odpowiedni dla urzędasów wiek. Innym piłkarzem, któremu PRL nie pozwolił rozwinąć skrzydeł wielkiej kariery, był Piotr Romke. Ten tytan pracy znalazłby angaż w każdym zachodnim klubie. Menedżerowie z Anglii i Niemiec z żalem patrzyli, jak piłkarz o potencjale Dalglisha gra z zespołami pokroju Szombierek Bytom czy Bałtyku Gdynia. Miejsce w każdej drużynie Bundesligi mieliby boczni obrońcy Widzewa, Świątek i Kamiński - dwaj wojownicy o wielkich sercach. Pierwszy z nich musiał czekać długie lata, by wreszcie móc wyjechać. Kamiński nie wyjechał wcale. Na łaskę partyjnych kacyków byli zdani

nawet najlepsi piłkarze Widzewa, Młynarczyk i Smolarek. Ten pierwszy miał za niedługo grać w Bastii, a następnie święcić niebywałe triumfy w FC Porto. Smolarek z Wójcickim musieli czekać aż do mundialu w 1986 roku, by wreszcie móc przenieść się do Bundesligi.

Przedstawiciele klubów z dewizowego obszaru płatniczego gorliwie dyskutowali o walorach poszczególnych zawodników. Gdy padało nazwisko Wragi, wszyscy mlaskali i cmokali. Wysłannicy FC Köln nie mogli zrozumieć, dlaczego wrócą do domu z walizką, która aż nie mogła się dopiąć od niemieckich marek. Anglicy z Evertonu chętnie by ściągnęli niemal stworzonego do gry na Wyspach Filipczaka. Wszystko na nic. Transferowa gra toczyć się mogła tylko o najstarszych piłkarzy Widzewa.

Na menedżerów łakomym okiem oprócz dziwek patrzyli też muzycy z orkiestry. Liczyli na godziwe napiwki. Na podobny dar od losu czekali kelnerzy, którzy ostentacyjnie omijali stolik milicjantów. Wreszcie jeden z nich podszedł.

- Co podać?

- Flaki. Schabowy jako danie główne. - Jurga miał już gotowe zamówienie.

- I coś do wódeczki. Galaretka i może tatar. - Tadek wziął na siebie trunki i zakąski.

Kelner zapisał zamówienie i poszedł.

- Miałeś mu dać motywator z naszych dolarów - Jurga niemal krzyknął na Tadzika.

- Jak to, kurwa, z naszych? To dolary z mojego biletu!

- Moje, twoje. Co to za różnica? - Felicjan był zdesperowany, by dobrze zjeść. - Chcesz, żeby nam podali

jakąś lurę? I stare mięso?

- No tak, zapomniałem.

- Dawaj te zielone.

Kostecki wyciągnął z pugilaresu banknot o nominale pięciu dolarów. Gdy kelner przechodził koło nich, Jurga dyskretnie machnął wizerunkiem prezydenta USA.

- Panie szefie... - zniżył głos. - Coby te flaczki były prima sort.

Felicjan mrugnął i dyskretnie wcisnął banknot do kieszeni kelnera.

- Tak się załatwia sprawy, gamoniu - rzekł z wyrzutem do przyjaciela.

Równy o godzinie dwudziestej drugiej zjawił się Złamaś. W przeciwieństwie do kolegów miał śnieżnobiały garnitur i zielony krawat.

- No to jesteście w komplecie! - Jurga wyraźnie lepiej się nadawał do pełnienia honorów gospodarza wieczoru.

Tymczasem na sali pojawił się intruz. Kostecki zwrócił uwagę na gościa już ponad pół godziny wcześniej. Ubrany w jakieś różowe łąchy Cygan uporczywie zaczepiał orkiestrę. Z dumną miną wręczał jakieś pieniądze i ciągle zamawiał ten sam utwór. Miny muzyków wyraźnie dawały do zrozumienia, że oferowany napiwek był niewystarczający. Kostecki się wściekał, że utwór *Bella, bella donna, wieczór taki piękny* permanentnie drażnił uszy bywalców lokalu.

- Mam legitymację. Pójdę i go postraszę, że jesteście z MO.

- Ochujales? Chcesz, by nam napluli do flaków i podali ciepłą wódkę?

Jurga postanowił zbadać sprawę. Idąc do toalety, dyskretnie zlustrował wzrokiem delikwenta.

- Ja to załatwię - powiedział, gdy wrócił do stolika.

Po mniej więcej dziesięciu minutach sierżant wstał i podszedł do Cygana. Rozmowa trwała chwilę. Kostecki ze zdumieniem obserwował, jak śniada twarz robiła się na zmianę blada i zielonkawa. Po sekundzie Cygan zniknął, zostawiając nawet różową marynarkę.

- Co mu powiedziałeś?

- Że Błady tu za chwilę będzie.

- Ten Błady? Od nas?

- Ten sam. Ta gnida to Nikola Miluś. To on sypnął Bładego.

Jeremiasz G., popularnie nazywany Bładym, był niemal monopolistą w przemyśle zegarków z siedmioma melodyjkami z Wiednia. Ktoś chciał zająć jego miejsce i wynajął Milusia, by ten sypnął szefa. Błady się oczywiście dowiedział, kto go wystawił, i poprzysiągł zemstę.

Im bliżej północy, tym impreza nabierała większych rumieńców. Kelnerzy uwijali się jak w ukropie. Na scenę wkroczyła Anna Nico, lokalna gwiazda łódzkiej estrady. Flaki były rzeczywiście dobre. Tatar - wspaniały. Wódka - solidnie zmrożona. Ktoś, kto nie znał realiów PRL, mógłby odnieść wrażenie, że życie w tym państwie toczy się normalnie.

Wbrew obawom Kosteckiego Złamaś okazał się normalny facetem. Gadka potoczyła się wartko. Sławoj chwalił dania i poziom muzyczny orkiestry. Gdy porównał Malinową do warszawskiej Melodii, Felicjan poczuł się dowartościowany.

Tymczasem uwagę Tadeusza zwracała znajoma postać, która królowała na parkiecie z około pięćdziesięcioletnią damą. Kosteczki przyjrzał się uważnie i poznał Eustachego. Przyjaciel ojca mrugnął do Tadka i wymownie spojrzął na niewiastę. O towarzyszcze Eustachego mawiało się: „Z tyłu liceum, z przodu muzeum”. Kosteczki przyznał, że przyjaciółkę przyszywanego wuja chętnie by... obdarzył serią komplementów. Im więcej przeźroczyściego trunku znikało w jego gardle, tym odważniejsze komplementy przychodziły mu do głowy.

Tadeusz obserwował, jak w pokojach hotelowych znikali przedstawiciele RC Lens. Zdaje się, że transfer Tłokińskiego był prawie załatwiony. Po chwili w ślady kolegów poszli wysłannicy Nimes. Czyżby celebrowali przejście Surlita? Następnymi, którzy ulegli czarowi cór Koryntu, byli emisariusze Stade Reims, którzy zagięli parol na Rozborskiego. Dopiero po północy na pięterko poszli klubowi włodarze VFL Oldenburg. Widać, że w piłkarskiej dyplomacji prym wiodli specjaliści znad Sekwany. Sukces Niemców, którzy załatwiali przejście trzydziestoczteroletniego Grębosza, należało traktować w kategorii bramki honorowej. Na przedstawicieli innych klubów Kosteczki nie patrzył. Kątem oka zauważył, że ci z FC Köln i Borussia Dortmund topili smutek w polskiej wódce. Obserwatorzy z Feyenordu, Ajaksu i Standardu Liege zniknęli z sali wcześniej. Hiszpanie z Celty Vigo i Portugalczycy z Benfiki biesiadowali w Hotelu Centrum. Podobnie jak Włosi z Interu i Fiorentiny.

Około drugiej impreza weszła w stadium pewnego rozprężenia. Krawaty coraz luźniej opinały szyje panów.

Panie coraz namiętniej spoglądały na wdzięki i portfele tak zwanej płci brzydkiej. Orkiestra grała coraz śmieiej. Raz po raz jakiś dżentelmen zamawiał ulubiony utwór muzyczny. Kostecki czuł, że obiekcje wobec Złamasia były całkowicie nieuzasadnione. Kiedy nowy kolega wyszedł do toalety, Jurga zagadnął:

- Jest jednak w porządku.

- Chyba tak.

- Zrobiłem mały rekonesans. Tak nieoficjalnie. Ma gość plecy. Nominacja z samej góry. Moczkowski nie miał nic do gadania.

- Kiszczak?

- No nie wiem, czy te plecy są aż tak mocne. Ale ogólnie w porządku gość. Ma czarny pas karate. Mało pije.

- Chyba rzadko?

- Masz rację. Rzadko, ale dużo.

Obaj się roześmiali.

Niedzielny ranek dla Tadeusza rozpoczął się dopiero w południe. Na szczęście życiowa zaradność przyjaciela spowodowała, że w lodówce był zapas piwa. Upał cały czas trzymał w kleszczach. Kostecki dotrwał do wieczora. W lodówce jednak nie było nic oprócz piwa, toteż postanowił, że na kolację pojedzie do ojca.

Na Srebrzyńskiej zameldował się o siódmej wieczór. Przy stole oprócz Eugeniusza siedział Eustachy.

- Jak się udała impreza? - zapytał przyjaciel ojca.

- Moja? Świetnie. Ty chyba też nie narzekasz.

Eustachy uśmiechnął się.

- Elwira. Przyznasz, że niczego sobie wdóveczka.
- Przyznaję.

Kostecki nałożył na talerz plasterek szynki.

- To od Elwiry - z dumą powiedział stary endek.
- Pracuje u rzeźnika?
- Jest kierowniczką delikatesów na Żubardziu.
- Strategiczna funkcja.

Kostecki przełknął chleb z wędliną i popił zimnym winem z jabłek. Tymczasem Eustachy zapytał.

- Inżynierowi Romańskiemu też raut się udał?
- Komu?

- Inżynierowi Romańskiemu. Siedział z tobą przy stoliku.

- Oj, chyba ci piękna wdóveczka w głowie zawróciła.

Byłem wczoraj z Felkiem Jurgą i naszym nowym kolegą, porucznikiem Złamasiem.

- Felicjan Jurga. Urodzony w kwietniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku w Polichnie. Mąż Magdaleny z domu Rokickiej. Ojciec dwóch córek: Gabrysi i Heleny. Uwielbia dobrze zjeść. Ma marzenie, by wyjechać na Grenlandię. Dobrze mówię?

- Widziałeś go raz w życiu.

- Latem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. Gdy w sklepach nie było absolutnie niczego. Pojechaliśmy na ryby.

- Masz fenomenalną pamięć.

Eustachy popatrzył na Kosteckiego z wyrzutem.

- Posłuchaj, młody człowieku. Przez pięć lat byłem w wywiadzie. Myślisz, że mnie tam wzięli, bo za młodu chadzałem na mecze Czarnych Lwów?

- Nie chciałem cię urazić.

- Mam fotograficzną pamięć. I powiadam ci, że wczoraj piłeś wódkę z inżynierem Romańskim.

Kostecki nie bardzo wiedział, jak dyskutować z Eustachym.

- Do naszej komendy przyszedł nowy pracownik. Porucznik Złamaś. Wczoraj piliśmy brudzia. Może jest podobny do tego Romańskiego.

Zapadła cisza.

- Na parterze w mojej kamienicy jest takie podwójne mieszkanie. Aż dziw, że wydział kwaterunkowy nie rozparcelował go na mniejsze. W lokalu mieszkają Romańscy i Waśniewscy. To chyba rodzina. Na niedzielę to się chyba wszyscy krewni zjeżdżają. Kiedy wychodzę do katedry, to się na obiad schodzą. W tygodniu mniejszy ruch panuje.

Eustachy przegryzł trochę chleba i kontynuował:

- Kiedyś listonosz list przyniósł. Nikogo u nich nie było, to zostawił u mnie. Następnego dnia zaniósłem list. Otworzył mi facet, który się przedstawił jako inżynier Romański. Pogawędziliśmy chwilę. Potem widywałem go jeszcze na klatce schodowej. I to na pewno ten sam człowiek, z którym piłeś wczoraj.

Tadeusz czuł mętlik w głowie. Myśli, które cisnęły mu się do głowy, były tak nieprawdopodobne, że nie chciał ich przyjąć do wiadomości.

- Kiedy tego inżyniera widziałeś ostatnio?

- Już ci mówię. - Eustachy się zastanowił. - Ostatni raz tydzień temu. Ten list z gazowni oddałem mu jakoś na jesieni. To było przed moim wyjazdem do Ciechocinka.

Jestem tego pewien.

- A długo ci Romańscy z Waśniewskimi tam mieszkają?

- Niedługo. Wprowadzili się pod koniec grudnia osiemdziesiątego pierwszego. Po świętach, ale przed sylwestrem. Na narty ze zrozumiałych względów nie pojechałem. Przyniosłeś mi wtedy gardan, bo mnie ząb bolał. Pamiętasz, Gienek? - Eustachy popatrzył na Eugeniusza pytająco.

- Nie pamiętam.

- Nigdy nic nie pamiętasz. Nic dziwnego, że nie wzięli cię do wywiadu, byłeś prostym cynglem w dywersji.

Eugeniusz obraził się za nazwanie Gienkiem.

Tymczasem Eustachy mówił dalej:

- Tam w tym mieszkaniu ciągle coś się zmieniało. Kiedy się wprowadziłem, było siedzibą jakiejś spółdzielni. Już wiem, spółdzielnia „Jawor”. Zajmowali się sprzedażą drewna liściastego. Oczywiście prowadzili dokumentację. Od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego była tam kancelaria adwokacka. Kancelaria braci Głuszków. Tam duży ruch był w tygodniu. Mieli wzięcie. Kancelaria działała w tamtym miejscu do marca sześćdziesiątego ósmego. Może ci Głuszkowie byli pejsaci, że ich wtedy wymiotło? Nie zdziwiłbym się. W końcu do handlu i kruczków prawnych mieli zawsze nosa. Od tamtego czasu do stanu wojennego była tam wypożyczalnia strojów teatralnych. A teraz jest lokal mieszkalny.

Kostecki wytrzeźwiał w jednej chwili. Wiedział już, od czego zaczniesz poniedziałek.

Rozdział 28

- Czy jest może u państwa stara książka telefoniczna?

Poniedziałek w niczym nie przyniósł ulgi koneserom rzeńskiego powietrza. Już rano temperatura przekroczyła dwadzieścia stopni.

Tadeusz od rana czatował przy gmachu głównym poczty na ulicy Tuwima.

- Ale jak stara?

Panienska na poczcie była równie niemila jak ekspedientki w mięsny, papierniczym czy w sklepie z zabawkami.

- Interesują mnie wszystkie od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego.

- Nie ma.

Kostecki wyciągnął legitymację. Mógł zrobić awanturę, wezwać naczelnika placówki, ale wolał tego nie robić.

- Po prostu potrzebuję. - Wysilił się na uśmiech.

Po chwili trzymał w ręku grube tomy książek telefonicznych.

- Spółdzielnia „Jawor” - mamrotał do siebie.

Spółdzielnia „Jawor”, jeżeli funkcjonowała, to radziła sobie bez telefonu. Z podobnym problemem musiała się zmagać kancelaria braci Głuszków. Amatorzy sztuk teatralnych też musieli się obejść bez telefonu do wypożyczalni. Romańscy z Waśniewskimi również.

Kostecki skonstatował, że odkąd jego pamięć sięga, Eustachy zawsze miał telefon.

Swoimi spostrzeżeniami podzielił się z Jurgą.

- Tobie to naprawdę odpierdala. - Felek nie był zachwycony gorliwością kolegi.

- Po prostu mówię ci to, co wiem.

- Eustachemu się coś pomyliło. Ma już swoje lata.

- Ma fotograficzną pamięć.

- Miał fotograficzną pamięć. Za Niemca. Teraz różne rzeczy mu się mylą.

- A jeżeli mu się nie mylą?

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Masz różne kontakty, że tak powiem, nie do końca formalne. Sprawdź go. Powiedziałbym: od kuchni.

Jurga podrapał się po głowie.

- Przesadzasz. Byliśmy z nim na wódce. Normalny facet. Czego się czepiasz?

- Po prostu chcę mieć czyste sumienie. Chcę sprawdzić wszystkie wątki.

- Przecież sprawa jest wyjaśniona. Ubaka zamordował Pudlarzy.

- A Czołczaniecka?

- Zbieg okoliczności.

- A sprawa ikony i syna Pudlarzy?

- Po prostu pobili go gitowcy.

- Intuicja mi mówi, że było inaczej.

- Prokuratora i sędziego interesują dowody. A nie twoje intuicje.

- Pomożesz mi?

- Tadek. Zastanów się. Jesteś przemęczony. Te śledztwa, które nam się trafiły, wykończyły nas. Wyjedź na urlop.

Odsapnij. Wyrwij sobie jakąś dziewczynę. Sprawa Pudlarzy jest zamknięta. Gryglaszewskiej - umorzona. Czeka ją nas długie i żmudne przesłuchania szerokiego kręgu znajomych Czołczanieckiej. Pewnie coś znajdziemy. Załatwimy to ze Złamasiem. Wrócisz, to nam pomożesz. Albo sami znajdziemy drania. Odpuść, bo się zamęczysz.

- Pytam, czy pomożesz.

- Ale w czym mam ci pomóc?

- Po prostu sprawdź Złasia. Nieformalnie. Może ktoś coś ciekawego o nim wie.

Jurga walczył ze sobą. Nerwowo łamał palce.

- Pomogę. Ale obiecaj mi, że jak nic na niego nie znajdziemy, to odpuścisz.

- Obiecuję.

Kapitan Banasik nie był zachwycony wnioskiem urlopowym Tadeusza.

- W czerwcu przyjeżdża papież. Czas pełnej mobilizacji.

- Mamy początek maja.

- Ale Kiszczak chce mieć pełną mobilizację już teraz.

- Tydzień.

Banasik westchnął.

- Tydzień. Ale powiedz mi, po co czytałeś raz jeszcze listy Agaty Gryglaszewskiej do matki? Robiliśmy to już jesienią. Nic w nich nie było.

- Myślałem, że coś pominęliśmy.

- I pominęliśmy?

- Nie.

Kapitan złożył wymagane podpisy na wniosku urlopowym. Moczowski nie powinien robić problemów.

- Czasem trzeba się umieć przyznać do błędu. Po prostu raz na jakiś czas mylą się najlepsi. Naukowcy by powiedzieli, że nadinterpretowałeś fakty. Ale przecież mamy zabójcę. To najważniejsze. Drani od Czołczanieckiej też dopadniemy. Gdzie chcesz jechać?

- W góry. Dotlenię się.

- Bardzo dobrze. Odsapnij. Należy ci się parę dni spokoju.

Następnego dnia Kostecki jechał na południe. Pod wieczór zobaczył już wzniesienia Beskidu Wyspowego. Przenocował w hotelu w Myślenicach.

Rano zwarty i gotowy pojechał do miejscowości Kasina Wielka.

W przeciwieństwie do ojca nie lubił chodzić po górach. Nienawidził łażenia po stokach. Nie cierpiał sytuacji, gdy był spocony i nie mógł wziąć prysznic. Tymczasem w schroniskach różnie bywało z wodą. Nawet jeżeli była, to często zimna. Nocowanie w namiotach było koszmarem jego młodości. Eugeniusz, nim pogodził się z faktem, że jego jedyny syn nie będzie zapalonym wędrowcem, solidnie zatruł Tadekowi życie. Zmuszając syna do dzwigania plecaka, osiągnął jedno: jako dorosły facet Tadeusz każdy urlop spędzał nad morzem lub nad jeziorami. Teraz jednak nie przyjechał odpoczywać. Co nie przeszkadzało mu podziwiać buchającej wiosny na zalesionych grapach. Z zadowoleniem też zauważył, że maj w Karpatach jest mniej upalny niż w Łodzi.

Zatrzymał samochód przed okazałą willą z lat trzydziestych. W drzwiach stanęła postawna kobieta około czterdziestki.

- Dzień dobry. Pisałem do pani Koterby. Obiecała, że ze mną porozmawia.

- A, to pan. Proszę.

Kostecki wszedł po schodach na piętro. Na tarasie z widokiem na góry siedziała staruszka. Uśmiechała się życzliwie, tkwiąc na inwalidzkim wózku.

- To pan?

- Tak, to ja.

Kostecki szarmancko ucałował dłoń nobliwej białogłowy.

- Herbaty?

- Chętnie.

Starsza pani kiwnęła ręką na czterdziestoletnią kobietę. Po kwadransie obok herbaty nęciło zapachem świeże ciasto.

- W czym mogę panu pomóc? Z tego, co wiem, sprawa mojej wnuczki została umorzona.

Spojrzała na góry.

- Przez to kalectwo nawet na pogrzebie nie byłam. Mój Boże, a to się rodzina posypała. Najpierw syn z synową, potem Barbara. Agatka wyjechała i pewnie już nie wróci. Niby nie ma wojny, a rodzina w rozsypce. Tylko ja się uchowałam.

Franciszka Koterba miała prawie pięćdziesiąt lat. Przeżyła dwie wojny, sanację, komunę. Jej pamięć sięgała czasów Franciszka Józefa. To na cześć dobrego cesarza dostała imię. Kostecki nie kojarzył, by gdzieś w Kongresówce ktoś ze staruszków miał na imię Mikołaj. Albo w Wielkopolsce - Wilhelm.

- Gdyby nie pani wywiady dla prasy w sprawie próby kradzieży figury Matki Boskiej z Ludźmierza, w życiu bym

do pani nie przyjechał.

- Zrozumiałam, że jest pan z Łodzi i prowadził pan śledztwo w sprawie morderstwa mojej wnuczki. Pan wybaczy, że nie zwracam się per obywatelu.

- W czasach normalizacji forma pan wraca do legalnego życia.

- To dobrze.

- Wszystko się zgadza. Przyjechałem z Łodzi. I prowadziłem śledztwo w sprawie śmierci pani wnuczki. Sprawa rzeczywiście została umorzona.

- O co więc chodzi?

- Umorziliśmy śledztwo, bo nie znaleźliśmy motywu. Ale po umorzeniu pojawiły się okoliczności, które być może ten motyw nam wyjaśnią.

- Co to za motyw?

- Czy pamięta pani chrzest Agaty?

- Tak. Jeszcze wtedy mogłam chodzić. Byłam w Łodzi.

- Pamięta pani, kto udzielał chrztu?

Przez pomarszczoną twarz staruszki przeszedł cień gradowej chmury.

- Wtedy go poznałam. Niech będzie przeklęte jego imię.

- Pamięta pani, jaki dał prezent Agacie? Czy też raczej: jej rodzicom.

- Oczywiście, że pamiętam. To był pejzaż Jana Steena.

- Był cenny?

- Cenny? Proszę pana, Jan Steen to jeden z najlepszych malarzy holenderskich.

- To dlaczego go wam po prostu sprezentował?

- Po pierwsze: wtedy, w tysiąc dziewięćset

sześćdziesiątym roku, jeszcze nie prowadził działalności przestępczej.

- A po drugie?

- On nie był żadnym fachowcem. Miał wiedzę na poziomie solidnego studenta historii sztuki. To ja mu uświadomiłam, że prezent, który dał Agatce, jest bardzo cenny.

- Co się stało z obrazem?

- Nie wiem. Od prawie dwudziestu lat jestem przykuta do wózka. Pamiątka z pacyfikacji wsi Gruszowiec się odezwała.

- Nie bywała pani u wnuczki?

- Po chrzcie chyba tylko raz. Już podczas chrztu bardzo źle chodziłam.

- Odwiedzali panią?

- Rzadko. Ale pisywaliśmy do siebie. Regularnie.

- Ale o obrazie Steena wnuczka nie pisała?

- Nie. A ja nie pytałam.

Zapadła cisza. Znad Śnieżnicy przyszedł wiatr.

- Za to ten łajdak odwiedzał mnie bardzo często.

- Przez przypadek została pani jego rzeczoznawcą?

- Mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy.

- Nękali panią?

- Milicjanci?

- Tak.

- Skąd! Milicjantów interesował przemyt i wartość rynkowa towaru.

- Może nawet nie wiedzą o tym, że pani znała Dygasa?

- Bardzo prawdopodobne. Podczas śledztwa nikt ze mną

nie rozmawiał.

- Z każdym artefaktem do pani przyjeżdżał?

- Nie. Jestem konserwatorem sztuki. Specjalizowałam się w malarstwie. O, na przykład, porcelanie miśnieńskiej nie mam większego pojęcia. Przywoził mi obrazy i ikony, a ja mu mówiłam: „To jest wartościowe, a to jest chłam”.

- Z ikoną Pawła z Radymna też był u pani?

- Nie. Nie był. Za to przywiózł mi rok przed aresztowaniem Hodegetrię Tymofija Drobysza i Jezusa Pantokratora Fedora Horoszkowycza.

- To znani malarze?

- W świecie specjalistów bardzo. Drobysz żył w piętnastym wieku w Przemyślu, Horoszkowycz pochodził z Sanoka. Działał wiek później. Obaj są absolutnymi mistrzami. Nie wiem, ile za te ikony dostał. Pewnie majątek.

- Z całej szajki był najsprytniejszy. Pieniądze ukrył w Szwajcarii.

- Niech go piekło pochłonie. Nie mogę sobie darować, że przyłożyłam rękę do tego obrzydlistwa.

- Myśli pani, że bez oceny rzeczoznawcy by tych dzieł nie wywiózł?

- Nie wiem.

- Po prostu dostałby niższą stawkę.

- Wie pan, wiele mogę zrozumieć i wybaczyć. Ale jeżeli ksiądz organizuje szajkę przemytników i wywozi z kraju to, czego jakimś cudem nie wywieźli hitlerowcy i nie zniszczyli Sowieci, to uważam to za zgniliznę. Innego słowa nie znajduję.

Zefir idący od Śnieżnicy przyniósł miły chłód.

- O to chciał mnie pan zapytać?

- Właściwie tak. Teraz znam motyw śmierci pani wnuczki. Bandyci chcieli ukraść obraz. Przez przypadek zamordowali wnuczkę, która czegoś zapomniała i wróciła do domu. Pytanie tylko, skąd wiedzieli, że w skromnym mieszkaniu na Dąbrowie jest obraz warty miliony złotych.

- Kiedyś na pewno pan to wyjaśni.

Zbliżała się pora obiadu. Tadeusz dyplomatycznie odmawiał, ale w głębi duszy marzył, by móc pokosztować specjałów rodem z góralszczyzny czy też lachowszczyzny. Miejsce, gdzie przebywali, leży bowiem na etnograficznej granicy.

Na stół wjechały pachnące kotlety faszerowane grzybami i oscypkiem. W białym dzbanku buzowało wino.

- Prosto z Tymbarku. Niech pan skosztuje - zachwalała gospodyni.

Kostecki umoczył usta. Z żalem wspomniął płyny, które w łódzkich sklepach były nazywane winami owocowymi. To z Tymbarku było autentycznie pyszne. Na deser podano ciasto z konfiturą.

- Myśli pan, że włamanie w Ludźmierzu może mieć związek z zabójstwem mojej wnuczki?

- Nie wiem. Z tego, co donosiła prasa, raczej nie. Przemycenie rzeźby Madonny nie byłoby łatwe. Domyślam się, że bandyci z Podhala nie byli wyspecjalizowanymi przestępcami. Raczej wygląda mi to na amatorszczyznę. Nie mogąc ukraść figury, uszkodzili ją.

- Już chyba wolę przemytników. Przemycone dzieło sztuki można teoretycznie odzyskać. Zniszczonego już nie.

- Ma pani rację.

- Naród, który nie szanuje swojego dziedzictwa, nie zasługuje na miano narodu.

- Ma pani rację.

- Niech pan sobie wyobrazi, że kilkanaście kilometrów stąd stał piękny modrzewiowy kościół z siedemnastego wieku. Miejscowi chcieli wybudować nowy. Ale wszyscy mieścili się w tym starym. Proboszcz miał swoje lata, nie chciał angażować się w budowę. Któregoś razu kościół spłonął. Wóz Ochotniczej Straży Pożarnej akurat się zepsuł. Na wszystkich dożynkach był sprawny, na odpustach też. Drzwi do magazynu z łopatami i piaskiem się zacięły. Akurat wtedy. Kościół spłonął. W środku był ołtarz barokowy z osiemnastego wieku. Następnego dnia okazało się, że są już gotowe plany nowego kościoła. Stoi toto i straszy. Zamiast belki tęczowej, którą przeniesiono ze starego średniowiecznego kościoła, mamy teraz plastikową Matkę Boską. Ksiądz zasiada na złożonym fotelu. Wszyscy są zachwyceni nowoczesnym kościołem. Biskupowi też się podoba.

Kostecki łyknął wina.

- Myślę, że opinię publiczną bardziej gorszyło bogate życie erotyczne Dygasa niż to, że przemycał dzieła sztuki - dokończyła.

- Będę się żegnał. - Tadeusz zbierał się do wyjścia.

- Niech pan przenocuje. Miejsca jest dosyć. Dopiero na lato przyjeżdżają siostry zakonne. To ich dom. W zamian za pomoc przy rewitalizacji dzieł sztuki biskup Macharski pozwolił mi spędzić tutaj resztę życia.

Wizja sutego śniadania przeważyła. Kostecki postanowił zostać na noc.

Następnego dnia po śniadaniu wsiadł do samochodu. W bagażniku miło dla ucha bulgotały baniaki z winem tymbarskim. W wielkim koszu zaś spokojnie leżały kiełbasy i szynki. Tadek był rad, że będzie mógł zrewanżować się Jurdze za różne przysmaki, którymi dotychczas raczył go kolega z Polichna.

Rozdział 29

- Na Śnieżnicy byłeś? - Felek wypytywał o szczegóły wyjazdu.

Maj wciąż był tak upalny, że przypominał lipiec. Żar doskwierał nawet wandalom, więc ci tego dnia nie mieli ochoty na niszczenie czegokolwiek. Przynajmniej w parku Matejki, w którym siedzieli Tadeusz z Felicjanem. Na prośbę Tadeusza przycupnęli w wąskiej alejce ściśle obwarowanej zielenią. Raczyli się winem, które przyjemnie odprężyło po dniu pracy.

Kostecki był już po urlopie. Po wizycie u pani Franciszki pojechał jeszcze do Tarnowa. W muzeum diecezjalnym trwała akurat wystawa skradzionych dzieł sztuki odzyskanych przez MO. Władze dobrze przygotowywały się do wizyty papieża. Wystawa miała podkreślać współpracę pomiędzy państwem a kościołem. Niestety Tadeusz nie wpadł tam na żaden trop.

- Nie byłem.

- Ale to winko! Naprawdę bomba.

- Na dwa posiedzenia spokojnie starczy. Mam zapas w domu.

Alejką przeszły dwie studentki. Chyba znudziło im się ślęczenie nad książkami w pobliskiej bibliotece. Obaj otaksowali samice wzrokiem.

- Dowiedziałeś się czegoś?

Jurga westchnął. Zgodnie z umową, przez tydzień starał

się zebrać jakieś dane o Złamasiu. Zbyt wielu informacji jednak nie miał.

- To, że ma czterdzieści lat i pochodzi z Turku, już wiesz. W Warszawie zajmował się sprawą pracowników Desy. Chyba o tym słyszałeś. Musi mieć piekielnie silne plecy, bo z tego, co wiem, za jego przyjściem nie stał Moczowski. Rozkaz przyszedł z samej góry.

- Czyli od Kiszczaka?

- Tego nie wiem. Przeceniasz moje skromne możliwości. Ale musi ktoś za nim stać, bo dostał już kilka orderów.

- Ale nadal jest tylko porucznikiem.

- I to jest trochę dziwne. Może po prostu jest dobrym gliniarzem i tym należy tłumaczyć jego przybycie do Łodzi.

- Coś jeszcze?

- Rzadko pije. Dla nas chyba zrobił wyjątek.

- Naprawdę niczego nie znalazłeś? Nie kupuje mięsa na wsi? Nie ma kumpli cinkciarzy?

- Powtarzam. Przeceniasz moje możliwości. O cinkciarzach nic nie wiem. Może w Warszawie. U nas nie.

- To dupa.

- A czego ty oczekiwałeś?

- Myślałem, że ma jakieś, hmm, tajemnice. Białe plamy w życiorysie.

- Jest mistrzem w karate. Ma czarny pas. Nie pali. Codziennie biega. Normalny glina.

Kostecki zanurzył usta w winie. Mimo solidnego schłodzenia było już ciepło.

- Obiecałeś, że wyhamujesz - przypomniał Jurga.

- Słowo nie dym.

Tadeusz rozlał resztki wina do kubków, które ukradli z milicyjnej stołówki.

- Nowa ustawa wchodzi.
- Wiem. Nie będzie suchych poniedziałków.
- Za to alkohol będzie dopiero od trzynastej.
- I tak rzadko bywał z rana.

Wypili cały pięciolitrowy baniak. Słońce powoli zachodziło. Robiło się nieco chłodniej. Z budynków uniwersytetu wysypały się tłumy studentów. Młodzi przechadzali się po parkowych alejkach, oddychając świeżym powietrzem. Przez chwilę myślał, że widzi Kingę. Zdawało mu się.

Wino zrobiło swoje. Nigdy się specjalnie nie przejmował tym, że wsiada za kółko na bani. Teraz jednak naprawdę był wypity. Wino i upał stworzyły mieszankę wybuchową. Postanowił iść do domu piechotą. Jurga proponował taksówkę. Tadek uparł się i z pijacką konsekwencją trwał przy swoim zdaniu.

Daleko nie zaszedł. W parku przy dworcu Fabrycznym zaległ w krzakach na tyłach cerkwi.

Obudził go poranny chłód. Wróciwszy do samochodu, pojechał na Retkinię. Tam umył się, pokimał jeszcze godzinę i we względnie dobrej formie wybrał się do pracy.

Od tygodnia Złamaś i Jurga przesłuchiwali krąg dalszych znajomych Czołczanieckich. Było ich wielu. W kolejce było ponad stu znajomych, którzy przez ostanie półtora roku przewinęli się przez dom mecenasów. Gdy Kostecki bawił na południu, rozmowy prowadzone przez funkcjonariuszy niewiele dały.

Tego dnia termin przesłuchania przewidywał rozmowę

z Franciszkiem Biskupskim. Za tydzień na komendzie miała się pojawić Kinga Rudzka. Jurga proponował przyjacielowi, że weźmie na siebie odium, ale Tadeusz stanowczo odmówił.

Tymczasem do komendy przyszedł Biskupski. Widać było, że nie pierwszy raz w życiu jest przesłuchiwany.

- Franciszek Biskupski. Lat czterdzieści siedem. Urodzony w Ozorkowie. Inżynier. Syn Wincentego i Anieli z domu Siedleckiej - wyrecytował jednym tchem.

- Od kiedy zna pan Czołczanieckich?

- Od początku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku.

- W jakich okolicznościach pan ich poznał?

- Za pośrednictwem ojca Miecznikowskiego.

- Ile razy był pan u nich w domu?

- Dwa albo trzy.

- Bywał pan w gabinecie mecenasa?

- Nie.

- A od kiedy zna pan ojca Miecznikowskiego?

- Zeznaję w sprawie politycznej?

- Nie. Po prostu pytam.

- Od kiedy przyjechał do Łodzi. Czyli od połowy lat sześćdziesiątych.

- Był pan w duszpasterstwie?

- Tak. Wcześniej uczęszczałem do wspólnoty przy parafii Matki Boskiej Zwycięskiej.

- Ksiądz Dygas był opiekunem?

Biskupski się zaczerwienił. Wyraźnie żałował, że powiedział coś, czym niespecjalnie się chełpił.

- Były ksiądz. Kościół odcina zatrute owoce.

- Pięknie powiedziane. Pana dziecko też było chrzczone przez Dygasa?

- Tak.

- Dostaliście jakiś prezent od niego?

- Nie pamiętam. Jestem o coś oskarżony?

- Nie. Po prostu pytam. Dlaczego odszedł pan od duszpasterstwa na Łąkowej i przeszedł do Jezuitów?

- A jak pan myśli, panie poruczniku?

- To ja zadaję pytania w tej sprawie.

- Z każdym rokiem ksiądz Dygas coraz mniej zajmował się młodzieżą.

- Za to coraz bardziej dziełami sztuki.

- To chciałem powiedzieć.

- Ktoś jeszcze przetransferował się do Jezuitów? Mam nadzieję, że piłkarska terminologia pana nie ubodła.

- Parę osób. Wie pan, panie poruczniku, ludzie kończą studia, rodzą się dzieci. Nie wszyscy mieli czas na zmianę klubu.

Obaj się uśmiechnęli.

- Pamięta pan, kto?

- Janusz Pietrzak na pewno, Bronek Walot chyba też. Nie były to tłumy.

- Czy znał pan Barbarę Koterbę? Po mężu Gryglaszewską.

Biskupski intensywnie myślał.

- Taka chuda? Chyba kojarzę. Ale ona krótko przychodziła. Pamiętam ją jak przez mgłę.

- Nie żyje. Została zamordowana. Jest prawdopodobne, że zabójca chciał ukraść obraz, który dostała od Dygasa

z okazji chrztu córki. Pan z żoną na pewno nie dostaliście prezentu?

Biskupski zmniejszył się w sobie. Zrobił się blady jak jurajska skała koło Ojcowa.

Kostecki postanowił iść za ciosem.

- Mniej więcej miesiąc temu zamordowano małżeństwo Pudlarzy.

- Tak. Wiem. Byłem z żoną na pogrzebie.

- Oni też dostali od Dygasa prezent.

Ręce Biskupskiego całe zaczęły dygotać.

- Jak pan sobie przypomni, to niech pan da znać.

- Dostaliśmy taki obraz.

- Wie pan, kto go namalował?

- Nie mam pojęcia. Nie interesuję się sztuką. Nawet nie bardzo wiem, gdzie go żona wetknęła. Mieliśmy remont.

Kostecki pomyślał, że dla jego interlokutora byłoby lepiej, gdyby wiedział, że być może ktoś chce mu wywiercić dziurę w kolanie.

- Ostatnie pytanie. Czy w ostatnim okresie, powiedzmy, półtorarocznym, odnowił pan znajomość z kimś z dawnego grona kolegów? Czy ktoś, z kim pan od kilkunastu lat się nie spotykał, nagle nawiązał z panem kontakt?

- Tak. Boguś Sudański, Włodek Gruchot, Alina Kozłowska. Dzieci rosną. A ojczyzna...

- Chciał pan powiedzieć: „wzywa”?

- Tak właśnie chciałem powiedzieć.

Dwa dni później Kostecki przesłuchiwał Janusza Pietrzaka.

- Ile razy był pan u Czołczanieckich?

- Raz. To była wiosna tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego.

- Czy był pan w gabinecie mecenasa?

- Nie. Tylko w jadalni i w ogrodzie.

- Podobno za młodu działał pan w duszpasterstwie u księdza Dygasa?

- Jestem o coś oskarżony?

- Nie. Po prostu mordercy zabrali obraz, który Czołczanieccy dostali od niego z okazji chrztu córki. Pan też chrzczył syna u Dygasa?

- Tak.

- Dostał pan jakiś prezent? To znaczy czy syn dostał?

- Nie pamiętam.

- Znał pan Pudlarzy?

- Byłem na pogrzebie.

- Oni dostali prezent. Ikonę.

- Z tego co wiem, na początku lat sześćdziesiątych Dygas nie prowadził działalności przestępczej.

- Ma pan rację. Nikt nie oskarża pana o współudział. Śledztwo w sprawie przemytu zostało dawno zamknięte. Przestępcy siedzą w więzieniu. Jednak są poszlaki, które każą mi łączyć postać Dygasa z morderstwami.

- Dostaliśmy taką srebrną paterę z czasów saskich.

- Gdzie ona teraz jest?

- Sprzedaliśmy ją. Syn jeździ samochodem.

Chociaż jeden mądry - pomyślał Tadeusz.

Rozmowa z Aliną Kozłowską była dla Tadeusza zdecydowanie trudniejsza.

- Wrobiliście go!

- Kogo?

- Księża Dygasa. On był zwyczajnym kolekcjonerem. Ratował zabytki. Był ich prawdziwym miłośnikiem. Zniszczyliście mu życie. Jest męczennikiem. Dlatego go dopadliście.

Kostecki był dla ludzi wyrozumiały, lecz w przypadku przesłuchiwanej powoli tracił cierpliwość.

- Że też kary na was nie ma! Mordercy, bandyci!

- Przywołuję panią do porządku. Zeznaje pani w sprawie morderstwa.

- Wy jesteście mordercami, mordercami Chrystusa! Zabijcie mnie też, niczego się nie boję. Przyzwoitą kobietą jestem!

Po najtrudniejszym przesłuchaniu w życiu Kostecki ustalił, że Kozłowska dzieci nie ma. To akurat milicjanta nie zdziwiło. Zaskoczony był faktem, że Dygas przekazał podarek jej chrześnicy, córce jej brata.

- Pamięta pani, co to był za prezent?

- Serwis porcelanowy.

- Z miśnieńskiej porcelany?

- A bo ja wiem?

- Brat mieszka w Łodzi?

- Nie, wyjechał do Niemiec.

- Z pani chrześnicą?

- Z całą rodziną. Jeszcze za Gierka.

Do rozmowy z obywatelką Kingą Rudzką Tadek przygotowywał się tak, jak umiał najlepiej. Wypił cały zapas z Tymbarku. Potem także to, co udało mu się dodatkowo zdobyć. I zweryfikował swoje zdanie w sprawie

najtrudniejszego przesłuchania w życiu. Ono dopiero było przed nim.

Kinga nie wyglądała dobrze. Upały wyraźnie jej nie służyły. Miała podkrążone oczy i poszarzałą twarz.

Kostecki miał ochotę uciec. Żałował, że nie skorzystał z oferty Felka.

- Kinga Rudzka. Urodzona w Kaliszu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku. Córka Floriana i Genowefy. Wykształcenie wyższe. Zatrudniona w Łódzkim Domu Kultury. Z uwagi na brak mieszkania przebywa u wujostwa Łodzi. Adres obywatel porucznik chyba zna? - Była przygotowana.

Kostecki czuł, jak mu drżą ręce. Pocił się.

- W jakich okolicznościach poznała pani Czołczanieckich?

- Na początku stanu wojennego. Kilka razy byłam u nich w domu. Z denatką rozmawiałam o literaturze. W gabinecie mecenasa nie byłam, obrazu nie widziałam.

- Proszę czekać na moje pytania. Prowadzę śledztwo w sprawie o morderstwo.

- Dobrze, będę posłuszna.

- Jeżeli pani pochodzi z Kalisza, to rozumiem, że ojca Miecznikowskiego poznała pani właśnie tam.

- Tak. Jako dziecko. Moi rodzice byli znajomymi ojca. Mój przyjazd na studia do Łodzi zbiegł się mniej więcej z powrotem ojca na Sienkiewicza.

- A czy może zna pani nazwisko Dygas?

- Nie kojarzę. A powinnam?

- Nie. Tylko pytam. Ten człowiek być może ma jakiś związek z zabójstwem.

W głębi duszy Tadeusz odetchnął z ulgą. Tymczasem twarz Kingi wykrzywiła się w grymasie.

- Muszę do toalety.

Kostecki szybko zaprowadził ją do ubikacji. Niemal biegła. Po chwili usłyszał odgłosy charakterystyczne dla wymiotów.

Po kilku minutach Kinga wyszła blada jak trup. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

Po jakimś czasie można było wznowić przesłuchanie. Z punktu widzenia śledztwa zeznania Kingi nic nie wniosły do sprawy. Kostecki chciał ją zapytać o Dygasa. Odpowiedź bardzo go ucieszyła. Gdy uznał, że nie ma sensu kontynuować przesłuchania, powiedział:

- Odprowadzę panią do wyjścia.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Nalegam. Złe się pani czuje. Jeszcze pani się przewróci, złamie rękę, a Wolna Europa powie, że na komendzie mordujemy opozycjonistów.

Kostecki mówił to raczej żartobliwie. Nie zdawał sobie sprawy, że jego koledzy z Warszawy miesiąc później wcale nie żartowali, zabijając Grzegorza Przemyska.

Gdy doszli do drzwi wyjściowych, Kinga się zachnęła.

- Dam sobie radę.

Mimo to wyszedł wraz z nią na zewnątrz.

Po wyjściu Kinga ruszyła pod pobliskie krzaki. Męczyły ją wymioty. Gdy ochłonęła, Kostecki do niej podszedł.

- Jesteś chora?

- Nie, idioto, jestem z ciąży.

Przesłuchania Kosteckiego nie budziły entuzjazmu jego zwierzchnika.

- Twoje pytania nie dotyczą toczącego się śledztwa.

- Czółczanieccy dostali obraz od Dygasa. Tak zeznał mecenas.

- Interesuje nas przede wszystkim to śledztwo.

- Dlatego drążę wątek najbardziej interesujący.

- Nie zajmujemy się stanem majątkowym obywateli.

- Pytam o rzeczy istotne dla śledztwa.

- To jest tylko twoje zdanie.

- A Gryglaszewska?

- O Gryglaszewskiej wiemy tylko tyle, że dostała od Dygasa cenny obraz z okazji chrztu córki. Nie mamy śladu dowodu, że obraz zniknął wraz z jej śmiercią. Mogła go sprzedać. Mógł ulec zniszczeniu. Mógł się nim zaopiekować jej mąż filmowiec. Być może pieniądze za obraz dawno przehulał. Ostrzegam was, poruczniku.

- Naprawdę nie widzi pan związku, kapitanie?

- Nie widzę. Trzymam się faktów i dowodów.

- Fakty są takie, że w ciągu ostatniego półroczka zginęły cztery osoby. Wszystkie były na swój sposób związane z Dygasem. Naprawdę uważa pan, że to przypadek?

- To może być przypadek. Zabójstwo Pudlarzy zostało wyjaśnione. O śmierci Gryglaszewskiej wiemy tak mało, że wszystko, co powiemy, będzie wróżeniem z fusów.

- Uważam, że zabójstwa Pudlarzy nie wyjaśniliśmy.

- Rozmawialiśmy już o tym. Temat uważam za zamknięty.

Kostecki zbierał się do odmeldowania, gdy Banasik dodał.

- Felicjan odchodzi do Warszawy.

- Jurga?

- A znasz innego? Jego żona dostała etat tłumacza w nowej agencji handlu zagranicznego.

- A Felek?

- Będzie służył w Warszawie.

- Nic mi nie mówił.

- Bo sam jeszcze o tym nie wie. Świeża sprawa.

Jurga był szczęśliwy.

- Stary, czteropokojowe mieszkanie. Magda wreszcie się odkuje. Dobrze będą płacić. Wiesz, pierwszy etap reformy gospodarki.

- Wiesz, kto przyjdzie na twoje miejsce?

- Ten protegowany Banasika. Jabłoniak. Tak się chyba nazywa.

- Od kiedy przechodzisz do stolicy?

- Od czerwca. W związku z przyjazdem papieża są różne ruchy kadrowe.

- Trochę szkoda.

- Będziemy się spotykać. Przecież to blisko.

- Ze Stefanem będziemy wpadać.

Oczywiście awans Felicjana został solidnie uczczony.

Kostecki dziwnie się czuł. Z jednej strony cieszył się z awansu kolegi. Z drugiej: wiedział, że będzie mu ciężko. Złamaś wydawał się w porządku, ale Tadeusz dobrze wiedział, że takie relacje jak te z Pajakiem czy Jurgą nie należały do standardów relacji międzyludzkich w resorcie.

Po południu, przed wyjściem z pracy, Tadeusza zatrzymał porucznik Złamaś.

- Mam sprawę.

- Wal jak w dym.

- Do Łodzi przyjechała wreszcie moja żona z synami. Potrzebuję przenieść parę gratów. Pomożesz?

- Gdzie i o której?

- Jutro wieczorem o godzinie osiemnastej. Wieżowiec nieopodal szpitala, jak wy to mówicie, w Kochanówce.

- Jesteśmy umówieni.

Następnego dnia wieczorem Kostecki podjechał pod ogromny wieżowiec leżący na granicy Łodzi i Aleksandrowa Łódzkiego. Bloki na tak zwanej Rogatce zostały oddane do użytku tuż przed krachem ekipy Gierka.

Duże, czteropokojowe mieszkania były marzeniem tysięcy ludzi. Niektórzy gotowi byli dać sobie nerkę wyciąć, by móc mieszkać w tych prawie osiemdziesięciometrowych lokalach.

Dla Tadeusza wnoszenie pakunków, pudeł, krzesel, rozkręconych części szafek było dobrym treningiem. Mimo dużej windy targali wszystko po schodach. Złamaś uznał, że nie ma sensu blokować współobywatelom transportu.

- To tylko czwarte piętro - powiedział.

Po dwóch godzinach Tadeusz zipał i sapał jak lokomotywa z wiersza Tuwima. Pot zlewał mu ciało. Z zazdrością patrzył na kilka lat starszego kolegę. Sławoj zdjął koszulę, ukazując imponujący korpus gladiatora. Tadek z wyrzutami sumienia przypominał sobie wszystkie opuszczone treningi judo. Dźwigał jednak zawzięcie. Nie chciał dać po sobie poznać, że ma dosyć.

- Fajrant! - krzyknął Sławoj.

Kostecki odetchnął z ulgą. Mimo że była już prawie godzina dwudziesta, nadal panował upał.

- Zapraszam na poczęstunek. Czym chata bogata. -
Złamasz z radością pocałował żonę.

Kostecki raz po raz łapał się na tym, że gapił się bezwstydnie na panią Mariolę. Połowica Złamasia była niebywale piękną kobietą. Biała sukienka opinała zgrabne i opalone ciało. Mariola ciepłym głosem zwróciła się do Tadeusza:

- Jesteśmy panu bardzo wdzięczni. Proszę spocząć. Przepraszamy za warunki polowe.

Szacunek porucznikowi oddali synowie kolegi. Po obydwu latoroślach było widać, że ojciec aktywnie uczestniczył w procesie wychowawczym. Obaj imponowali sprężystością ruchów.

Dumny tata przedstawił synów:

- Karol ma szesnaście lat, trenuje koszykówkę. Młodszy Andrzej latem skończy czternaście. Ma dar do zapasów.

Synowie szurnęli nogami. Podali ręce i rozeszli się, by urządzać swoje nowe pokoje.

Na stole leżały półmiski z plasterkami szynki, krakowskiej, podwawelskiej. Tadeusz z lubością pomyślał o doznaniach smakowych.

- Z Pewexu? - zapytał.

- Z Baltony.

Za plecami Tadka rozległ się miły uszom syk.

- Gorąco, to pomyślałem, że zaczniemy od piwa - zagał gospodarz.

Po ściankach kufli spłynęły strugi pianistego płynu.

- Paulaner. Prosto z Bawarii.

Kostecki łapczywie wychylił czarę. Zimne piwo skruszyło gulę gorąca i kurzu zalegającą w gardle.

- Zdrowie gospodarzy! - zawołał rześko.

- Skosztuj.

Obok wędlin do konsumpcji zapraszały rzodkiewki i liście sałaty. Przez chwilę jedli w milczeniu.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, gospodarz wyciągnął butlę spod znaku Chivas Regal. Ciemnobursztynowy trunek zabulgotał w kieliszkach.

- No to na zdrowie - rzekł gospodarz.

Kostecki z trudem przełknął whisky. Dopiero po jakimś czasie, obserwując gospodarza, zrozumiał, że wynalazek z Wysp Brytyjskich należy saczyć małymi łykami. Najchętniej wylałby alkohol do klozetu, ale wstydził się wyjść na prostaka z prowincji. W duszy jednak przeklinał wynalazek Szkotów.

- Podziwiam cię za twój upór i trzymanie się wątku Dygasa.

- Ciebie nie dziwi, że w ciągu pół roku trafiły do piachu cztery osoby w jakimś stopniu z nim związane?

- Wcale. Czytałem materiały ze śledztwa tej Gyglaszewskiej. Nic nie wskazuje na to, by miała obraz. I by był on celem napaści.

- Gryglaszewskiej.

- Właśnie. Przekręciłem. Przecież ten obraz mogła sprzedać. Komuś dać. Mógł się zniszczyć. Ponosi cię fantazja.

Złamaś łyknął whisky i kontynuował:

- Przez ręce Dygasa przeszły tysiące, powtarzam, tysiące dzieł sztuki. Znał wielu ludzi. Na początku lat sześćdziesiątych, kiedy jeszcze nie był przestępcą, tylko entuzjastą, mógł rozdawać obrazy czy porcelanę na prawo i lewo. Gdybym wiedział, że moje dzieci mogą dostać na prezent z okazji chrztu równowartość dobrego samochodu, tobym je ochrzcił. - Złamaś zaśmiał się głośno.

- Powiem szczerze, że ten klecha mi zaimponował. Zawsze myślałem, że to cioty są. A tu proszę. Babeczkę sobie przygruchał, że ho ho. Panienki też miały o nim jak najlepsze zdanie. Prawie całą forszę ulokował w Szwajcarii. Jego świeccy kumple stracili wszystko. A on, jak wyjdzie z pudła, będzie milionerem. Chyba nie tylko złotówkowym.

- Z tego co wiem, dostał niski wyrok.

- Tak. Dwanaście lat na tle tych dwudziestu pięciu, które dostał Mętlewicz, to rzeczywiście pinecha.

- Ciekawe, jak sąd to uargumentował.

- Tak, jak miał uargumentować. W końcu sądy w Polsce są niezawisłe. - Sławoj się rubasznie zaśmiał.

- Dziwi mnie, że w sprawę zamieszani byli dyplomaci brazylijscy, a kontrwywiad tego nie wyłapał.

- Może mieli u siebie normalizację. - Złamaś znowu się obśmiał. - A mówiąc poważnie, chodziło o jakąś umowę gospodarczą z Brazylią. Były naciski z góry, by temat rozegrać dyskretnie. Prowadziłem wtedy sprawę pracowników Desy, to znam trochę kulisy.

Porucznik z Turku odetchnął i mówił dalej:

- Ci moi przy „złotogłowych” to były cienkie fujary. Dostali jakieś niskie wyroki. Chyba wszyscy już wyszli. Tak, przy Dygasie byli frajerami. Ten Dygas to miał jednak

fantazję. A już ten numer, jak się podawał za krewnego Degasa, to było mistrzostwo świata. Po prostu szarża w wąwozie Somossiera. Nie sądzisz, że naszym to takiej fantazji brakuje? Przed wojną taki Wieniawa potrafił wjechać na koniu do knajpy i wódkę zamówić. Wyobrażasz sobie teraz Florka Siwickiego na koniu? Przecież on by się na krowie nie utrzymał!

Obaj buchnęli śmiechem. Złamaś podjął przerwany wątek.

- Wracając do naszych spraw, ewentualnie sprawa tej staruszki od mecenasów może mieć jakiś związek. Pudlarzy załatwił ten Murzyn. O Gryglaszewskiej właściwie nic nie można powiedzieć w aspekcie motywu. Spotkałeś się już ze śmiercią jakiegoś znajomka Dygasa?

- Nie.

- No widzisz. A parę lat już w firmie robisz. Taki Banasik pracuje już ponad ćwierć wieku i też się nie spotkał. Zresztą oprócz sprawy tej Sobczakówny nie miał właściwie żadnej ciekawej. Wraz z tymi wszystkimi Zgierzami macie ponad milion mieszkańców. Z rachunku prawdopodobieństwa coś musi wynikać.

Porucznik uzupełnił kieliszki.

- Ale nie mówmy już o pracy. Słyszałem, że trenujesz judo.

- Tak, ale nie jakoś wyczynowo.

- Ja trenuję karate. Coś nas łączy. Nie ma jak Gwardie, prawdziwe milicyjne kluby. Każde porządne miasto ma klub

- Gwardię.

- Są jeszcze Błękitni.

- Naprawdę uważasz, że Kielce to porządne miasto? Albo

Stargard Szczeciński?

Znowu parsknęli śmiechem.

- Ci z Krakowa nieźle nam pomogli rok temu - powiedział Tadeusz.

- To było dobre. Tego karnego mam na wideo. Chcesz zobaczyć?

Kostecki poszedł za wzrokiem gospodarza. Na stoliku lśnił zestaw Philipsa. Obok telewizora stał magnetowid.

- Nie, przecież pamiętam. Jarguz drukował, aż oczy bolały.

- Tego numeru to Sobolewskiemu armia nie wybaczy. W roku, gdy krajem rządziła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, a najważniejszym człowiekiem w kraju był generał armii, mistrzem musiał zostać Śląsk, a nie klub jakiegoś małego Żydka.

- Podobno mieli już znaczki okolicznościowe zrobione.

- I na dodatek dziewiąty maja. W rocznicę zdobycia przez ludowe Wojsko Polskie Berlina. Siwicki nigdy tego Sobolewskiemu nie zapomni. Utrącą go. Jak nie teraz, to za jakiś czas. A już młodzi z Widzewa to będą mieć przekichane. Kogo tam kamasze swędzą? Myślińskiego? Będzie miał szczęście, jak się znajdzie w kompanii reprezentacyjnej.

- Złotego Darka pewnie nie wezmą. Podobno sprawa jest dogadana.

- Słyszałem. Ponoć dwadzieścia jeden milionów.

- Ile??? - Nie dowierzał Tadeusz.

- Dwadzieścia jeden. Ciekawe, jak generałowie z Gwardii to zaksięgują.

- I jak wytłumaczają ludziom, że milicyjna Gwardia sprzedaje dwudziestolatka do robotniczego Widzewa za dwadzieścia jeden milionów.

- W czasie normalizacji...

- Miejmy nadzieję, że się dogadają ze Smolarkiem i Romkiem. I że mu łódzkie powietrze nie zaszkodzi.

- Mnie tam nie szkodzi. Napijmy się. Za wielki Widzew.

- Myślałem, że za sprawę pracowników Desy to się dostaje awans, a nie ląduje w Łodzi.

- Mówiłem ci, że to płotki były. A odnośnie do awansu... Zobacz, niby kapitanem naszej kadry jest Żmuda, ale wszyscy wiedzą, że rządzi Boniek. Czasem nie warto być kapitanem. A Łódź? W Warszawie takiego mieszkania bym nie dostał. Chłopcy rosną. Każdy chce mieć swój kąt. Ja nie żałuję przenosin. I to zacne towarzystwo w pracy!

Brzdęknęły kieliszki. Kostecki się uśmiechnął, lecz w głębi serca marzył o czystej wódce.

Z każdym kwadransem Tadeusz gorzej się czuł. Zazdrościł gospodarzowi. Synów, pięknej żony, dużego mieszkania, zestawu Philipsa. Tylko mu whisky nie zazdrościł. Gdy się żegnali, Tadeusz z łezką w oku pomyślał o słowiańskich braciach z Iwanowa. Może ten „scjenołaz” nie był taki zły?

Upał zelżał. Wiosenny wieczór buchał zapachem bzów. Na widnokręgu zanikały róże i czerwienie zachodu słońca.

Pomyślał o Kindze. Oczami wyobraźni widział siebie u jej boku w mieszkaniu na Retkini. Gładził ją po wydatnym brzuchu. Koło nich kręciło się już jedno dziecko. Żal ścisnął mu serce.

Rozdział 30

- Musisz mi załatwić witryniarza.

Siedzieli w parku 3 Maja. Sączyli wino z Tymbarka. Kubki ukradli z milicyjnej stołówki. Mimo że Kostecki dobrze schłodził trunek, ten był już ciepły. Będący kiedyś lasem park dawał schronienie przed palącymi promieniami słońca. Nie chronił jednak przed wysoką temperaturą.

- Ty naprawdę zwariowałeś. - Jurga zachłysnął się winem.

- Nie zwariowałem. Muszę tam wejść. Może być remanenciarz albo chociaż szczur.

- Jak cię złapią, to w pierdłu zrobią z ciebie piździelca. Nikt ci ręki nie poda.

- To chociaż jakiś wytrych galanty załatw. Masz kontakty. Polichno, Pajęczno, Żytno. O Radomsku nie wspominam.

- Stary. Powiedz, po chuj?

- W pierdłu siedzi niewinny człowiek. Grozi mu czapa lub dwadzieścia pięć lat. To chyba wystarczający powód?

- Człowieku, odpuść. Znajdź sobie kobietę. Wykończysz się, to obsesja.

- Nie wierzę w przypadek. W ciągu paru miesięcy mamy cztery trupy, które w jakimś stopniu są związane z Dygasem. Gdy przywieźliśmy z Warszawy wątek ikony, natychmiast pojawił się świadek, który całkowicie zbił nas z tego tropu. Ciekawe, czy gdybym mieszkał na Rokiciu, sąsiad Pudlarzy też obrazowo przedstawiałby problem

retkińskiej katastrofy.

- Myślisz, że...

- W trakcie zabójstwa Pudlarzy był w Turynie. Powiedz mi, gdybyś nie był milicjantem, ale, dajmy na to, tokarzem albo nauczycielem... Nie, to zły przykład, bo to banda idiotów jest. Powiedzmy, hydraulikiem gdybyś był, to co byś zrobił w Turynie?

- Spierdoliłbym.

- Brawo, Jasiu. Pewnie jeszcze przed meczem albo zaraz po nim. Każdy normalny człowiek by poprosił o azyl. Stan wojenny jeszcze trwa. Niektórzy z opozycjonistów ciągle siedzą w więzieniach. Myślisz, że Jaruzelski pozwoliłby sobie na taką wtopę? Mecz oglądał miliard ludzi. Wszystkie sportowe gazety Europy o nim pisały. I prawie wszystkie niesportowe. Dla władz byłaby to kompromitacja, gdyby wszyscy kibice Widzewa zostali na Zachodzie.

- Do Turynu pojechali...

- ...ci, co do których była pewność, że wrócą. Tego typu wycieczki zawsze organizuje Orbis. Obaj wiemy, który wydział zabezpiecza tę firmę.

- Sugerujesz, że...

- Inżynier ze Śląska mówił to, co mieliśmy usłyszeć.

- Banasik to kupił.

- Nie tylko Banasik. Ja też na chwilę dałem się nabrać.

- Ale bez twardych dowodów nie kupi tego żaden sąd.

- Dlatego potrzebuję tego witryniarza. Zakładam, że dowody są w mieszkaniu na Roosevelta.

- Eustachemu mogło się pomylić. Ma swoje lata.

- Nie twierdzę, że mam rację. Ale to mieszkanie jest

moim jedynym wyjściem. Jeżeli Eustachy się pomylił i włamię się do Bogu ducha winnych ludzi, to koniec. Odpuszczam. Znaczyć to będzie, że dupa ze mnie, nie śledczy.

Zapadła cisza.

- Pomożesz mi?

- Wiele wymagasz.

- Po to człowiek ma przyjaciół.

- Obiecaj mi, że jak mieszkanie będzie czyste, to temat odpuścisz.

- Obiecuję.

- Przysięgasz?

- Przysięgam.

- Nie wiem, czy dam radę załatwić szczura. Wolałbym wytrych. Ale znając twoje kaprawe witki...

Zaśmiali się. Kostecki nigdy nie miał zdolności manualnych. Cała komenda śmiała się z jego, nomen omen, niezręczności.

Pierwszy przestał się śmiać Kostecki.

- Przecież tego witryniarza spuszczę zaraz po tym, jak otworzy drzwi. Na klatce schodowej mieszka tylko taki stary dziadek. Nad Bzurą mu granat koło ucha eksplodował. Nic nie słyszy.

- Zobaczę, co się da zrobić. Ale słuchaj, jak wytłumaczysz, że Pudlarze byli związani? Wersja z Ubaką i wątkiem seksualnym jest logiczna, szczególnie w kontekście zeznań sąsiada.

- Powiedz, gdybyś ty lubił takie miki ze związaniem, to kiedy dałbyś się związać? Jak byś był w ubraniu?

- Raczej gdybym był na golasa.
- A oni byli w ubraniach.
- Ale jednak musieli znać zabójcę. Wpuścili go do środka.
- A ty komu zawsze otwierasz drzwi? Oczywiście poza znajomym.

- Sąsiadom.

- Sąsiedzi Pudlarzy z dołu i góry mieli żelazne alibi. Wszyscy oglądali mecz w większym gronie znajomych. Niektórzy oglądali wspólnie, na dodatek z innymi sąsiadami. Czyli szukaj dalej.

- W grę wchodzi listonosz. Ale o ósmej wieczorem żaden listonosz nie pracuje. Byłoby to dziwne.

- Ksiądz?

- Po kolędzie wpuszczam, ale pod koniec kwietnia?

- To kto jeszcze wchodzi w rachubę?

Jurga mocno się głowił.

- O godzinie dwudziestej wpuściłbym jeszcze lekarza z pogotowia albo strażaka.

- Dobry trop. A teraz zapomnij na chwilę, że jesteś gliniarzem.

- Milicjanta?

- Milicjant o godzinie ósmej wieczorem w sytuacji, gdy wokół jest cisza i spokój, też mógł budzić jakieś wątpliwości. Ale pamiętaj, że trwała akcja „Posesja” i przez cały tydzień kręcili się milicjanci. Były ogłoszenia o tym informujące. W takich okolicznościach milicjant pukający do drzwi nie budził wątpliwości.

- Myślisz, że...

- Niekoniecznie. Bandyty mogli po prostu użyć munduru

jako atrapy. Jeżeli Pudlarzami interesowali się od dawna, to musieli zakładać, że będą zabijać w czasie naszej akcji. Gazety i telewizja trąbiły o niej już w marcu. Wykorzystali „Posesję” jako element pomagający w napaści. Są sprytni.

- Myślisz, że to ten Sudański do spółki z inżynierem?

- Sądzisz, że nasz specjalista od wybuchu na Retkini się rozdziwił?

- Myślałem raczej o nim w kategoriach zbierającego informację.

- Niewykluczone. Zbierał informację dla Sudańskiego.

- Ale to pod znakiem zapytania stawia związek morderstwa Pudlarzy z zabójstwem staruszki i Gryglaszewskiej.

- Sam widzisz, że działamy we mgle. Jeżeli nie zaryzykuję wejścia do mieszkania na Roosevelta, to nie ruszymy z miejsca.

- Chyba że nic tam nie znajdziesz.

- Jest takie ryzyko.

- No cóż, dziś niczego już nie wymyślimy.

Sierżant znalazł się w niezłej kropce, między Scyllą a Charybdą. Refleksje Tadeusza były logiczne. Znał go i mu ufał. Jednak Jurga zdawał sobie sprawę, że prośba przyjaciela była, delikatnie rzecz ujmując, kontrowersyjna. I moralnie cokolwiek wątpliwa. Wracając do domu, bił się z myślami. Oczami wyobraźni był już w Warszawie. Chciał zostawić Łódź i rozpocząć nowe życie. Jak mniemał, łatwiejsze. Apteki w Warszawie były lepiej zaopatrzone. Było Centrum Zdrowia Dziecka. Leki, które załatwił mu Kostecki za pośrednictwem Kingi, już się kończyły. No i na własne oczy widział przecież hot dogi bez kartek. Po zakończeniu

służby marzył o założeniu małej knajpki. Z dobrym garmazem i wyszynkiem.

Rozdział 31

Upał odpuszczał. Kostecki siedział przy otwartym oknie w mieszkaniu Eustachego. Patrzył na ulicę. Gdy się wychylał, widział fragment Piotrkowskiej. Niczym nie różniła się od Nawrot, Tuwima, Sienkiewicza, Zielonej, Kościuszki. Była symbolem Łodzi. Jedną z najbardziej znanych ulic w Polsce. Kiedyś symbolizowała bogactwo łódzkich elit. Była okrętem flagowym złotej floty Scheiblerów, Grohmanów, Poznańskich. To tu mieściły się najlepsze knajpy. Jubilerzy oferowali kunsztownie zdobione klejnoty. Po ulicach sunęły eleganckie powozy, w II RP zamieniane na automobile. Mistrzowie sztuki kamieniarskiej prześcigali się w maestrii wykończeń kamienic. Wiele z tych kamienic mogło być uczą dla oka najbardziej wymagającego konesera architektury.

Tak Piotrkowska prezentowała się kiedyś. Wiosną 1983 wyglądała jak całe centrum. Nieremontowane od czasów carskich kamienice niszczały. Sklepy świeciły pustkami bądź tandetą. Gdzieś tam pobłyskiwała jakaś część neonu. Po osiemnastej ulica zamierała. W bramach straż pełnili wartownicy zaszczytanych podwórek. Nieco lepiej wyglądały posesje tam, gdzie urzędowali lekarze w prywatnych gabinetach lub prawnicy.

Kostecki nigdy nie mógł zrozumieć apatii łódzkich włodarzy względem głównej arterii miasta. Im chyba nie przeszkadzał smród idący z podwórek. Upałów Tadeusz nie

lubił, ale doceniał ich walor odkażający. Ostre słońce wypalało mury, na których pokolenia oddawały przerobione na mocz wino nazywane: „Z podpisem Gomułki”.

Mury przechodziły szczykami. Wzmacniał je urobek kotów, bezdomnych psów, a na niektórych posesjach – także szcurów. Obok nich wały się stare szmaty, resztki ziemniaków wymieszane z rzygowinami. W dni ciepłe i deszczowe te mieszanki eksplodowały feerią niemożliwego fetoru. W dni suche i upalne słońce wysysało smród. Dawało odsapnąć od zapachu życia z dnia na dzień.

- Życzysz sobie herbaty?

Kostecki lubił herbatę u Eustachego, który zawsze podawał ją w eleganckich filiżankach. Gdy był na Srebrzyńskiej, ostentacyjnie odmawiał picia herbaty ze szklanek.

- Tak. - Tadeusz zapalał miłością do tego napoju.

- Słodzisz?

- Odzwyczaiłem się.

- Ja też. Szkoda czasu na stanie w kolejkach. Kiedyś herbatę bez cukru uznałbym za *rara avis*, ale teraz recte nie słodzę. Jeżeli chodzi o stanie w kolejkach, to jestem skrajnym abulikiem. A może uraczysz się *ragoût*? *Recenter paratum*.

Kostecki nie bardzo kojarzył, o co Eustachemu chodzi, ale zgodził się, natychmiast przejmując styl wypowiedzi gospodarza.

- *Sub conditione*, że będzie dobre.

- Z prawdziwej baraniny.

- Opowiedz mi o tym mieszkaniu. Wszystko, co pamiętasz.

- O tych mecenasach rabulistach?

- Może być.

- Tak, jak już mówiłem, mieli duży ruch. Sporo interesantów. Pewnie salaria mieli godziwe. Zniknęli po marcu, to pomyślałem, że mogli być Żydami. Ale żadnej pewności nie mam. Sponuję.

- Rozmawiałeś z nimi?

- Kurtuazyjnie. Oni tu nie mieszkali, tylko wynajmowali na potrzeby zawodowe. Wieczorami ich nie było. W niedziele też nie.

- A ta wypożyczalnia?

- Ona też działała prężnie. Ludzie wypożyczali stroje.

- Rycerzy?

- Raczej listonoszy, strażaków, kominiarzy.

- Pracowali w niedzielę?

- Bez przesady. Mieli duży ruch w tygodniu.

- Kojarzysz kierowników tej wypożyczalni?

- Nie. Zmieniali się chyba. Wiesz, z kauzyperdami to o pogodzie mogę pogadać, ale z jakimś kierownikiem wypożyczalni strojów teatralnych? Bez przesady. Czy ja jakimś skomorochem jestem? Okres życiowej pantalonady mam za sobą. To byłaby dla mnie dyfamacja.

Kostecki uśmiechnął się.

- A ci Romańscy i Waśniewscy?

- Jak już mówiłem, przybyli pod sam koniec roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego. Cała rodzina zjawia się głównie w niedzielę na obiad. Jak wychodzę do katedry, to oni akurat się schodzą. Jak wracam, to roznoszą się zapachy obiadu.

- A w tygodniu?

- W tygodniu ktoś bywa głównie popołudniami. Gra telewizor. Czasem coś pichcą. Ale raczej jadają w zakładowych stołówkach. Bo te zapachy oprócz niedziel pojawiają się rzadko. Łatwo poznać, że są, bo przez szpary w drzwiach idzie dym papierosowy. Latem i wiosną czuć przez otwarte okna. Niektórzy z nich wyglądają dolente.

- W nocy palą?

- Bardzo rzadko.

- A inne nocne odgłosy?

- Co masz na myśli?

- *Ars amandi*.

- Mój drogi, to jest porządna kamienica. Mury grube, Niemcy budowali, nie Żydzi, nic nie słyhać. Tajemnice dormitoriów są zachowane.

- Latem też nie? Okna otwarte.

- Chyba sypialnię mają od innej strony. Nic nie słyszałem. Nigdy.

- Ale jakieś kobiety chyba tam mieszkają?

- Jakieś mieszkają. Widuję, ale się nie przyglądam.

- A tego faceta widziałeś? - Tadeusz pokazał zdjęcie Sudańskiego.

- Wiele razy. Parkuje zawsze takim audi przy mojej bramie. W niedzielę, jak wychodzę do katedry, to on idzie do Jezuitów. Nawet mówimy sobie „dzień dobry”.

- Ale w tym mieszkaniu Romańskich go widziałeś?

- Nie, nigdy. Pamiętałbym.

- A tego mojego rzekomego kolegę ile razy widziałeś?

- Raz na pewno. Oddałem mu list z elektrowni.

Przedstawił się jako inżynier Romański. Potem raz jeszcze mi mignął.

- Był sam? Z kobietą?

- Sam. Na pewno. A jeżeli była z nim jakaś kobieta, to musiała być brzydka.

Eustachy mrugnął. Kostecki się uśmiechnął.

- Jesteś pewien, że to ten sam, co był w „grandce”?

- Ten sam. Jestem pewien.

- Mówisz, że w nocy cisza i spokój.

- Nigdy niczego nie słyszałem.

- A obok nich nadal mieszka ten głuchy dziadek?

- Wyrażaj się. Rotmistrz Sielecki. Bohater znad Bzury. - Eustachy był oburzony na Tadeusza.

- To chciałem powiedzieć. Rotmistrz Sielecki. Nadal tam mieszka?

- Tak. Cały czas.

- Przenocuję u ciebie dziś w nocy.

- Przenocuj, ale jutro...

- Rozumiem. Pani z muzeum.

Eustachy lekko się uśmiechnął i kiwnął głową.

- To prawdziwa sawantka. Na dodatek seraficzna. Gdy z nią jestem, to czuję się, jakbym zażył jaką sedawitę. Załatwiłem z kurii passe-partout na wizytę papieża.

Tadeusz się uśmiechnął.

- Czyli będę mógł...

- Będiesz. Jakaś nowa znajomość?

- Powiedzmy.

- Gratuluję. Ojciec nie sarka, że nie ma wnuków?

- Sarka.

- No, to może teraz?

- Zobaczymy.

- Gdybyś potrzebował jakiegoś wsparcia, to daj znać.

- Co masz na myśli?

- Pierścionek zaręczynowy, obrączka, wesele. Do grobu pieniędzy nie wezmę. I tak tracą na wartości z miesiąca na miesiąc. Najwyższa pora ten *pas de deux* zalegalizować. Nie możesz być całe życie skirtotymikiem. Mam nadzieję, że nie urażam cię moim parenetycznym tonem.

- Nie. Będę pamiętać, jak się zdecyduję na legalizację związku. Ale to nie odbędzie się *standte kuede*.

- Cieszę się, że *pari passu* idziesz w stronę kulturalnej formy wypowiedzi.

Kostecki był na Eustachego wściekły. Z drugiej strony możliwość korzystania z jego mieszkania była bezcenna. Poczul chęć napicia się wódki. Zdusił ją w sobie. Gdy zegar wybił dwudziestą pierwszą trzydzieści, ostrożnie zszedł piętro niżej. Nadstawił ucha. Było cicho. Następnym oględzin dokonał godzinę później. Kolejnych - o pierwszej w nocy. Ostatnich - o czwartej nad ranem. Zawsze na klatce schodowej panowała grobowa cisza. Tej nocy chyba nikt w mieszkaniu nie spał.

Rozdział 32

Kolejnych kilka inspekcji wykazało, że Waśniewscy z Romańskimi albo zachowują się w nocy bardzo spokojnie, albo rzadko spędzają noce w mieszkaniu na Roosevelta. Z każdym dniem Kostecki dojrzywał do nader ryzykownej decyzji. Tuż przed przyjazdem papieża do Polski wreszcie odezwał się Jurga.

Czerwiec był tak samo ciepły jak maj. Zieleń przykryła na dobre wszystkie szarości miasta nad Łódką, Jasieniem i Nerem. Pozwalała odetchnąć, niwelując fabryczne wyziewy.

Siedzieli w Parku Śledzia. Jurga kończył sprawy związane z przeniesieniem do stolicy. Podczas wizyty Jana Pawła II miał już być funkcjonariuszem komendy stołecznej. Załatwienie formalności i przygotowanie przeprowadzki było czasochłonnym zajęciem. W trybie bojowym był więc przez cały dzień. Kostecki zaś był tak pochłonięty wieczorną obserwacją lokalu na Roosevelta, że po prostu nie miał czasu zakręcić się wokół złocistego płynu.

- Mam gościa z Żytna. Długo musiałem kombinować, by ci go znaleźć, ale nie zostawić za sobą tropu.

- Jestem ci wdzięczny.

- Nie ma sprawy.

- Otworzy drzwi i sobie pójdzie.

- Teraz tylko ty podejmujesz decyzje.

- Gdy papież będzie w Warszawie. Połowa milicji z Łodzi

i jedna trzecia mieszkańców miasta pojedzie do stolicy.

- Z tą jedną trzecią to przesadziłeś.

- Trochę przesadziłem.

Jurga podał mu zdjęcie witryniarza.

- Spotkacie się w takim razie na wieczornej mszy u Jezuitów. Będzie siedział w ostatniej ławce po lewej stronie. Mówisz, że zamek jest standardowy?

- Najzwyklejszy ze zwykłych. Coś ci jestem winien? Jakies koszty?

- Powiedzmy, że koszty ponoszą ci, którzy w przeciwieństwie do ciebie na pewno będą mieli z całej sprawy zysk. Zakładam, że głupio nie wpadniecie.

- Dziękuję.

- Tylko nie daj dupy.

Druga pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny miała być wielką manifestacją dobrej woli generała Jaruzelskiego. Miała być gestem do świata, ale głównie do własnych poddanych, kurtuazyjnie nazywanych obywatelami lub rodakami. Miała pokazać, że reżim jest dobry, dyktator łaskawy, a państwo i społeczeństwo mogą działać wspólnie. Jesienią PRL miał święcić trzysta lat, które minęły od bitwy wiedeńskiej. Tematem przewodnim propagandy była normalizacja. Kraj miał funkcjonować normalnie. Wychodzić z zapaści gospodarczej, powoli otwierać się na świat.

Dla skołatanego prozą życia w realnym socjalizmie społeczeństwie pielgrzymka rodaka miała być chwilą wytchnienia. Moralnym zadośćuczynieniem za półtora roku pogardy ze strony rządzących. Gdy papież zameldował się

na Okęciu, ulice wymarły. Ludzie ze łzami w oczach słuchali jego słów. Mówił do nich. Byli w więzieniu, a on do nich przychodził.

Zgodnie z umową Tadeusz zjawił się na wieczornej mszy u Jezuitów. Nie było tłumów. Tysiące łodzian pojechało do Warszawy spotkać się z papieżem bezpośrednio. Na ulicach wałęsały się koty. Nawet żulerka postanowiła spędzić wieczór przed telewizorami.

Słońce jeszcze dosyć mocno świeciło, gdy Tadeusz szedł do kościoła. Był on prawie pusty. Siwiuteński ksiądz odprawiał mszę dosyć szybko, by zdążyć na transmisję ze stolicy.

W ostatniej ławce siedział jakiś typ. Na oko miał ze czterdzieści lat. O takich ludziach Eustachy zwykł mawiać, że mają lica nieskalane myśleniem. Pod koniec mszy, zaraz po komunii, Tadeusz podszedł.

- Roosevelta osiem. Mieszkanie numer dwa. Pierwsze piętro. Obejrzyj zamek. Czeka na ulicy. Na Roosevelta dojdiesz w dwie minuty. To ulica na wprost wejścia do kościoła.

Kwadrans później witryniarz wyszedł z kamienicy.

- Zamek zwyczajny. Nie będzie problemu - powiedział przybysz z Żytna.

- Godzina dwudziesta trzecia trzydzieści. Otwierasz drzwi i wracasz do domu.

- Wedle życzenia.

Przez następne kilka godzin Kostecki przebywał w domu Eustachego. Nadstawiał ucha. Okno w mieszkaniu Romańskich było zamknięte. Eustachy twierdził, że od kilku dni nikogo w lokalu nie było. Także rano i w południe.

Na korytarzu dudnił za to odgłos telewizora idący z mieszkania bohatera znad Bzury. Gdy minęła dwudziesta druga trzydzieści, telewizor zamilkł.

Ekspert od otwierania cudzych drzwi był punktualny. Wejście do mieszkania zajęło mu kilka chwil. Kostecki skinieniem głowy dał mu do zrozumienia, że jest już zbędny.

Zanurzył się w ciemnościach. Zapalił latarkę. Przy drzwiach stały jakieś stare buty. Na stołku walały się gazety. Tadeusz dostrzegł „Piłkę Nożną” i „Sportowca”. Kuchnia wyglądała najnormalniej w świecie. Lodówka, zlewozmywak, talerze i kubki. W dwóch pokojach też nic nie zwróciło jego uwagi. Dopiero w trzecim jego zainteresowanie wzbudziły różnej maści aparaty fotograficzne. Niektóre typy nie były mu obce. Na wielkim stole leżały sondy optyczne. Najdłuższa, S-22, zajmowała dużo miejsca. Obok sond leżały magnetofony MAK-2s, robione w NRD aparaty fotograficzne Pentacon, zachodnie egzemplarze F-1 marki Canon, zwykłe praktyki. Szczególną uwagę Tadeusz zwrócił na aparat Robot z aktówką do kamuflażu, model Agata R. Do robienia zdjęć w kompletnych ciemnościach służył model Cyklop. Ciekawy był aparat Ajax z radiostacją liliput. Malutkie aparaty Tonia RET i Kama służyły do robienia zdjęć z damskich torebek, a nawet kosmetyczek. Najmniejszy z nich, Poker, mógł być ukryty w portmonetce. Podobne gabaryty miała tak zwana „rękawiczka”. Model Kaśka był ukryty w książce. Anatol K zaś w parasolce. Był nawet aparat Tessina L przemysłnie zamontowany w książeczce do nabożeństwa.

W czwartym pokoju znajdował się uzyskany z aparatów urobek. Na stole leżały zdjęcia zrobione niedawno. Jeszcze

nie były posegregowane. Kostecki przyjrzał się uważnie. Kilka twarzy zdawało się dziwnie znajomych. Zamknął oczy i próbował skojarzyć postacie ze zdjęć. Widział je na pewno. Myślał gorączkowo.

- Ten grubszy nazywał się Biskupski - powiedział do siebie szeptem. - A ten? Zaraz, zaraz. Już wiem. Pietrzak. Jan albo Janusz.

Obaj mężczyźni, których przesłuchiwał w sprawie Czołczanieckiej, zostali dokładnie sfotografowani. Na zdjęciach widnieli w towarzystwie znajomych na dziedzińcu kościoła. Na innych znajdowali się przed jakimiś blokami i domami. Były też zdjęcia bez nich. Te z kolei przedstawiały okolice bloków. Na niektórych fotografiach widniały narysowane przez kogoś strzałki. Na innych były jakieś napisy, których Tadeusz nie rozumiał.

Wziął do ręki pudło z napisem „Styczeń 82”. Setki fotografii, może nawet tysiące. Niektóre twarze poznawał. Przygniatająca liczba zdjęć przedstawiała kościół Jezuitów i jego zaplecze dziedzińcowo-lokalowe. Wszystkie zdjęcia zrobione zostały z bardzo bliskiej odległości.

Wziął do ręki pudełko o mniejszych gabarytach. Zdjęcia robione w październiku 1982 były reprezentowane mniej obficie. Było ich około tysiąca. Kostecki przeglądał je z uwagą. Po kilku minutach na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. Zamiast placu pobliskiego kościoła zobaczył na fotografii blok na Dąbrowie. Kilka zdjęć przedstawiało żywą jeszcze Gryglaszewską. Z zakupami. W rozmowie z sąsiadami. Wychodzącą do kościoła. W ciągu sekundy odpakował zestaw z marca 1983. Tam zdjęć było mniej więcej tyle samo, co w pudełku już otworzonym. Nie szukał

podobizn Czołczanieckich. Wykonanych im zdjęć było wiele w każdym pudle, szukał zdjęcia staruszki. Po chwili miał w ręku cały plik. Były robione w domu. Z bardzo bliska. Kostecki rozpoznawał wystrój wewnątrz. Były fotki srebrnej zastawy i pustego łóżka nieboszczki. Tych zdjęć było kilka. Na niektórych widniał tylko materac. Ktoś, kto robił te zdjęcia, musiał mieć u gospodarzy ogromny kredyt zaufania. Podniecony odkryciami Kostecki sięgnął do następnego pudełka. Po chwili rozpoznał mieszkanie na Kasprzaka. Pudlarze z synem. Pudlarze z zakupami. Pudlarze wracający z rajdu w góry. Pudlarze we własnej kuchni. Przy telewizorze.

Zabrał wszystkie interesujące go zdjęcia. Na dworze robiło się szaro. Kostecki zamknął drzwi od wewnątrz. Zamek nie był tak uszkodzony, by nie dało się tego zrobić. Uchylił okno. Na podwórzu nie było nikogo. Wyskoczył.

Rano w komendzie panował spokój. Bardzo wielu milicjantów z Łodzi zostało oddelegowanych do obsługi pielgrzymki papieża. Oprócz Warszawy, w centralnej Polsce Karol Wojtyła odwiedzał Niepokalanów. To miejsce też było zabezpieczane przez funkcjonariuszy z Łodzi.

Po przyjsciu natychmiast udał się do Banasika. Kapitan wertował prasę, która opisywała przebieg wizyty. Dla całej milicji pielgrzymka była wielkim testem sprawności. Jaruzelski panicznie się bał, by nie doszło do kolejnego zamachu. Wizyta papieża miała być dowodem na siłę państwa, a nie jego słabość.

- Mogę? - zapytał Tadeusz.

- Oczywiście.

Kostecki położył na biurku szefa kilkanaście zdjęć. Najpierw pokazał te robione w ciągu ostatniego miesiąca.

- Ten grubszy to Biskupski. Był przesłuchiwany w sprawie Czołczanieckiej. Znał Dygasa. Pytałem się go o cenny prezent.

- Pamiętam.

- Dostał. A konkretnie: dostała jego pociecha z okazji chrztu. Ten natomiast to Janusz Pietrzak. Przesłuchiwany w tej samej sprawie. Te zdjęcia zostały wykonane niedawno. W ciągu miesiąca, powiedzmy, dwóch. Na niektórych są szczegóły, po których możemy zweryfikować nawet konkretny dzień. Na przykład to. Tak w tym roku wyglądała dekoracja z okazji święta 1 Maja. A to zdjęcie z kościoła Jezuitów. Tak Miecznikowski udekorował kościół dwa dni później.

Banasik z uwagą oglądał fotografie.

- Zwracam uwagę na fakt, że na zdjęciach oprócz figurantów na kościelnym placu występują mieszkania, najprawdopodobniej ich. Również okolice mieszkań. Nawet sklepy i przystanki autobusowe.

- No i co z tego?

- To.

Kostecki pokazał kapitanowi analogiczne zdjęcia z widniejącą na nich Gryglaszewską, staruszką od Czołczanieckich i Pudlarzy.

- Niesłychane. Nie chce mi się wierzyć. Skąd masz te zdjęcia?

- A jak pan myśli? Takich zdjęć nie robi się aparatem dla dzieci. Ani zorką pięć.

- Musisz mi powiedzieć. Dokładnie.

Kostecki z pewnymi szczegółami opowiedział swoją przygodę. Ukrył wątek Jurgi. Banasik usłyszał, że do mieszkania wszedł oknem, które było otwarte.

- Przedstaw mi po kolei twoje wnioski.

- Zakładam, wierząc, że mam rację w stu procentach, że lokal na Roosevelta jest mieszkaniem konspiracyjnym SB. Służy realizacji celów naszych kolegów z resortu. Do jesieni tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego realizował tylko takie cele. Jednak od mniej więcej października, tak wynika ze zdjęć, zaczął służyć także celom innym. Nazwijmy to: ubocznym. Pod pretekstem inwigilacji opozycji ktoś zaczął robić rozpoznanie w celu uzyskania wiedzy na temat dzieł sztuki. Tu pojawia się pytanie. Skąd ten ktoś wiedział o faktycznie prywatnych działaniach Dygasa z lat, kiedy ten jeszcze nie prowadził działalności przestępczej? Przecież nie wyczytał tego z akt procesowych. Nasz ktoś lub nasi ktosie musieli mieć dostęp do samego Dygasa. Dlaczego były ksiądz zdecydował się mówić o sprawach, co do których milczał podczas śledztwa i procesu, możemy się tylko domyślać. Na pierwszy ogień poszła Gryglaszewska. Samotna, cicha i spokojna. Tak cicha i spokojna, że nawet nie wiemy, w jaki sposób przestępca ustalił, gdzie i czy ma ona obraz Jana Steena. Celem oczywiście była kradzież obrazu, a nie zabicie Gryglaszewskiej. Traf chciał, że wróciła po coś do domu. Jej zgon był wynikiem uderzenia czy też kopnięcia. Nasz ktoś musi mieć więc nie lada siłę w nogach. Krzysztof Surlit odpada. Grał wtedy z Rapidem i nawet strzelił bramkę.

- Myślisz, że znaleźli obraz?

- Zakładam, że tak. Przyszli na pewniaka. Musieli wiedzieć, że obraz jest i gdzie jest.

- Nie pytaliśmy sąsiadów o obraz.

- Właśnie. Nie mieliśmy pojęcia, że on w ogóle istniał. Sąsiedzi zaś mieli prawo nie skojarzyć śmierci z obrazem. Pewnie nie zdawali sobie nawet sprawy z jego wartości.

- Można ich raz jeszcze przesłuchać.

- Wtedy będziemy mieli pewność.

- Mów dalej.

- Dalej była śmierć Czołczanieckiej. Też raczej przypadkowa. Tym jednak razem morderca lub mordercy musieli brać pod uwagę, że chemiczna mikstura może się okazać zabójcza dla osoby tak leciwej.

- A jednak nie mieli skrupułów.

- Gra wyraźnie szła o wysoką stawkę. Nie wiemy, jaka jest wartość obrazu z zakonnikami, ale bandyci wiedzieli.

- Wiedzieli też o dolarach.

- Mieli lepsze rozpoznanie. Musieli mieć kogoś, kto bardzo dokładnie spenetrował mieszkanie. Zważywszy na rolę mecenasa w opozycyjnym świecie, nie było problemu z zainstalowaniem oficjalnego, że się tak wyrażę, kreta. Lustrację mieszkania pod kątem obrazu i dolarów mógł ów ktoś robić niejako przy okazji swoich rutynowych działań.

- Musiał zdobyć zaufanie.

- Zdjęcia nie pozostawiają wątpliwości. Były robione z bardzo bliskiej odległości.

- Myślisz, że kolejność ataków była przypadkowa?

- Myślę, że nie. To, że Pudlarze zostali zaatakowani mniej więcej pół roku po Gryglaszewskiej, było wynikiem

determinacji bandytów. Nie mieli pojęcia, że bardzo cenną ikoną zaopiekował się syn. Przez pół roku obserwował ich sąsiad i niczego nie odkrył.

- Myślisz, że ten inżynier też jest...

- Tak. Proszę zwrócić uwagę, że kiedy ja i Jurga przywieźliśmy z Warszawy wątek ikony, to natychmiast pojawił się inny trop.

- No właśnie. Jak wytłumaczysz związanych Pudlarzy?

- Gdyby w grę wchodził wątek erotyczny, to Pudlarze byliby związani goli jak święci tureccy. A oboje byli ubrani.

- Ubaka nie ma alibi. I te odciski palców...

- Bo Ubaka to idealny człowiek do wrobienia. Obywatel Gabonu. Kolorowy. Nie do końca rozumiejący specyfikę kraju. Na dodatek mający słabą głowę. Jak człowiek jest pijany w trupa, to nie zawsze jest w stanie się kontrolować. Łatwo wtedy dotknąć wiertarki. Albo czegokolwiek innego.

- Dlatego nigdy nie piję.

- Zakładam, że Ubaką jako cudzoziemcem interesowały się służby już wcześniej. Był czas na jego rozpoznanie. Musiał mieć w swoim otoczeniu kogoś, kto nad nim czuwał.

- Ci dwaj, co umówili się na mecz?

- Jeden z nich na pewno tak. Idealna sytuacja. Murzyn alibi nie ma, są za to odciski palców i jest wreszcie jakiś wątek. Najpierw mieliśmy sugestię morderstwa na tle psychopatycznym, potem seksualnym. Wrabiający byli przygotowani na każdą okazję. Wiedzieli, że wiercenie kolan zmobilizuje nas do wytężonej pracy.

- Sugerujesz, że w sprawę zamieszany jest Złamaś?

- Jego pojawienie się w tym, a nie innym czasie musi

wzbudzać naszą czujność.

- Moczkowski dostał polecenie z góry. A że miałem dosyć niesubordynacji Pająka, to...

- Nie musi się pan tłumaczyć. Pana święte prawo. Pająk świetnie sobie radzi w nowym miejscu.

- Tylko jak na to zareaguje sąd?

- Porozmawiam z prokuratorem Jasiną.

- Wdepnęliśmy w niezłe gównno.

- Cóż za logika, panie kapitanie.

- Godna Spinozy.

Rozdział 33

Prokurator Jasina miał niebywały problem. Przed chwilą wysłuchał Kosteckiego. Słuchał bardzo uważnie. Po pierwsze, rewelacje porucznika mocno go zadziwiły. Po drugie, obudziły nadzieję. Po chwili nadzieję zastąpił strach. Strach walczył z nadzieją. By uspokoić emocje, sięgnął do szafy z dokumentami. Na półce leżała flaszka samogonu rodem z białoruskiego matecznika. Wypił kilka łyków. Poczuł zapach podlaskich bagien. Usłyszał gwarę. Zobaczył błotnistą drogę, jedyną, która wiodła do Krynek. Te reminiscencje dopingowały nadzieję.

Zaczął rozważać nadzieję. Wykrycie mordercy, który pod patronatem SB zabija niewinnych obywateli i kradnie obrazy, będzie kluczem do awansu, do Warszawy, do wielkich spraw i wielkiej władzy. Pod warunkiem, że ktoś, kto stoi za zabójcami, jest słabszy od tego, dla którego wpadka zabójców będzie korzystniejsza. To, że ktoś jest wyżej, było dla niego jasne. Już podczas procesu Dygasa, który media bardzo nagłośniły, miał wątpliwości co do pełnej samodzielności szajki. W kraju, z którego nie można było swobodnie wywieźć porządnego pęta kiełbasy, wyciekały przez lata tysiące cennych dzieł sztuki. Obroty przemytników sięgały milionów. W interes zamieszani byli dyplomaci obcego państwa. Bardzo prawdopodobne, że przestępców ktoś ochraniał. Po pewnym czasie okazało się, że jest jeszcze inny ktoś. Dla tego ktosia korzystniejsze było

wsadzenie księdza do pudła i opublikowanie faktów z jego burzliwego życia erotycznego. Na dodatek jurny kapłan miał koleżkę, byłego żołnierza reakcyjnej Armii Krajowej. Tak to wyglądało kilka lat temu. Jak wygląda to teraz? Czy mocodawcy szajki lub jej patroni byli mocni? Patron patrona był człowiekiem Kiszczaka czy Milewskiego? A może samego Jaruzelskiego? A może drabina feudalna jest dłuższa? Może są jeszcze ogniwa pośrednie? A te ogniwa?

Napił się znowu siwuchy.

Intuicja mu mówiła, że gdyby ogniwa były bardzo silne, to nie aprobowałyby sprawy kryminalnej. Jaruzelski wykonywał gesty dobrej woli. Widać było, że liczy, musi liczyć się z Zachodem. Jest zbyt słaby, by zupełnie nie liczyć się ze społeczeństwem. Chyba nie byłby zachwycony, gdyby wyszła na jaw sprawa zabójców z SB. A jeśli wyjdzie? Będzie chciał tuszować? Czy raczej nagłośni? Jeżeli nagłośni, to wyśle sygnał, że Polska jest praworządnym państwem, gdzie bandytów wsadza się do pudła bez względu na orientację polityczną. Na tym będzie mu zależało. Na dobrej opinii na Zachodzie. Bo duszą go kredyty i katastrofalny stan gospodarki. Jeżeli tak będzie, to zajęcie się na poważnie tropem Kosteckiego będzie zasadne.

Proces zostanie nagłośniony. On, pan prokurator, dostanie awans. Kopnie w dupę zapyziałą Łódź. Będzie w Warszawie. Będzie prowadził wielkie sprawy. A może zamiast wielkich spraw będą koneksje polityczne?

Znowu łyknął siwuchy.

Tym razem zaczął wygrywać strach. Jeżeli jednak mocodawcy są silni? Jeżeli będzie im zależać na wyciszeniu sprawy? Wtedy do końca życia zostanie w Łodzi. Albo,

co gorsza, wróci na Podlasie. A tego się najbardziej obawiał.

Trop wskazany przez Kosteckiego był wyraźny. Ale właściwie porucznik jako sprawcę czy też współnika sprawcy wskazał tylko Złamasia. Sam Kostecki nie był pewien, jaką rolę odgrywał milicjant karateka. Prawdziwe dowody są poukrywane. Jakies na pewno się znajdzie w mieszkaniu na Roosevelta. A inne? W mieszkaniu Złamasia? Na wniosek prokuratury nawet SB będzie musiała odkryć część tajemnic. Tylko na jaką część można będzie liczyć? Na to pytanie łatwiej by odpowiedział, gdyby wiedział, jak daleko sięga nić zależności. Kończy się na Łodzi? Sięga Warszawy? Informacje o obrazach musiały pochodzić prosto od Dygasa. Ktoś musiał byłego księdza skłonić do mówienia. Z tego, co mówił Kostecki i co Banasik widział na zdjęciach, należało wywnioskować, że w proceder było zamieszanych co najmniej kilka osób.

Znowu chlapnął.

Zostawić sprawę i po prostu skazać Ubakę? Skazać Ubakę to mieć umorzoną sprawę Gryglaszewskiej i najprawdopodobniej Czołczanieckiej. Wyjaśnienie sprawy Ubaki będzie równie trudne, co wykrycie sprawcy zabójstwa starej Mańki, którą konkubent zajebał siekierą po wypiciu denaturatu. O procesie napisze „Głos Robotniczy”. Na ostatniej stronie małymi literkami. Sprawa, jakich setki. Z tą różnicą, że zabójca będzie Murzynem. Ot, sensacja w kamienicy, stróż się powiesił. Zostawienie sprawy w takiej formie, w jakiej jest, oznaczać będzie, że w jego życiu nic się nie zmieni. Chciał, by się zmieniło.

Chwycił za słuchawkę. Odłożył. Był już pijany. Postanowił, że zajmie się tym jutro.

Inżynier Biskupski właśnie szykował się do wyjścia. Jego koledzy już poszli, zostawiając za sobą zapach papierosowego dymu. Poprawił krawat. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piętnasta. On przychodził pierwszy i wychodził ostatni. Współpracownicy od godziny czy dwóch dorabiali sobie różnymi fuchami, on zmagął się z moralnym dylematem wcześniejszego wyjścia z pracy. Planowo powinien siedzieć do szesnastej. Chciał jeszcze wpaść do domu i zjeść obiad. O siedemnastej miał zacząć się nielegalny seans Przesłuchania. Pocztą wielce poufną dostał cynk, że u Jezuitów pojawiło się wideo. Film Bugajskiego miał być premierowy. Zważywszy, że kasetka trafiła w ręce Miecznikowskiego tylko na kilkanaście godzin, trzeba było zorganizować kilka seansów z rzędu. Chętnych do obejrzenia było wielu. A ze względów konspiracyjnych film można było odtwarzać tylko w małej salce.

Nie lubił wychodzić wcześniej z pracy. Jego rodzice wpoili mu szacunek do pracy jako takiej. Surowe katolickie wychowanie zaowocowało tym, że wyrósł na człowieka prawego, zasadniczego, skrupulatnego i odpowiedzialnego. Może nie był Biskupski inkarnacją kreatywności, ale wcale nie odczuwał z tego tytułu jakiegoś dyskomfortu. Stał już niemal w drzwiach, gdy do jego pokoju jak bomba wpadła sekretarka.

- Panie inżynierze! Milicja po pana.

Pobladł. Czyżby wpadli na jego trop? Dowiedzieli się o seansie i teraz wyłapują niedoszłych amatorów podziemnego kina? Serce mu biło tak mocno, że czuł je wszystkimi możliwymi zmysłami.

- Dzień dobry, panie Biskupski.

Nieco się uspokoił. W drzwiach stał gliniarz, który przesłuchiwał go związku ze śmiercią staruszki u Czołczanieckich.

- Dzień dobry.

- Proszę usiąść.

- Właśnie wychodziłem, spieszę się.

- Na własny pogrzeb?

Biskupski usiadł i poluzował krawat. Serce znowu zaczęło mu łomotać.

- Panie Biskupski. Ma pan problem. Jest pan na celowniku tych, którzy zabili staruszkę.

Biskupski czuł, jak robi mu się słabo. Po całym ciele spływały hektolitry potu.

- Chodzi o ten obraz od Dygasa. Ktoś chce go panu zabrać. Jeżeli będzie musiał, zabije pana albo kogoś z pana rodziny. Mam na to dowody.

- Co pan radzi?

Biskupski miał ochotę się rozplakać. Ręce mu drżały, a w gardle czuł gulę.

- Musi pan zabezpieczyć obraz. Albo dobrowolnie oddać go bandytom. Wtedy pana nie zabiją. Tak sędzę. Jest cenny i to pewnie bardzo. Nie będą się wahać.

- Co to znaczy zabezpieczyć?

- Nie wiem. Oddać w depozyt do muzeum? Natychmiast przekazać Desie? Pewnie można się dogadać w sprawie komisum. Złapiemy mordercę, to może uda się panu wycofać z umowy. Ukryć u Miecznikowskiego? Tam się bandyci nie włamią. Za silna obserwacja.

- Jest pan pewien?

- Jestem. Niech pan poważnie potraktuje moje słowa.

- Dziękuję.

Po kwadransie Biskupski pędził swoim wartburgiem w stronę domu. Kino wyszło z ram sztuki i zawitało do jego szarego, jak dotąd sądził, życia.

Obywatela Pietrzaka Kostecki znalazł w jego warsztacie samochodowym. Była już osiemnasta, ale praca trwała w najlepsze. Mieszkający na ulicy Pięknej Pietrzak prowadził swój prywatny zakład. O tym, że był dobrym fachowcem, świadczył dużych gabarytów dom i zwany beczką mercedes przed owym domem.

Dzień był ciepły, toteż właściciel warsztatu rozebrany był do pasa. Kończył rozmawiać z właścicielem zaporozca, który odbierał swoją raketę szos.

- Słucham.

W zwrocie „Słucham?” dźwięczało słabo zakamuflowane „Czego?”.

- Mam nadzieję, że mnie pan pamięta. Jestem milicjantem...

- Pamiętam.

- Panie Pietrzak, musimy porozmawiać, grozi panu niebezpieczeństwo. Jest pan obserwowany przez bandytów, którzy zabili Pudlarzy.

- Panie, co pan? Nie zawracaj mi pan głowy. Człowiek tyra od rana do nocy, a nie opierdala się na państwowym.

- Ja mówię poważnie. Chcą zabrać panu tę paterę od Dygasa.

- Dawno ją sprzedałem. Syn autem jeździ. - Wskazał na mercedesa.

- Ma pan nieślubnego syna? Panie Pietrzak, naprawdę uważa mnie pan za idiotę? Ma pan dwie córki.

- No i co z tego? Patery nie mam. Nachodzi mnie pan w domu. Nie jestem o nic oskarżony.

- Wręcz przeciwnie, może być pan ofiarą.

- Posłuchaj no mnie pan, panie milicjancie. Albo masz nakaz i mnie puszkuje, albo fora ze dwora. To moja ziemia, a ty jesteś intruzem.

Kostecki poczuł bezsilność.

- Niech pan uważa - rzucił na odchodne.

Rozdział 34

Zwłoki Janusza Pietrzaka leżały na środku dużego pokoju. Z rozbitej głowy wyciekła krew i zdążyła już zakrzepnąć. Denat się bronił. W ręku miał tak zwanego tulipana, czyli rozbity butelkę po wódce. Na miejscu zbrodni byli już Banasik i jego protegowany, Jabłoniak. Doktor Andrzejewski zdejmował rękawiczki. Do Kosteckiego podszedł Jasina.

- Mamy go.

- Złamasia?

- Akurat wracał od Pietrzaka. Miał w bagażniku paterę. Nie wywinie się. Za mocne dowody. Teraz będą musieli udostępnić nam dokumentację jego współpracowników. Nie będą mieli wyjścia.

- Szkoda, że mnie nie posłuchał. - Tadeusz wskazał na denata.

- Tyle razy im mówiliśmy. Milicja radzi i ostrzega. A oni swoje.

Kostecki nic nie powiedział. Czuł, że pozbył się ciężaru. Patrząc na zwłoki Pietrzaka, miał poczucie, że nałożył sobie kolejny. Tymczasem odezwał się prokurator.

- No to żeśmy Bohuna usiekli, panie poruczniku.

Widzew dalej zachowywał szanse na mistrzostwo. Mimo wpadki z Ruchem w Chorzowie i remis z Szombierkami u siebie. Remis z drużyną z Bytomia Kostecki okupił ochrypniętym gardłem. Widzew już przegrywał zero

do dwóch. Musiał gonić wynik. Na szczęście Rozborski i niezawodny Tłokiński doprowadzili do remisu. Kolejny remis w Zabrze triumf oddalił, lecz zwycięstwa ze Śląskiem i wyjazdowe w Szczecinie znowu go przybliżyły.

Ostatnie mecze Widzew musiał grać bez Wragi, który pojechał do Meksyku walczyć o medal w mistrzostwach świata juniorów. W meczu z Cracovią kolejnej poważnej kontuzji doznał Smolarek. Na szczęście obudził się Filipczak oraz Matusiak. Potomkowie Józefa Kałuży wyjechali z Łodzi z bagażem siedmiu goli. Ze stadionu warszawskiej Gwardii Widzew przywiózł punkty, które zapewnił Marek Filipczak. Decydujący mecz o tytuł mistrza Polski RTS miał toczyć z Zagłębiem Sosnowiec. Widzew nie tylko musiał wygrać, ale liczyć też na porażkę poznańskiego Lecha.

- Nie ma już biletów. - Ze smutkiem przywitał Tadeusza Jabłoniak.

Siedzieli w komendzie. Na miejsce Złamasia ktoś miał przyjść, ale na razie nikogo nie mieli.

Mirosław Jabłoniak był prawie równolatkiem Tadka. Jednak w przeciwieństwie do niego miał już dwójkę dzieci. Jego szczerą, rumianą twarz przypominała Kosteckiemu ogromną cebulę.

- Dla kogo nie ma, to nie ma.

- A mógłby kolega...? Wiele słyszałem o znajomościach kolegi.

- To się zobaczy.

- Jakby było trzeba, to jestem w stanie się odwdzięczyć.

- A czym?

- No, jakimś mięskiem prosto ze świniobicia, a i flaszką bimberku by się znalazła.

- To tym bardziej zobaczę, co da się zrobić.

- Byłem na meczach z Liverpoolem i Juventusem. Za wzorową służbę dostałem bilet. Niesamowite przeżycie.

- Na derby kolega musi iść albo lepiej na Legię. To są dopiero przeżycia.

Do pokoju wkroczyła sekretarka.

- Poruczniku, telefon.

Kostecki podszedł do aparatu.

- Słucham.

- Następna będzie twoja kurwa.

- Halo!

Lakoniczny rozmówca rozłączył się.

- Coś się stało? - zapytał Jabłoniak.

- Nie, jakiś dowcipniś dzwonił.

Po pracy Kostecki pojechał na Srebrzyńską. Już od alei Unii musiał iść piechotą. Całe osiedle zbudowane przed wojną przez pepeesowskie władze miasta zostało zablokowane. Na miejscu była straż pożarna i milicja. Wyjął legitymację.

- Proszę, panie poruczniku. - Kapral Józwa przepuścił Tadeusza.

Tadeusz, idąc w stronę bloku ojca, miał wrażenie, że eksplodował Wezuwiusz. Słoneczną tego dnia Łódź zaczęły zasypywać tumany popiołu. Wdzierały się do nosa, zaślepiały oczy, zatykały uszy. Szedł jak w pijanym widzie. Bezwiednie przedzierał się przez strażaków i milicjantów. Nie mógł oderwać wzroku od dymiącej dziury w miejscu okna ojca.

- Kto jest dowódcą akcji? - Wymachując legitymacją,

zapytał jakiegoś osmalonego strażaka.

- Słucham. - Usłyszał z tyłu głos.

Potężnej postury poskromiciel żywiołu stał pięć metrów za nim. Kostecki pokazał legitymację.

- Czy w płonącym mieszkaniu był człowiek?

- Tak. Nie żyje. Znajomy?

- Nie. Ojciec.

- I co? Udało się coś załatwić? - sierżant Jabłoniak dopytywał się o bilet na mecz.

Kostecki miał wrażenie, że jest otulony watą. Wszystkie dźwięki dochodziły do niego jakby przez grubą ścianę. Podobnie rzecz się miała ze zmysłem wzroku. Widział Jabłoniaka przez gęstą mgłę.

Powolnym ruchem ręki wyciągnął portfel. Wyjął bilet. Podał go człowiekowi o cebulastej głowie.

Jabłoniak miętosił bilet w rękach, mówiąc coś. Gdyby Tadeusz mógł słyszeć dobrze, zrozumiałby, że to podziękowania.

Zatopił się w sobie. Siedział bez większego sensu. Alkohol, który wypił wczoraj i dzisiaj nad ranem, otumanił go w stopniu wystarczającym. Nie myślał o tym, że Banasik po raz pierwszy w życiu nie miał o to do niego pretensji.

- Podobno to jakaś awaria była. Straż pożarna nie stwierdziła podpalenia. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Ktoś to mówił, ale Tadeusz nie widział kto. Znowu zapadł się w siebie. Przez jego umysł przelatywały jakieś obrazy. Jacyś ludzie podchodzili do niego, coś mu mówili. Niektórzy klepali go po ramieniu. Inni podawali w skupieniu prawicę.

Jeszcze inni odwracali od niego wzrok, jakby nie bardzo wiedząc, jak się mają zachować. Nie miał pojęcia, ile mijało czasu. Stracił rachubę. Przez watowany pancerz usłyszał głos sekretarki.

- Poruczniku, telefon.

Nagle poczuł, że pancerz opadł. Myśli zaczęły wartko przebiegać mu przez głowę. Zerwał się z krzesła. Pobiegł do samochodu. Po kilkunastu minutach znalazł się w mieszkaniu wujostwa Kingi.

- Kingi nie ma - wuj odpowiedział bardzo oschle na jego pytanie.

- A gdzie jest?

- A co to obywatela obchodzi? - Wujenka była nie tyle oschła, ile niemiała.

- Gdzie jest? - W głosie Kosteckiego był taki gniew wymieszany ze wściekłością, że wujostwo dosyć szybko się poddało.

- W Kaliszu. U matki.

Z Żubardzia na drogę wylotową w kierunku Wielkopolski miał bardzo blisko. Po niecałym kwadransie dotarł do wąskiej drogi prowadzącej do Kalisza. Docisnął pedał gazu. Polonez zawył i ruszył, co koń wyskoczy.

Przez całą drogę powtarzał w głowie kaliski adres Kingi. Kościuszki pięć. Łamiąc wszelkie możliwe przepisy ruchu drogowego, dotarł do rzekomo starożytnej Calisii.

Biegając po schodach, modlił się w duchu. Po raz pierwszy w życiu.

Kinga leżała na podłodze w kuchni. Z jej rozbitej głowy wylała się kałuża krwi. Gorące, czerwcowe słońce powoli rozkładało jej ciało.

Rozdział 35

Październik 1983 był dosyć ciepły. Jesienne słońce z żółtych i czerwonych liści wyciskało ostatnie akordy ładnej pogody. Szpital dla psychicznie chorych w Łodzi miał znakomitą lokalizację. Leżał na peryferiach miasta, a otoczony był pięknym parkiem. Chorzy umieszczeni byli w kilku willach. Każdy dom stanowił schronienie dla grup pacjentów podzielonych wedle schorzeń.

Doktor Andrzej Bukowczyk szedł dostojnym krokiem, trzymając w rękach „Przegląd Sportowy”. Było południe. Lekarz, maszerując, następował na leżące liście. Psychiatra lubił ten specyficzny szeleszczący odgłos.

- Dzień dobry, panie poruczniku - odezwał się pogodnie.

Kostecki siedział na ławce otulony kocem. Obok niego leżał tomik poezji Stachury. Tadeusz wpatrywał się w promienie słoneczne przeciskające się przez złociste listowie.

- Dzień dobry. Jak wrażenia z Białegostoku?

- Ogromne zapotrzebowanie na europejską piłkę. Tysiące ludzi.

- A jak grali? Jest szansa w Pradze?

- Powiem szczerze: kiepsko to widzę. Ta bramka Wójcickiego była trochę przypadkowa.

- Ale w lidze sobie radzą.

- Trudno, by sobie nie radzili z Bałtykiem Gdynia czy z Szombierkami.

- Aż tak źle?

- Nie tak łatwo odbudować drużynę, gdy zabrakło czterech podstawowych zawodników z pierwszego składu.

- A przecież wcześniej odszedł Boniek, Żmuda i Pięta.

- Sam pan widzi. Nie tak łatwo jest zbudować zespół ludzi, którzy będą ze sobą dobrze współpracować.

- A Dziekanowski?

- Gra dobrze, ale nie wiem, czy to odpowiedni człowiek do Widzewa.

- Co pan ma na myśli?

- Charakter. Psychikę. Filozofia Widzewa to zasada trzech muszkieterów. Walczą wszyscy. Wszyscy dają z siebie wszystko.

- A ten warszawiak?

- Na Legii na pewno by się sprawdził.

- A Wijas?

- Ten się nadaje, ale podobno ma nieuregulowane relacje z armią.

- Sobolewski tego nie sprawdził, nie załatwił?

- Myśli pan, że wojsko mu wybaczy ten numer z maja osiemdziesiątego drugiego?

- Będą Wijasa szarpać?

- A jak pan myśli?

Kostecki zaciągnął się papierosem.

- Naprawdę jest tak kiepsko?

- Nie przesadzajmy. Świetnie gra Wraga, mimo że nie strzela bramek. Smolarek jak zawsze. Na Kamińskim można polegać jak na Zawiszy. W formie jest Romke, Świątek, Wójcicki. Z młodych dobrze wszedł do drużyny Leszczyk,

nico gorzej Jaworski. Na ligę wystarczy. Na puchary? Zobaczymy.

- Wie pan, doktorze, że ja wiedziałem, że Widzew będzie grał w Białymstoku mecze? Miałem taki sen dziwny, w marcu bodajże. Naprawdę.

- Z jakiegoś powodu pan u nas siedzi, poruczniku.

Obaj się zaśmiali.

- A ojcu się śniło, że Widzew będzie grał w okręgówce.

- Nonsens.

Doktor postanowił szybko zmienić temat.

- Śniadanie było dobre?

- Dobre. A kiedy wyjdę?

- Jest pan u nas od połowy czerwca. Szmata czasu. Myślę, że w ciągu tygodnia możemy pana wypisać.

- W ciągu tygodnia?

- Najwyższa pora. Do służby pan od razu nie wróci. Zwolnienie lekarskie, sanatorium, opieka lekarza. Musi pan wyzdorzeć. Po chorobie następuje czas rekonwalescencji.

- To kiedy wrócę?

- Tak panu spieszo?

- Tak pytam.

- Zobaczymy, jak się pan będzie czuł. Tak odpowiadam.

Następnego dnia dzień był nieco chłodniejszy. Słońce częściej skrywało się za chmurami. Kostecki siedział na ławce i czytał „Sportowca”.

Nagle usłyszał znajomy głos.

- Szykuj się! - zawołał Jurga.

Kostecki ze zdziwieniem zobaczył doktora w otoczeniu Felicjana i Stefana.

- Gdzie mam się szykować?

- Do wyjścia!

Tadeusz spojrzał na Bukowczyka. Uśmiechnięty doktor zawołał.

- Niespodzianka!

- Ubieraj się. Mamy nowe łachy dla ciebie. Magda osobiście ci wybrała w Rembertowie!

Kostecki z uwagą oglądał ciuchy rodem z Zachodu.

- Kupę forsy wydaliście.

- Przecież odbierałem twoje pensje, gamoniu! Jadłeś na koszt państwa. Nie chlałeś. Nie wydawałeś na głupoty, to teraz stać cię na ekstralachy. Przecież za chwilę nic za te pieniądze nie kupisz. A tak? Wreszcie będziesz wyglądać jak porządny facet.

- Wszystkie dokumenty potrzebne do wyjścia są już gotowe - powiedział doktor.

Po godzinie wsiedli do nowej zastawy Felicjana.

- Widzę, że powietrze warszawskie ci służy - powiedział Tadek.

- Nie narzekamy.

- Hot dogi w Warszawie naprawdę są bez kartek - powiedział Pająk, patrząc wymownie na Felicjanowe krągłości.

- Przyganiał kocioł garnkowi - odciął się Jurga.

Pożegnawszy się z doktorem i personelem, Kostecki zasiadł w nowym aucie przyjaciela. Ruszyli. Kostecki ze zdziwieniem stwierdził, że nie jadą do centrum.

- Nie do domu? - zapytał.

- A co będziesz w domu robił? - odpowiedział pytaniem

Felek.

- Jedziemy nad morze. Eustachy wyfasował ci elegancką kwaterkę w Kołobrzegu. Cisza, spokój. Jod ci dobrze zrobi - klarował Jurga.

- Odsapniesz. Napijemy się wódeczki.

- Ja nie mogę. Doktor wszył mi esperal.

- A tam. Jak ci włożyli, to my ci wyjmujemy. Raz wkładasz, raz wyjmujesz, jak to w życiu.

- Ty to jednak, kurwa, głupi jesteś. - Jurga zgasił zapał Pająka do wyjmowania.

Jechali chwilę w milczeniu.

- Najpierw pobędziesz z Eustachym nad Bałtykiem. Potem pojedziesz do sanatorium. Pilotuję sprawę. - Felicjan dał znak, że trzyma rękę na pulsie.

- Chcemy, byś był gdzieś w centrum, będziemy wpadać - dodał Pająk.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy.

Gdy zbliżali się do rogatek Łęczycy, Pająk zaproponował:

- Zatrzymaj się. Jakies kartki mi zostały. Kupię sobie flaszkę. W Bogdance to ja zawsze bimber piję, to mi te kartki zostają.

Zatrzymali się. Pająk ustawił się w kolejce. Zbliżała się trzynasta. W Łodzi o tej porze działały się dantejskie sceny. W Łęczycy porządku pilnował diabeł Boruta, toteż przy ladzie stało raptem kilku koneserów mocniejszych trunków.

- Pijak jebany - szorstko skomentował zachowanie kolegi Jurga.

- To ja kupię sobie „Głos Robotniczy”. - Tadek był

znudzony czekaniem.

- Na chuj ci jakiś „Głos”?

- Może o Widzewie coś piszą.

- Mamy dla ciebie: „Piłkę Nożną”, „Sport”, „Tempo”, „Politykę” i „Razem”. Wystarczy ci. „Głos” będziesz czytać? Ochujaleś w tym szpitalu?

Ze sklepu wyszedł Pająk.

- Możemy jechać - zakomenderował gliniarz z Bogdanki.

Ruszyli.

Tymczasem w kiosku męczyła się nieziemsko pani Krystyna. Prawie zawsze służbę w „Ruchu” umilała sobie, gawędząc z panią Zdzisławą. Jednak teraz kumoszka wyjątkowo musiała pójść do lekarza, więc kioskarka nudziła się jak mops. Zdeterminowana sięgnęła po „Głos Robotniczy”. Przekartkowała. Z artykułów o Reganie i Nikaragui nic nie rozumiała. Podobnie nie była w stanie pojąć galimatiasów pierwszego etapu reformy gospodarki. Dobrnęła do ostatniej strony. Rysunek satyryczny „Z teki Skonego” też jej nie rozbawił. Dopiero mała notatka ją zaciekawiła. Było tam napisane małym drukiem:

„Wczoraj zakończył się proces Bogusława Sudańskiego. Za zamordowanie małżeństwa Pudlarzy i Janusza Pietrzaka sąd skazał oskarżonego na 25 lat pozbawienia wolności. Sąd nie przychylił się do stanowiska prokuratora Damiana Jasiny i nie znalazł powodów, by przypisać Sudańskiemu odpowiedzialność za dwa inne morderstwa. Tym samym upadł wniosek prokuratora, który domagał się kary śmierci”.

Epilog

Schyłek sierpnia 1996 był gorący w całej Europie. W Kopenhadze było równie ciepło jak w Łodzi. Pod wieczór od morza przyszedł miły chłód. Sędzia z Turcji wyprowadzał obie jedenastki na boisko.

Wziął do ust łyk wina. Należało mu się. Stał przed kolejną życiową szansą. Wszystkie poprzednie wykorzystywał. Jeżeli Widzew zagra w Lidze Mistrzów, podpisze kolejną owocną umowę. Zerknął w stronę, gdzie siedzieli włodarze klubu. Właściciel wytwórni dobrych win jak zawsze był elegancki. Biznesmen z Niemiec jak zawsze był ubrany po swojemu. Winiarz odwzajemnił spojrzenie. Pokazał kciuk skierowany do góry. Rozpoczął się mecz.

W przerwie meczu musiał zamówić kilka drinków. Widzew wyglądał, jakby przeżył spotkanie ze stadem słońi. Dwie stracone bramki były najniższym wymiarem kary. Koneser wina Cinzano unikał jego wzroku. Przybysz z Niemiec gapił się bezwiednie w pustą przestrzeń.

- Oby nie skończyło się jak w Ipswich - pomyślał.

Miał ochotę wyjść ze stadionu i wrócić do hotelu. Gra Widzewa była beznadziejna. Zaraz po wznowieniu gry Duńczycy wbili trzeciego gola. Spojrzał na winiarza. Prawie nie było go widać, tak zmałał.

- Kurwa - powiedział do siebie, gotując się do zamówienia kolejnego drinka.

Tymczasem na boisku zaczęły się dziać rzeczy niepojęte.

Beznadziejnie grający Widzew rzucił się do ataku. Akcje zaczęły się zazębiać. Czerwiec z Szymkowiakiem raz po raz obsługiwali podaniami Majaka i Dembińskiego. W swoim żywiole był Citko, który co chwilę ośmieszał duńskich defensorów.

- Żeby tylko nie skończył jak Wraga - powiedział szeptem.

Jakby w odpowiedzi Citko wbił gola. Producent wina podskoczył. Zaś skromna grupka kibiców Widzewa rozpostarła szaliki.

Po strzeleniu gola Widzew cały czas parł do przodu. Siadaczkę zmienił Szarpak. Wspaniale grał Citko. Tymczasem zegar nieubłaganie zbliżał się do dziewięćdziesiątej minuty. I wtedy, tuż przed końcem, Majak strzelił, a Wojtala dobił. Na stadion opadła kurtyna żałoby. Tylko szefowie Widzewa wykonywali taniec radości w jakimś bliżej nieznanym porządku.

Tymczasem sędzia wcale nie zamierzał kończyć meczu. Jakby zapomniał o gwizdku.

- Kończ, turecka kurwo. - Wyleciało mu z głowy, że jest szanowanym biznesmenem.

Sędzia z Turcji chyba nie usłyszał. Widzew mógł wyrównać, wspaniałą okazję miał Dembiński. Duńczycy nie byli w stanie atakować. Wyglądali jak jedenastu bokserów amatorów, którzy zmierzyli się w walce z jedenastką Foremanów i Muhammadów Alich.

Sędzia wreszcie zakończył mecz. Widzew miał grać w Lidze Mistrzów.

- Ja zawsze wygrywam - powiedział do siebie.

Schyłek sierpnia był gorący w całej Europie. W Łodzi było tak samo gorąco jak w Kopenhadze.

Od starych kamienic, nieremontowanych od czasów carskich, buchał żar. Upał wypalił smród obszczanych murków i komórek. Zbliżał się wieczór, ale żadna bryza od smródki Jasień nie ochłodziła powietrza.

Sędzia z Turcji wprowadzał obie jedenastki na boisko.

Odkorkował butelkę. Należało mu się. Dziś zakończył trudne śledztwo. Na Limance mężczyzna zadźgał nożem konkubinę i jej pijanego gacha. Upał przyszedł komisarzowi z pomocą. Smród był tak wielki, że sąsiedzi, którzy nigdy nie byli skłonni do kontaktów z policją, tym razem odeszli od pryncypiów i zadzwonili na numer 997. Policja zareagowała szybko i zdążyła nakryć w mieszkaniu denatki mordercę. Był tak pijany, że przeleżał wraz z zabitymi na jednej kanapie prawie całą dobę.

W przerwie miał wypitą już połowę flaszki.

- Ja pierdołę. Oby nie skończyło się jak we Frankfurcie - powiedział do kota, który patrzył na niego z dezaprobatą.

Na szczęście w pięćdziesiątej szóstej minucie Citko strzelił kontaktowego gola.

- Fajny jest ten chłoposzek. Byleby nie skończył jak Wraga.

Kot chyba nie rozumiał, że Wiesław Wraga zakończył karierę przed trzydziestką z powodu problemów ze zdrowiem. Gdy Majak z Wojtałą wbili drugiego gola, polecił kotu, by skoczył do sklepu po następną flaszkę.

- Kończ, turecka szmato. - Dał się ponieść emocjom szlachetnej sportowej rywalizacji.

Gdy sędzia jednak meczu nie kończył, polecił kotu, by do

flaszki kupił jakąś popitkę.

- Co za, kurwa, ciota z tego Turka. - Po raz kolejny podzielił się cenną refleksją z kocurem.

Gdy wreszcie sędzia zakończył mecz, pomyślał, że czasem można być szczęśliwym.